



JUAN GABRIEL

VÁSQUEZ

Hałas
spadających
rzeczy

PREMIO ALFAGUARA
DE NOVELA
2011

PRESTIŻOWA HISZPAŃSKA
NAGRODA LITERACKA

Juan Gabriel Vasquez

Hałas spadających rzeczy

Tytuł oryginału: *El ruido de las cosas al caer*
Projekt okładki: *Magdalena Antoniuk*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*
Konwersja do formatu EPUB: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Janina Zgrzemska*
© Juan Gabriel Vásquez, 2011
© Santillana Ediciones Generales, S.L., 2011
Winner of the XIV Alfaguara Novel Prize. Published by Alfaguara
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2013
© for the Polish translation by Tomasz Pindel
ISBN 978-83-7758-350-0
Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2013
Wydanie I

Dla Mariany, wynalazczyni czasu i przestrzeni

A płonące ściany padały w moim śnie

Tak jak z krzykiem padać może tylko miasto!

Aurelio Arturo, *Ciudad de sueño* (Miasto ze snu)

* * *

A więc ty też spadłeś z nieba? Z jakiej planety pochodzisz?

Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książę*¹

I. Jeden długi cień

Pierwszy z hipopotamów, samiec o barwie czarnych pereł i wadze półtorej tony, padł w połowie 2009 roku. Dwa lata wcześniej uciekł z dawnego ogrodu zoologicznego Pabla Escobara w dolinie Magdaleny, a kiedy żył na wolności, niszczył uprawy, szturmował wodopoje, straszył rybaków, a raz zaatakował nawet byki rozplodowe na jednej z farm z bydłem. Snajperzy, którzy go postrzelili, trafili jedną kulą w głowę i drugą w serce (kulami kaliber .375, bo skóra hipopotama jest bardzo gruba); potem pozwali przy martwym cielsku, wielkiej ciemnej i chropowatej masie, przypominającej upadły meteoryt; i tam przed gapiami i przed kamerami, które pierwsze były na miejscu, pod rozłożystymi konarami puchowca chroniącego ich przed ostrym słońcem, wyjaśnili, że ze względu na masę zwierzęcia nie będą mogli przetransportować go w całości, po czym natychmiast zabrali się do ćwiartowania. Przebywałem akurat w moim mieszkaniu w Bogocie, jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południe, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ten obraz, wydrukowany na pół strony w jednym z ważnych dzienników. Tak dowiedziałem się, że wnętrzności zakopano na miejscu, tam, gdzie bestia padła, natomiast łeb i łapy trafiły do jednego z laboratoriów w moim mieście. Dowiedziałem się też, że hipopotam nie uciekł sam: w chwili ucieczki towarzyszyła mu samica i młode – albo, w bardziej sentymentalnej wersji z pozbawionych skrupułów brukowców: jego partnerka i ich młode – których miejsce pobytu pozostawało nieznane; ich poszukiwania od razu nabrały posmaku medialnego dramatu: prześladowanie niewinnych istot przez bezduszny system. I jednego z tych dni, kiedy za pośrednictwem prasy śledziłem postępy łowów, nagle zdałem sobie sprawę, że przypomina mi się pewien człowiek, który od dłuższego czasu nie gościł w moich myślach, acz był taki moment, że nic nie interesowało mnie bardziej niż tajemnica jego życia.

W ciągu następnych tygodni wspomnienie Ricarda Laverdego z przypadkowego epizodu, jednego z tych kiepskich figli, jakie płata nam pamięć, stało się uporczywym i konsekwentnym widmem: zawsze obecny, jego postać zawsze stała przy moim łóżku w godzinach snu i przyglądała mi się z oddali, kiedy byłem na jawie. Poranne audycje radiowe i wieczorne wiadomości, kolumny z komentarzami, które wszyscy czytali, i blogerzy, których nie czytał nikt, wszyscy zadawali pytanie, czy rzeczywiście trzeba zabijać te zbłąkane hipopotamy, czy nie wystarczyłoby je osaczyć, uśpić, odesłać do Afryki; w moim mieszkaniu, daleko od tej dyskusji, choć śledziłem ją z mieszanką fascynacji i niechęci, coraz intensywniej rozmyślałem o Ricardzie Laverdem, o dniach, kiedy się poznaliśmy, o krótkości naszej przyjaźni i długotrwałości jej konsekwencji. W prasie i na ekranie władze wyliczały choroby, jakie może roznosić takie parzystokopytne zwierzę – używali tego słowa, „parzystokopytne”, nowego dla mnie – a w zamożniejszych dzielnicach Bogoty pojawiły się koszulki z napisem *Save the hippos*; w moim mieszkaniu, podczas długich deszczowych nocy albo kiedy spacerowałem ulicami w stronę centrum, wspominałem dzień, w którym zginął Ricardo Laverde, wręcz wgryzałem się we wszystkie szczegóły. Zaskoczyło mnie, jak mało kosztowało mnie przypominanie sobie wypowiedzianych słów, widzianych czy usłyszanych scen, cierpień przeżytych i już przewycięzonych; zaskoczyło mnie też, z jaką łatwością i zaangażowaniem oddajemy się szkodliwym ćwiczeniom pamięci, co przecież niczego dobrego nie przynosi i tylko przeszkadza nam w normalnym funkcjonowaniu, zupełnie jak te woreczki z piaskiem, które atleci przywiązują sobie do łydek w czasie treningu. Powoli zaczynałem zdawać sobie sprawę, nie bez zdumienia, że śmierć tego hipopotama kończyła pewien okres, który w moim życiu zaczął się jakiś czas temu, że to jest mniej więcej tak, jakby ktoś wrócił do domu, żeby zamknąć drzwi zostawione przez nieuwagę otworem.

I tak właśnie zaczęła się ta opowieść. Nie wiem, co nam przyjdzie ze wspomnienia, jakie może to przynieść korzyści albo jakie ewentualnie spadną na nas kary, nie wiem, w jaki sposób może zmienić się to, co przeżyliśmy, kiedy wspominamy, ale porządne pamiętanie Ricarda Laverdego stało się dla mnie sprawą bardzo ważną. Przeczytałem gdzieś, że człowiek powinien opowiedzieć historię swojego życia w wieku czterdziestu lat, a do mnie ten kluczowy moment szybko się zbliża: w chwili, w której piszę te linijki, raptem kilka tygodni dzieli mnie od tej złowrogiej rocznicy. „Historię swojego życia”. Nie, ja nie opowiem historii swojego życia, opowiem najwyżej o kilku dniach, które minęły dawno temu, i zrobię to z pełną świadomością, że ta historia, jak zawsze podkreśla się w bajkach dla dzieci, już się kiedyś zdarzyła i jeszcze kiedyś się zdarzy.

A że mnie przypadło ją opowiedzieć, to już mniejsza o to.

W dniu swojej śmierci, na początku 1996 roku, Ricardo Laverde spędził rano w centrum Bogoty, spacerując po wąskich uliczkach La Candelarii, między starymi domami z glinianymi dachówkami i marmurowymi tabliczkami na próżno upamiętniającymi historyczne chwile, i mniej więcej o pierwszej dotarł na bilard przy Czternastej Ulicy, żeby rozegrać kilka partyjek z bywalcami lokalu. Kiedy zaczął grę, nie sprawiał wrażenia ani zdenerwowanego, ani poruszonego: skorzystał z tego samego kija i stołu co zawsze, tego pod ścianą w głębi, pod włączonym, acz niemym telewizorem. Rozegrał trzy partie, choć nie wiem, ile przegrał, a ile wygrał, bo tego popołudnia grałem nie z nim, tylko przy stole obok. Natomiast dobrze pamiętam chwilę, kiedy Laverde uregulował zakłady, pożegnał się z graczami i ruszył w stronę drzwi. Mijał pierwsze stoły, które zwykle nie są zajęte, bo neonówka w tym miejscu lokalu dziwnie się odbija od kościanych bil, kiedy nagle zatoczył się, jakby o coś się potykając. Odwrócił się i podszedł do nas; odczekał cierpliwie, aż skończę serię sześciu czy siedmiu uderzeń, którą właśnie zacząłem, a nawet oklaskiwał krótko jedno czy dwa trafienia; a potem, widząc, że zapisuję na tablicy zdobyte punkty, podszedł do mnie i zapytał, czy nie wiem, gdzie można pożyczyć jakiś sprzęt, żeby odsłuchać nagrania, które właśnie dostał. Wiele razy zastanawiałem się, co by się stało, gdyby Ricardo Laverde nie zwrócił się do mnie, tylko do innego gracza. Ale jest to pytanie pozbawione sensu, tak jak wiele innych dotyczących przeszłości. Laverde miał powody, żeby wybrać mnie. Nic nie może zmienić tego faktu, tak jak nic nie zmieni tego, co nastąpiło potem.

Poznałem go pod koniec ubiegłego roku, kilka tygodni przed świętami. Miałem właśnie skończyć dwadzieścia sześć lat, zrobiłem dyplom adwokacki dwa lata wcześniej i choć niewiele wiedziałem o prawdziwym świecie, teoretyczny świat prawniczej wiedzy nie miał przede mną sekretów. Po zakończeniu studiów z wyróżnieniem – pracą o szaleństwie jako podstawie do zwolnienia z odpowiedzialności karnej w *Hamlecie*: do dziś się zastanawiam, jakim cudem mi to przyjęli, że już o wyróżnieniu nie wspomnę – zostałem najmłodszym pracownikiem w historii naszej katedry, a w każdym razie tak mi powiedzieli moi starsi koledzy, proponując tę posadę, i byłem przekonany, że być wykładowcą „Wstępu do prawa”, uczyć prawniczych fundamentów kolejne pokolenia wystraszonych dzieciaków, które dopiero co skończyły szkołę średnią, to jedyny możliwy scenariusz mojego życia. Tam, stojąc na drewnianym podeście, zwrócony twarzą do rzędów skołowanych chłopaczków z mlekiem pod nosem i dziewczynek z szeroko otwartymi oczami, którym łatwo jest zaimponować, odbierałem swoje pierwsze lekcje na temat natury władzy. Od tych początkujących studentów dzieliło mnie raptem osiem lat różnicy wieku, ale otwierała się między nami podwójna przepaść władzy i wiedzy, które ja posiadałem, a których oni, debiutujący w prawdziwym życiu, nie mieli w ogóle. Podziwiali mnie, trochę się mnie bali, i zdałem sobie sprawę, że człowiek może się do tego lęku i podziwu przyzwyczaić, że są jak narkotyk. Moim studentom opowiadałem o speleologach, którzy utknęli w jaskini i po kilku dniach zaczęli zjadać się nawzajem: czy prawo ich dotyczy, czy nie? Opowiadałem im o

starym Shylocku, o funkcji ciała, który chciał sobie zawłaszczyć, o sprytniej Portii, która zdołała temu zapobiec za pomocą prawniczej sztuczki: bawiło mnie patrzeć, jak machają rękami, krzyczą i gubią się w śmiesznych argumentach i próbach dopatrzenia się w gąszczu anegdoty idei sprawiedliwości i prawa. Po tych akademickich dyskusjach stawałem się w lokalach bilardowych przy Czternastej Ulicy, zadymionych i z niskimi sufitami, w których toczyło się inne życie, życie bez doktryn i jurysprudencji. Tam, przy zakładach o małe sumy i łykach kawy z brandy, kończył się mój dzień, czasami w towarzystwie jednego czy dwóch kolegów, czasami ze studentkami, które po kilku drinkach trafiały do mojego łóżka. Mieszkałem blisko, na dziesiątym piętrze, gdzie zawsze było chłodno, gdzie zawsze był dobry widok na miasto najeżone ceglami i betonem, gdzie moje łóżko zawsze było otwarte na dyskusje o koncepcji kary Cesarego Beccarii albo o jakimś trudnym rozdziale Bodenheimera, otwarte nawet na szybką zmianę oceny nieoficjalną drogą. Życie w tamtym czasie, który teraz wydaje mi się należeć do kogoś innego, pełne było możliwości. Możliwości te, jak stwierdziłem później, też należały do tego kogoś innego: niezauważalnie i stopniowo zanikały, tak jak cofający się przypyływ, aż w końcu zostałem z tym, co mam teraz.

W tych dniach moje miasto było już coraz dalej od najgwałtowniejszych lat historii najnowszej. Nie mówię o przemocy w rodzaju tanich bijatyk z nożami i strzałów na oślep, o wyrównywaniu rachunków między pomniejszych handlarzami, tylko o przemocy, która wykracza poza małe pretensyjki i małe zemsty małych ludzi, o tej, której autorstwo jest zbiorowe i pisze się tych autorów dużymi literami: Państwo, Kartel, Armia, Front. My, bogotanie, przyzwyczailiśmy się do przemocy, częściowo dlatego, że jej obrazy trafiały do nas bardzo regularnie poprzez wiadomości w telewizji i w gazetach; tego dnia, jako doniesienia z ostatniej chwili, na ekranie telewizora zaczęły pojawiać się zdjęcia z najświeższego zamachu. Najpierw na tle bramy do kliniki Country zobaczyliśmy dziennikarza informującego o zajściu, potem przeoranego kulami mercedesa – przez rozbite okno widać było tylne siedzenie, kawałki szkła i plamy zaschniętej krwi – i w końcu, kiedy za wszystkimi stołami ustał jakikolwiek ruch i zapadła cisza, a ktoś natarczywie domagał się pogłośnienia odbiornika, ujrzeliśmy, nad datami urodzin i śmierci (ta druga bardzo świeża), czarno-białą twarz ofiary. Był to konserwatywny polityk Álvaro Gómez, syn jednego z najbardziej kontrowersyjnych prezydentów stulecia, sam wielokrotnie kandydujący na to stanowisko. Nikt nie pytał, dlaczego go zabito ani kto to zrobił, bo takie pytania w moim mieście straciły jakikolwiek sens, a najwyżej stawiano je retorycznie, nie oczekując odpowiedzi, bo to była jedyna możliwa forma reakcji po kolejnym ciosie. Nie myślałem tak wtedy, ale te zbrodnie („zbrodnie majestatu”, jak nazywała je prasa: szybko nauczyłem się znaczenia tego słowa) stanowiły trzon mojego życia i wyznaczały jego rytm, jak nieprzewidywalne wizyty dalekiego krewnego. Miałem czternaście lat w 1984 roku tego wieczoru, kiedy Pablo Escobar zabił, a raczej kazał zabić swojego najśłynniejszego przeciwnika, ministra sprawiedliwości Rodriga Larę Bonillę (dwóch najemnych zabójców na motorze, łuk Sto Dwudziestej Siódmej Ulicy). Miałem szesnaście lat, kiedy Escobar zabił, a raczej kazał zabić Guillerma Cano, naczelnego „El Espectadora” (kilka metrów od budynków dziennika, zabójca wpakował mu osiem kul w pierś). Miałem dziewiętnaście lat i byłem już dorosły, choć jeszcze nie głosowałem, kiedy zginął Luis Carlos Galán, kandydat na stanowisko prezydenta, którego zabójstwo było inne, albo wydaje nam się inne, bo zobaczyliśmy je w telewizji: manifestacja wznosząca hasła na cześć Galána, potem seria z karabinu maszynowego, potem ciało bezgłośnie padające na drewniany podest, a może wszelkie odgłosy zagłuszał gwar tłumu i pierwsze krzyki. A krótko później samolot linii Avianca, boeing 727-21, który Escobar wysadził w powietrze – gdzieś w przestrzeni między Bogotą i Cali – żeby zabić polityka, który zresztą nie znalazł się na pokładzie.

Tak więc my wszyscy tam na bilardzie, z rezygnacją mającą w sobie już coś z narodowego rytuału, złorzeczyliśmy i przeklinaliśmy kolejną zbrodnię, takie piętno naszych czasów, a potem wróciliśmy do naszych rozgrywek. Wszyscy, jak mówię, prócz jednego, który był wciąż wpatrzony w ekran, gdzie pojawiły się nowe obrazy i wiadomości, pokazywano teraz obrazy upadku: arena do corridy porośnięta krzakami aż po trybuny (albo raczej miejsce, gdzie powinny być), daszek, pod którym rdzewiało mnóstwo starych samochodów, gigantyczny tyranozaur: jego ciało rozpadało się na kawałki i odsłaniało skomplikowaną metaliczną konstrukcję, smutną i nagą jak stary manekin. To była Hacjenda Nápoles, mityczne terytorium Pabla Escobara, w innych czasach kwatery główna jego imperium, porzucona na pastwę losu po śmierci wodza w 1993. W wiadomościach mówiono o tym porzuceniu: przejętych przez sąd ziemiach narkotykowych baronów, o milionach dolarów roztrwonionych przez władze, które nie umiały tymi majątkami zarządzać, o tym wszystkim, co można by zrobić i czego nie zrobiono z tym bajecznym dziedzictwem. I to wtedy jeden z graczy przy stole najbliższej telewizora, jak dotąd w żaden sposób się niewychylający, powiedział, jakby mówił sam do siebie, ale wypowiedział to jednak na głos i spontanicznie, jak ci, którzy, choć żyją w społeczeństwie, zapominają, że ktoś może ich usłyszeć:

– Ciekawe, co zrobią z tymi zwierzętami. Biedaki zdychają z głodu i nikogo to nie obchodzi.

Ktoś zapytał, o jakich zwierzętach mówi. Mężczyzna dodał tylko:

– Jaką one ponoszą winę.

To były pierwsze słowa Ricarda Laverdego, które usłyszałem. Niczego więcej nie powiedział: nie powiedział na przykład, o jakie mu chodzi zwierzęta ani skąd wiedział, że zdychają z głodu. Ale nikt go o to nie pytał, bo wszyscy byliśmy już w takim wieku, że pamiętaliśmy najlepsze lata Hacjendy Nápoles. Ogród zoologiczny, owiany legendą, pod pozorem zwykłej ekscentryczności narkotykowego milionera, oferował zwiedzającym spektakl niespotykany na tych szerokościach geograficznych. Ja pojechałem tam, mając dwanaście lat, podczas grudniowych wakacji; wybrałem się oczywiście w tajemnicy przed moimi rodzicami: oburzyłyby ich sama myśl, że ich syn mógłby znaleźć się na terenie należącym do znanego mafiosa, już nie mówiąc o tym, że mogłoby to stanowić dla niego frajdę. Ale ja nie mogłem nie zobaczyć tego, o czym wszyscy mówili. Przyjąłem zaproszenie rodziców mojego kolegi; w jakiś weekend wstaliśmy skoro świt, żeby przejechać sześciogodzinną trasę dzielącą Bogotę od Puerto Triunfo; a już na hacjendzie, przejechawszy przez kamienny portal (nazwę posiadłości można było zobaczyć wypisaną grubymi niebieskimi literami), spędziliśmy popołudnie wśród bengalskich tygrysów i amazońskich papug, karłowatych koników i motyli wielkości dłoni, a nawet pary indyjskich nosorożców, które, jak nam wytłumaczył chłopak z akcentem *paisa* i w kamizelce moro, właśnie w tych dniach dotarły. No i były też hipopotamy, w tamtych chwalebnych czasach żaden jeszcze nie uciekł. Tak więc dobrze wiedziałem, o jakich zwierzętach mówi ten człowiek; nie wiedziałem natomiast, że tych kilka słów przypomni mi go niemal czternaście lat później. Ale o tym wszystkim pomyślałem, rzecz jasna, potem: tego dnia na bilardzie Ricardo Laverde był tylko jednym z wielu, którzy śledzili ze zdumieniem wzlot i upadek jednego z najsłynniejszych Kolumbijczyków wszech czasów, i nie zwróciłem na niego specjalnej uwagi.

Z tego, co pamiętam, i to wyraźnie, nie wydał mi się specjalnie trudny przy pierwszym kontakcie: był tak szczupły, że nie dało się ocenić jego wzrostu – dopiero kiedy stał z kijem bilardowym, można się było zorientować, że ma raptem metr siedemdziesiąt; rzadkie włosy w myszowatym kolorze, sucha skóra i zawsze długie i brudne paznokcie sprawiały, że wyglądał na chorego albo zaniedbanego, tak jak jakiś opuszczony teren. Właśnie skończył czterdzieści osiem

lat, ale wydawał się dużo starszy. Mówił z trudem, jakby mu brakowało powietrza; tętno miał tak słabe, że niebieska końcówka jego kija zawsze trzęsła się przed bilą i to niemal cud, że nie pudłował częściej. Wszystko w nim wydawało się zmęczone. Jednego popołudnia, kiedy Laverde już wyszedł, jeden z jego bilardowych partnerów (mężczyzna w tym samym wieku, ale poruszający się sprawniej, oddychający bez trudu, z pewnością wciąż żyje i może nawet czyta te wspomnienia) wyjaśnił mi przyczynę, choć o nic nie pytałem.

– To przez więzienie – powiedział, odsłaniając przy okazji złoty ząb. – Węzienie męczy człowieka.

– Siedział?

– Dopiero co wyszedł. Siedział jakieś dwadzieścia lat, tak mówią.

– A za co?

– A, tego to nie wiem – odpowiedział mężczyzna. – Ale coś musiał zrobić, nie? Nikogo nie zamykają na tak długo za nic.

Uwierzyłem mu oczywiście, bo nie miałem podstaw, by sądzić, że istnieje jakaś inna prawda, bo w tej chwili nie było żadnego powodu, żeby kwestionować pierwszą niewinną i niespodziewaną wersję życia Ricarda Laverdego. Pomyślałem, że jak dotąd nie znałem żadnego byłego więźnia – zresztą sposób, w jaki to mówię, z pewnością stanowi najlepszy dowód – więc moje zainteresowanie Laverdem rosło i rosło. Długi wyrok zawsze robi wrażenie na kimś młodym, tak jak ja wtedy. Obliczyłem, że ja dopiero zaczynałem chodzić, kiedy Laverde wylądował w więzieniu, a nikt nie może być obojętny na myśl, że podczas kiedy on rósł i chodził do szkoły, odkrywał seks i być może śmierć (na przykład swojego zwierzątka, a potem dziadka), i miał kochanki, i cierpiał z powodu bolesnych rozstań, poznał moc podejmowania decyzji, satysfakcję lub żal z ich powodu, moc wyrządzania krzywdy i satysfakcję lub żal z mocy wyrządzania tejże, że w tym samym czasie jakiś inny człowiek prowadził życie bez żadnych odkryć czy nowości z tak długim wyrokiem. Życie nieprzeżyte, życie przeciekające między palcami, życie własne i doświadczane przez samego siebie, ale zarazem należące do kogoś innego, do kogoś, kto go nie doświadcza.

I niemal nieświadomie zaczęliśmy się do siebie zbliżać. Najpierw działo się to przypadkiem: ja, na przykład, okłaskiwałem jedno z jego uderzeń – facetowi nieźle wychodziły uderzenia od band – i potem zapraszałem go na grę do mojego stołu albo prosiłem o zgodę na grę przy jego stole. On godził się niechętnie, tak jak gracz zaawansowany przyjmujący nowicjusza, choć grałem całkiem dobrze i ze mną Laverde mógł wreszcie przerwać złą passę. Ale wtedy zdałem sobie sprawę, że przegrana wcale go zbytnio nie martwi: pieniądze, które kładł na szmaragdowym płótnie stołu, te dwa czy trzy wymięte banknoty, stanowiły część jego rutynowych wydatków, z góry założone ubytki własnych finansów. Bilard nie stanowił dla niego rozrywki, nie chodziło nawet o rywalizację, była to jedyna forma jego życia społecznego: odgłos zderzających się bil, stukot drewnianych części, niebieska kreda pocierająca o starą skórę, wszystko to oznaczało dla niego życie towarzyskie. Poza tymi salami, bez kija bilardowego w rękę Laverde nie potrafił nawiązać zwyczajnej rozmowy, nie mówiąc już o jakiejś relacji. „Czasami myślę”, powiedział mi, kiedy ten jeden raz rozmawialiśmy z pewną powagą, „że nigdy nikomu nie patrzyłem w oczy”. Była to, oczywiście, przesada, ale nie jestem pewien, czy on przesadzał celowo. Poza wszystkim, kiedy to mówił, nie patrzył mi w oczy.

Teraz, kiedy upłynęło tyle lat, teraz, kiedy wspominając to, rozumiem rzeczy, których wtedy nie rozumiałem, myślę o tej rozmowie i nie chce mi się wierzyć, że nie zwróciłem uwagi na jej znaczenie. (I zarazem powtarzam sobie, że jesteśmy fatalnymi sędziami chwili terażniejszej, może dlatego, że terażniejszość tak naprawdę nie istnieje: wszystko jest wspomnieniem, to zdanie, które właśnie napisałem, już jest wspomnieniem, jest wspomnieniem

to słowo, które ty, czytelniku, właśnie przeczytałeś). Rok się kończył; to był czas egzaminów i zawieszono zajęcia; bilardowa rutyna zawładnęła moimi dniami i na swój sposób nadawała im kształt i sens. „A”, mówił Ricardo Laverde za każdym razem, kiedy mnie widział. „Cudem mnie pan tu zastał, Yammara, właśnie się zbierałem”. W naszych spotkaniach coś się zmieniało: przekonałem się o tym tego popołudnia, kiedy Laverde nie pożegnał się ze mną, jak zawsze, zza drugiej strony stołu, podnosząc jedną rękę do czoła tak jak żołnierz i zostawiając mnie z kijem w rękę, tylko poczekał na mnie, patrzył, jak płacę za napoje nas obu – cztery kawy z brandy i jedna coca-cola na koniec – i wyszedł z lokalu, idąc obok mnie. Szedł ze mną do rogu na placu Rosario, spowijały nas aromaty prosto z rur wydechowych, ze smażalni placków *arepas* i otwartych studzienek kanalizacyjnych; i wtedy, tam gdzie zaczyna się zjazd do ciemnej jamy garażu podziemnego, klepnął mnie w ramię, takie delikatne klepięcie delikatną dłonią, bardziej podobne do pieszczoty niż pożegnania, i powiedział:

– No dobra, jutro się widzimy. Muszę coś załatwić.

Patrzyłem, jak wymija grupkę robotników i wchodzi w uliczkę dla pieszych prowadzącą do drogi Siódemki, potem znika za rogiem i więcej go nie widziałem. Ulice były już gdzieś przyozdobione świątecznymi światełkami: nordyckie girlandy i cukrowe laski, napisy po angielsku, wycięte kształty płatków śniegu w tym mieście, w którym nigdy nie padał śnieg, a grudzień jest zasadniczo okresem największych upałów. Ale za dnia światełka się nie świeciły: ograniczały widoczność, zaśmiecały, psuły widok. Kable rozwieszane nad naszymi głowami, prowadzące z jednej strony ulicy na drugą, przypominały wiszące mosty, a na placu Bolívara wspinały się jak pnącza po słupach, jońskich kolumnach Kapitolu, ścianach katedry. Gołębie za to miały gdzie siadać, a sprzedawcy kukurydzy nie nadążali z obsługiwaniem turystów, podobnie jak uliczni fotografowie: starsi mężczyźni w poncho i z filcowymi kapeluszami na głowie, którzy wyłapywali klientów tak, jak się osacza krowy, a potem robiąc zdjęcie, zakrywali się czarnymi płachtami, nie dlatego, że tego wymagały ich aparaty, tylko dlatego, że klienci mieli takie oczekiwania. Ci fotografowie też ocaleli z dawnych czasów, kiedy nie wszyscy mogli sobie zrobić zdjęcie i kupowanie fotografii zrobionej przez kogoś na ulicy (często z zaskoczenia) nie było tak całkowicie absurdałne. Każdy bogotanin w pewnym wieku ma takie uliczne zdjęcia, w większości zrobione na Siódemce, dawnej królewskiej ulicy handlowej, królowej wszystkich ulic miasta; moje pokolenie dorastało, oglądając takie zdjęcia w rodzinnych albumach: mężczyźni w trzyczęściowych garniturach, kobiety w rękawiczkach i z parasolkami; ludzie z innej epoki, kiedy Bogota była zimniejsza, bardziej deszczowa i udomowiona, ale nie mniej żarliwa. Mam wśród swoich papierów zdjęcie, które mój dziadek zrobił w latach pięćdziesiątych, i inne, zrobione przez ojca piętnaście lat później. Natomiast nie mam tego, które Ricardo Laverde zrobił tego popołudnia, choć obraz ten tkwi w mojej pamięci i jest tak wyraźny, że mógłbym narysować go z wszelkimi detalami, gdybym miał talent do rysunków. Ale nie mam. To jeden z tych talentów, których nie mam.

Tak więc to właśnie miał załatwić Laverde. Kiedy się rozstaliśmy, poszedł w stronę placu Bolívara i zrobił sobie jedno z celowo anachronicznych zdjęć, a następnego dnia pojawił się na bilardzie z fotografią w rękę: w sepiowej tonacji, podpisana przez fotografa, na niej mężczyzna mniej niż zwykle smutny i poważny, mężczyzna, o którym można powiedzieć, gdyby wydarzenia ostatnich miesięcy nie czyniły tego sądu zbyt śmiałym, że jest zadowolony. Stół wciąż zakryty był pokrowcem z czarnego plastiku i na tym pokrowcu Laverde położył zdjęcie, swoje zdjęcie, i patrzył na nie z fascynacją: był dobrze uczesany, bez nawet jednej fałdki na ubraniu, z prawą ręką wyciągniętą i dwoma gołębiami dziobiącymi coś z jego dłoni; nieco dalej widać było spojrzenie pary gapiów, oboje z plecakami i w sandałach, a w głębi, bardzo w głębi, obok wózka z kukurydzą powiększonego przez perspektywę, Pałac Sprawiedliwości.

– Bardzo dobrze wyszło – powiedziałem. – Wczoraj pan zrobił?

– Tak, wczoraj – odpowiedział i bez pytania dodał: – Bo moja żona przyjeżdża.

Nie powiedział, że zdjęcie ma być prezentem. Nie wyjaśnił, dlaczego taki dziwny prezent miałby zainteresować jego żonę. Nie nawiązał do lat spędzonych w więzieniu, acz dla mnie było ewidentne, że fakt unosił się nad całą tą sytuacją jak sęp nad zdychającym psem. Ricardo Laverde w każdym razie zachowywał się tak, jakby nikt przy bilardowych stołach nie znał jego przeszłości; od razu wyczułem, że ta fikcja utrzymuje między nami delikatną równowagę, i wolałem jej nie zakłócać.

– Ale jak to: przyjeżdża? – zapytałem. – Skąd?

– Ona jest ze Stanów, jej rodzina tam mieszka. Moja żona przyjeżdża, powiedzmy, z wizytą. – A potem dodał: – Dobrze wyszło to zdjęcie? Podoba się panu?

– Uważam, że jest bardzo dobre – odpowiedziałem z mimowolnym pobleżaniem. –

Bardzo pan elegancko wygląda, Ricardo.

– Bardzo – potwierdził.

– A więc jest pan żonaty z gringą – powiedziałem.

– No widzi pan.

– Przyjeżdża na święta?

– Ano mam nadzieję – powiedział Laverde. – Oby tak.

– A dlaczego oby, to nie jest pewne?

– No, muszę ją najpierw przekonać. To dłuższa historia, tak że lepiej sobie odpuśćmy.

Laverde zdjął czarny pokrowiec ze stołu, nie jednym szarpnięciem, jak to robili inni bilardziści, tylko składając go na połówki, starannie, niemal z uczuciem, tak jak się składa flagę na pogrzebie państwowym. Pochylił się nad stołem, potem wyprostował, wypatrywał najlepszego kąta, ale po tym całym ceremoniale ostatecznie trafił w niewłaściwą bilę.

– Cholera – powiedział. – Przepraszam. – Podszedł do tablicy, zapytał, ile zrobił uderzeń, zaznaczył je czubkiem kija (i niechcący zawadził o białą ścianę, zostawiając błękitną podłużną rysę obok innych takich rys zgromadzonych tu przez lata). – Przepraszam – powtórzył.

Jego głowa nagle znalazła się gdzie indziej: jego ruchy, spojrzenie utkwione w bilach, które powoli wtaczały się na swoje pozycje na suknie, wszystko pasowało do kogoś, kogo już tu nie ma, takiego jakby ducha. Zacząłem się zastanawiać, czy może pan Laverde i jego żona są rozwiedzeni, i wtedy naszła mnie, niczym epifania, myśl o innej możliwości, gorsza i przez to ciekawsza: jego żona nie wie, że wyszedł z więzienia. Przez krótką chwilę, między jednym uderzeniem a drugim, wyobraziłem sobie mężczyznę wychodzącego z bogotańskiego więzienia – scena w mojej wyobraźni rozgrywała się w budynku Uniwersytetu Distrial, ostatnim, jaki odwiedziłem, studiując kryminologię – który utrzymuje swoje zwolnienie w sekrecie, żeby zrobić komuś niespodziankę; coś jakby Wakefield na odwrót: chce się zobaczyć na twarzy jedynej bliskiej osoby wyraz zaskoczonej miłości, który wszyscy kiedyś w życiu chcielibyśmy zobaczyć, albo nawet jakimiś skomplikowanymi sztuczkami próbuje się go sprowokować.

– A jak się nazywa pańska żona? – zapytałem.

– Elena – odpowiedział.

– Elena de Laverde – powiedziałem, jakby smakując imię i doklejając nazwisko męża, tak jak niemal wszyscy w tym pokoleniu w Kolumbii wciąż robili.

– Nie – poprawił mnie Ricardo Laverde. – Elena Fritts. Nigdy nie chcieliśmy, żeby przybrała moje nazwisko. Nowoczesna kobieta, wie pan.

– To ma być nowoczesne?

– No, w tamtych czasach to było nowoczesne. Nie zmieniać nazwiska. A jako że była Amerykanką, to ludzie jej wybacza. – I wtedy dodał z nagłą albo odzyskaną swobodą: – To co,

napijemy się po jednym?

I tak między jedną a drugą kolejką białego rumu, pozostawiającego w przełyku posmak lekarstwa, zeszło nam popołudnie. Gdzieś o piątej bilard przestał nas interesować, więc zostawiliśmy kije na stole, wsadziliśmy trzy bile do kartonowego trójkąta i usiedliśmy na drewnianych krzesłach, w roli widzów albo towarzystwa, albo zmęczonych graczy, każdy ze swoją szklaneczką rumu, poruszając nimi co jakiś czas, żeby się nowy lód z rumem dobrze mieszał, brudząc coraz bardziej szkło spoconymi palcami upapranymi kredowym pyłem. Stamtąd mogliśmy kontrolować bar, wejście do łazienek i kąt, w którym wisiał telewizor, no i także komentować partie rozgrywane na kilku stołach. Przy jednym z nich czterech graczy, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy, w jedwabnych rękawiczkach i ze składanymi kijami, stawało w jednej grze więcej niż my razem przez miesiąc. To wtedy, kiedy tak siedzieliśmy obok siebie, Ricardo Laverde powiedział mi o niepatrzeniu nikomu w oczy. Także wtedy coś w Ricardzie Laverdem zaczęło mnie niepokoić: głęboka niespójność jego sposobu mówienia i manier, zawsze eleganckich, z jego marnym wyglądem, skromnymi środkami, samą jego obecnością w tym miejscu, w którym stabilności szukają zwykle ludzie prowadzący życie z gruntu niestabilne.

– Ale to dziwne, Ricardo – powiedziałem. – Nigdy nie zapytałem pana, czym się pan zajmuje.

– Prawda, nigdy – przyznał Laverde. – Ani ja pana. Ale to dlatego, że wyobrażam sobie, że pan uczy, wszyscy tu się tym zajmują, w centrum jest pełno uniwersytetów. Pan wykłada, Yammara?

– Tak – odpowiedziałem. – Prawo.

– A, nieźle – Laverde lekko się uśmiechnął. – W tym kraju jest za mało adwokatów. Wydawało się, że jeszcze coś doda. Ale nie dodał.

– Nie odpowiedział mi pan – nalegałem. – Co pan robi, czym się pan zajmuje?

Zapadła cisza. Jakieś rzeczy musiały przebiegać mu przez głowę w tej sekundzie: teraz, po tym wszystkim, mogę to zrozumieć. Jakieś rachunki, rezygnacje, obawy.

– Jestem pilotem – powiedział Laverde głosem, jakiego nigdy u niego dotąd nie słyszałem. – A raczej byłem. Teraz to jestem pilotem na emeryturze.

– Pilotem czego?

– Pilotem rzeczy, które się pilotuje.

– No tak, rozumiem, ale jakich? Samolotów pasażerskich? Helikopterów służb granicznych? Bo ja to się na tym...

– Niech pan posłucha, Yammara – uciął głosem spokojnym, ale zarazem stanowczym. – Ja swojego życia nie opowiadam każdemu. Niech pan nie myli bilardu z przyjaźnią, bardzo proszę.

Mógł mnie obrazić, ale tego nie zrobił: z jego słów, zza nagłej i raczej bezsensownej agresji, przebijało błaganie. Po tej ostrej odpowiedzi nastąpiły gesty wyrażające skruchę i chęć pogodzenia się, jak u dziecka rozpaczliwie starającego się zwrócić na siebie uwagę, i ja wybaczyłem tę szorstką odzywkę tak, jak się wybacza dziecku. Co jakiś czas podchodził do nas don José, właściciel lokalu: otyły i łysy mężczyzna, przewiązany rzeźnickim fartuchem, przynosił nam szklaneczki rumu z lodem, po czym od razu wracał na swoją aluminiową ławkę przy barze, żeby zмагаć się z krzyżówką w „El Espacio”. Ja myślałem o Elenie de Laverde, żonie. Pewnego dnia pewnego roku Ricardo wyszedł z jej życia i wszedł do więzienia. Ale co zrobił, że to go spotkało? A żona przez te wszystkie lata nigdy go nie odwiedziła? I jak to się stało, że pilot spędza dni na bilardzie w centrum Bogoty, wydając forszę na zakłady? Może to właśnie wtedy po raz pierwszy przyszła mi do głowy, nawet jeśli czysto intuicyjnie i powierzchownie, ta sama myśl, powracająca później, opisywana różnymi słowami, a czasami

niepotrzebująca żadnych słów: ten człowiek nie zawsze był tym samym człowiekiem. Ten człowiek był kiedyś kimś innym.

Było już ciemno, kiedy wyszliśmy. Nie prowadzę zapisków, co wypilem na bilardzie, ale wiem, że wtedy rum poszedł nam mocno do głowy, a uliczki w La Candelarii stały się jeszcze węższe niż zwykle. Ledwie dało się nimi iść: ludzie wypływali z tysięcy biur znajdujących się w centrum i wracali do domu albo wchodzili do sklepów kupować prezenty świąteczne, albo zbijali się w grupki na rogach w oczekiwaniu na busy. Pierwsze, co zrobił Laverde, to wpadł na kobietę w pomarańczowym żakiecie (a w każdym razie takim, który w żółtym świetle wydawał się pomarańczowy). „Patrz, gdzie leziesz”, ofuknęła go kobieta i wtedy zrozumiałem, że pozwolenie mu, by wracał w tym stanie do domu, byłoby czymś nieodpowiedzialnym, a nawet ryzykownym. Zaoferowałem się, że mogę mu towarzyszyć, a on się zgodził, a w każdym razie nie protestował. W ciągu kilku minut zaszliśmy przed portal zamkniętego kościoła La Bordadita i w pewnej chwili tłumy zostały gdzieś w tyle, jakbyśmy znaleźli się w innym mieście, gdzie obowiązuje godzina policyjna. Głęboka Candelaria to miejsce poza czasem: z całej Bogoty tylko na kilku uliczkach w tej części miasta można sobie wyobrazić, jak wyglądało życie sto lat temu. I to podczas tego marszu Laverde po raz pierwszy przemówił do mnie jak do przyjaciela. Z początku myślałem, że chce mi się przypochebić po tej wcześniejszej bezsensownej niegrzeczności (alkohol często wywołuje takie akty skruchy, prywatne poczucie winy); potem wydało mi się, że jest w tym coś więcej, jakieś pilne zadanie, którego motywacji nie byłem w stanie zrozumieć, jakiś nieodwołalny obowiązek. Przytakiwałem mu, rzecz jasna, tak jak człowiek przytakuje wszystkim pijakom świata, kiedy zaczynają snuć swoje pijackie opowieści.

– Ta kobieta to wszystko, co mam – powiedział.

– Elena? – zapytałem. – Pańska żona?

– To wszystko, co mam. Niech pan nie pyta o szczegóły, Yammara, nikomu nie jest łatwo opowiadać o własnych błędach. A ja swoje popełniłem, jak wszyscy. Spieprzyłem, to fakt. I to bardzo spieprzyłem. Pan jest bardzo młody, Yammara, tak młody, że pan być może wciąż w kwestii błędów zachował niewinność. Nie chodzi mi tu o jakieś przyprawianie rogów dziewczynie, to nie to, ani o jakieś tam bzyknięcie narzeczonej najlepszego kumpla, to dziecinada. Chodzi mi o takie prawdziwe błędy, Yammara, a to są rzeczy, jakich pan jeszcze nie zna. I lepiej tak. Niech pan korzysta, Yammara, niech pan korzysta, póki pan może: człowiek jest szczęśliwy, póki nie spieprzy spraw dokumentnie, wtedy nie ma sposobu na powrót do dawnego stanu. No, w każdym razie w tych dniach będę to sprawdzał. Elena przyleci, a ja będę próbował odzyskać to, co było kiedyś. Elena była miłością mojego życia. I rozstaliśmy się, nie chcieliśmy tego, ale się rozstaliśmy. Życie nas rozdzieliło, życie robi takie rzeczy. Ja spieprzyłem sprawę. Spieprzyłem i się rozstaliśmy. Ale ważne jest nie to, że się spieprzyło, Yammara, niech pan uważnie słucha, ważne jest nie to, że się spieprzyło, tylko że się próbuje to naprawić. Choć czas minął, lata lecą, nigdy nie jest za późno, żeby naprawić to, co się popsuło. I ja to zamierzam zrobić. Elena teraz przylatuje i ja to zrobię, żaden błąd nie może trwać wiecznie. To wszystko działo się dawno, bardzo dawno temu. Pan się jeszcze nawet chyba nie urodził. Powiedzmy, że w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, mniej więcej. Pan się kiedy urodził?

– W roku siedemdziesiątym – powiedziałem. – Dokładnie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– A nie w siedemdziesiątym pierwszym?

– Nie – odpowiedziałem. – W siedemdziesiątym.

– No to dobrze. W tym roku wiele się wydarzyło. W ciągu następnych lat też, jasne, ale przede wszystkim w tym roku. Ten rok odmienił nasze życie. Ja sprawiłem, że nas rozdzielono,

ale to już nie jest ważne, Yammara, niech pan słucha, to nie jest ważne, tylko to, co zdarzy się teraz. Elena teraz przylatuje i ja to zrobię, pozalutwiam sprawę. To nie może być bardzo trudne, prawda? Kto nie zna kogoś, kto ułożył sobie życie w połowie drogi? Każdy zna, prawda? Więc ja też tak zrobię. Nie może być to takie trudne.

To wszystko powiedział mi Ricardo Laverde. Dochodziliśmy na jego ulicę sami, tak sami, że, nieświadomie, zaczęliśmy iść środkiem ulicy. Minął nas wóz wypchany starymi gazetami ciągnięty przez rachitycznego muła, a woźnica (za lejce robiła posuplana lina) musiał na nas zagwizdać, żebyśmy mu zeszli z drogi. Pamiętam swąd łajna zwierzęcia, choć nie pamiętam już, czy wydała je dokładnie w tej chwili, i pamiętam też spojrzenie dziecka, które jechało na wozie, siedząc na drewnianych deskach i machając nogami. A potem przypominam sobie, że podałem Laverdemu rękę, żeby się pożegnać, i tak zostałem z tą ręką w powietrzu, mniej więcej tak, jak na tym zdjęciu z ręką pełną gołębi na placu Bolívara, bo Laverde odwrócił się do mnie plecami i otwierając bramę kluczem z innej epoki, powiedział:

– Niech pan nawet nie mówi, że teraz idzie. Proszę wejść na ostatniego, skoro tak fajnie nam się gada.

– No ale ja się muszę zbierać, Ricardo.

– Jedyne, co człowiek musi, to umrzeć – odpowiedział, mowę miał już nieco bełkotliwą.

– Jedna jedyna banieczka i ani kropli więcej, słowo. Wiem, że to kawał drogi, tu, do tego miejsca zapomnianego przez Boga.

Dotarliśmy przed stary jednopiętrowy dom w stylu kolonialnym, podupadający i smutny, nie dbano jednak o niego w sposób należyty zabytkom kulturalnym czy historycznym. Był jedną z tych nieruchomości, które przechodzą z rąk do rąk, w miarę jak właściciele ubożeją, aż w końcu ostatni z rodu ją odprzedaje, żeby spłacić długi, albo zaczyna na niej zarabiać, przerabiając na pensjonat albo burdel. Laverde stał w bramie i przytrzymywał ją stopą, w jednej z tych ekwilibrystycznych póz, jakie udają się tylko pijanym. W głębi dostrzegłem korytarz z ceglana podłogą, a dalej najmniejsze kolonialne patio, jakie kiedykolwiek widziałem. W jego środku, w miejscu tradycyjnie przeznaczonym na fontannę, stała suszarka na pranie, a bielone wapnem ściany korytarza udekorowano kalendarzami z nagimi kobietami. Bywałem już w podobnych domach, więc mogłem sobie wyobrazić, jak wygląda poza ciemnym korytarzem: wyobraziłem sobie pokoje z drewnianymi drzwiami pomalowanymi na zielono, zamykane na kłódki, jak jakiś schowek, i wyobraziłem sobie, że w jednym z takich schowków, trzy na dwa metry, mieszka Ricardo Laverde. Ale było późno, musiałem przepisać swoje notatki na jutro (ta nieznośna uniwersytecka biurokracja nie ma litości), a chodzenie po tej dzielnicy po pewnej godzinie oznaczało niepotrzebne prowokowanie losu. Laverde się upił i nabrał ochoty na zwierzenia, czego nie przewidziałem, i zdałem sobie w tej chwili sprawę, że co innego pytać go, jakimi lata samolotami, a co innego, i to zupełnie, włączyć z nim do jakiejś klitki i patrzeć, jak oplakuje swoje stare miłości. Nigdy nie było mi łatwo zbliżyć się do ludzi, a zwłaszcza do mężczyzn. Wszystko, co Laverde zamierzał mi teraz opowiedzieć, myślałem, może mi opowiedzieć w ciągu następnych dni, gdzieś indziej, bez sztucznego bratania się i szlochów na moim ramieniu, bez tej frywolnej męskiej solidarności. Świat się jutro nie skończy, myślałem. Ani Laverde nie zapomni swojego życia. Więc nie zdziwiłem się zbytnio, słysząc samego siebie:

– Ale naprawdę nie mogę, Ricardo. Innym razem.

On na chwilę znieruchomiał.

– No tak – powiedział. Jeśli był rozczarowany, to tego nie okazał. Już obracając się do mnie plecami, zamykając za sobą drzwi, parsknął: – Innym razem.

Oczywiście, gdybym wtedy wiedział to, co wiem teraz, gdybym mógł przewidzieć to, jak Ricardo Laverde wpłynie na moje życie, nie wahałbym się ani chwili. Od tamtego czasu często

zadawałem sobie pytanie, co by się stało, gdybym przyjął jego zaproszenie, co powiedziałyby mi Laverde, gdybym wszedł z nim się napić, na tę ostatnią kolejkę, która nigdy nie jest ostatnia, jakby to zmieniło to, co miało przyjść później.

Ale to wszystko są pytania bezsensowne. Nie ma gorszej manii, niebezpieczniejszego kaprysu niż gdybanie czy spekulowanie na temat ścieżek, którymi nie podążyliśmy.

Kolejny raz zobaczyłem go dużo później. Kilka razy w ciągu następnych dni zajrzałem na bilard, ale jakoś się na niego nie natknąłem. Wtedy, dokładnie w dniu, kiedy przyszło mi do głowy, żeby odwiedzić go w domu, dowiedziałem się, że wyjechał. Nie powiedziano mi, dokąd ani z kim; ale jednego popołudnia Laverde spłacił wszystkie swoje długi za gry i alkohole, oznajmił, że wyjeżdża na wakacje, i następnego dnia zniknął jak dobra passa nałogowego gracza. W tej sytuacji ja też przestałem tam się pojawiać, bo bez Laverdego miejsce to przestało mnie interesować. Uniwersytet został zamknięty na czas wakacji, cała rutyna związana z katedrą i egzaminami została zawieszona, a uniwersyteckie przestrzenie (ciche aule, spokojne biura) opustoszały. Podczas tej właśnie przerwy Aura Rodríguez, dawna studentka, z którą od paru miesięcy spotykałem się mniej lub bardziej sekretnie, ale na pewno ostrożnie, powiedziała mi, że jest w ciąży.

Aura Rodríguez. Na liście nazwisk jej przodków pojawiali się jeden Aljure i jeden Hadad, i ta libańska krew widoczna była w jej głębokich oczach i w tym przejściu między jej gęstymi brwiami, i w gładkości jej czoła, co w całości mogłoby dodać tonu powagi albo nawet pewnej surowości komuś, kto nie miałby jej serdeczności i otwartości. Jej hojnie rozdawane uśmiechy, jej oczy uważne aż po impertynencję rozbrajały albo neutralizowały rysy, które bez względu na to, jak były piękne (a były piękne, oj tak, bardzo piękne), stawały się czasem twarde lub wręcz wrogie za sprawą lekkiego zmarszczenia brwi czy też specyficznego sposobu uchylania ust przy wydychaniu powietrza w chwilach napięcia czy gniewu. Aura mi się podobała, bo jej biografia niewiele miała wspólnego ze mną, poczynając od samotnego dzieciństwa: rodzice Aury, oboje z Karaibów, przybyli do Bogoty z małą córką na rękach, ale nigdy nie przyzwyczaili się do tego miasta pełnego skrytych i cwanych ludzi, więc po latach skorzystali z okazji i podjęli pracę na Dominikanie, a potem w Meksyku, a jeszcze później na krótki czas w Santiago de Chile, tak więc Aura wyjechała z Bogoty jeszcze jako mała dziewczynka i okres jej dorastania to było coś pomiędzy wędrownym cyrkiem a nigdy niedokończoną symfonią. Rodzina Aury wróciła do Bogoty z początkiem 1994, kilka tygodni po tym, jak zabito Pabla Escobara; ciężka dekada właśnie się skończyła i Aura na zawsze tkwić już miała w nieświadomości tego, co widzieliśmy i co słyszeliśmy my, którzy zostaliśmy na miejscu. Później, kiedy ta pozbawiona korzeni panna pojawiła się na uniwersytecie na rozmowie kwalifikacyjnej, dziekan wydziału zadał jej to samo pytanie, jakie zadaje wszystkim kandydatom: dlaczego prawo? W odpowiedzi Aura trochę kluczyła, ale ostatecznie podała powód związany nie tyle z przyszłością, ile z bezpośrednią przeszłością: „Żeby móc posiedzieć spokojnie w jednym miejscu”. Adwokaci mogą pracować tylko tam, gdzie studiowali, powiedziała Aura, a taka stabilność wydawała się jej zniewalającą możliwością. Wtedy tego nie powiedziała, ale jej rodzice zaczęli już planować kolejną podróż i Aura postanowiła, że się nie przyłączy.

Tak więc została w Bogocie i dzieliła z dwiema dziewczynami z Baranquilli mieszkanie skromnie i tanio umeblowane, gdzie wszystko, lokatorów włączając, miało charakter przejściowy. I zaczęła studiować prawo. Była moją studentką podczas pierwszego roku mojej pracy, kiedy ja też byłem nowicjuszem; potem nie spotkaliśmy się już aż do czasu, kiedy skończyła studia, choć przecież chodziliśmy tymi samymi korytarzami, chadzaliśmy do tych samych kawiarni dla studentów w centrum i parę razy wymieniliśmy pozdrowienia w Legis i Temis, księgarniach prawniczych przypominających publiczne biura z białymi płytkami

zalatującymi detergentem. W pewne marcowe popołudnie spotkaliśmy się w kinie na Dwudziestej Czwartej Ulicy; wydało nam się zabawne, że oboje przyszliśmy sami na czarno-białe filmy (puszczali cykl Buñuela, tego dnia szedł *Szymon pustelnik*, zasnąłem po kwadransie). Wymieniliśmy się numerami telefonów, żeby wypić razem kawę następnego dnia, i tego następnego dnia odstawiliśmy w połowie wypite kawy, kiedy w trakcie banalnej rozmowy zdaliśmy sobie sprawę, że nie interesuje nas opowiadanie sobie nawzajem życia, tylko chcemy udać się gdzieś, gdzie moglibyśmy iść razem do łóżka i przez resztę dnia oglądać wzajemnie nasze ciała, które sobie wyobrażaliśmy, każde na własny sposób, od kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się w zimniej sali wykładowej. Ja pamiętałem ochrypy głos i wydatne obojczyki; zaskoczyły mnie piegi między jej piersiami (wyobrażałem sobie jasną i gładką skórę jak na twarzy) i też zaskoczyły mnie jej usta: zawsze, bez żadnego naukowego wytłumaczenia, były chłodne.

Ale potem zaskoczenia, poszukiwania, odkrycia i zagadki ustąpiły miejsca innej sytuacji, być może jeszcze bardziej zaskakującej, bo nieprzewidywalnej. W ciągu następnych dni spotykaliśmy się bez przerwy i stwierdzaliśmy, że nasze światy wcale specjalnie się nie zmieniają po tych tajnych spotkaniach, że nasz związek nie przekłada się na praktyczny aspekt naszych egzystencji, ani na dobre, ani na złe, tylko współistnieje z nami, jak równoległa droga, jak historia oglądana w odcinkach telewizyjnego serialu. Zdaliśmy sobie sprawę, jak mało się znamy, a w każdym razie ja sobie zdałem. Sporo czasu zajęło mi odkrywanie Aury, tej dziwnej kobiety, która szła ze mną do łóżka wieczorem i sypała jak z rękawa anegdotami własnymi i cudzymi, a czyniąc to, tworzyła absolutnie dla mnie nowy świat, w którym dom jakiejś znajomej mógł pachnieć bólem głowy, na przykład, albo gdzie ból głowy mógł mieć smak lodów z flaszowca. „To tak, jakbym się zadawał z chorą na synestezję”, mówiłem. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś przed otwarciem przykładał prezent do nosa, choć to była ewidentnie para butów albo pierścionek, zwykły niewinny pierścionek. „Jak pachnie pierścionek?”, pytałem Aurę. „Wcale tak naprawdę nie pachnie. Ale tobie się tego nie da wytłumaczyć”.

I tak, podejrzewam, mogliśmy ciągnąć to przez całe życie. Ale pięć dni przed Bożym Narodzeniem Aura pojawiła się z czerwoną walizką na małych kółeczkach, całą pokrytą zewnętrznymi kieszonkami.

– Sześć tygodni – powiedziała. – Chciałabym, żebyśmy spędzili święta razem, potem zobaczymy, co zrobimy.

W jednej z tych kieszeni trzymała elektroniczny budzik i torebkę zawierającą nie przybory do pisania, tylko kosmetyki; w innej zdjęcie swoich rodziców, którzy w tym momencie zainstalowali się na dobre w Buenos Aires. Wyjęła fotografię i położyła ją tyłem do góry na jednym ze stolików nocnych, i postawiła ją normalnie dopiero wtedy, kiedy powiedziałem, że tak, że spędzimy te święta razem, że to dobry pomysł. Wtedy – wspomnienie wciąż jest bardzo żywe w mojej pamięci – rzuciła się na łóżko, na moje zaścielone łóżko, zamknęła oczy i zaczęła mówić.

– Ludzie mi nie wierzą – powiedziała.

Myślałem, że chodzi jej o ciążę, i zapytałem:

– Kto? Komu mówiłaś?

– Kiedy opowiadam o moich rodzicach – odparła Aura. – Nie wierzą mi.

Wyciągnąłem się obok niej i skrzyżowałem ręce pod głową, i słuchałem.

– Nie wierzą mi, na przykład, kiedy mówię, że nie rozumiem, po co mnie mieli, skoro sami sobie wystarczali w zupełności. I wciąż wystarczają. Po prostu potrzebują tylko siebie, i tyle. Przeżyłeś coś takiego? Że jesteś ze swoimi rodzicami i nagle jesteś zbędny, nie potrzebują cię? Mnie się to często zdarza, albo raczej zdarzało, kiedy jeszcze nie mieszkałam sama, i to jest

dziwne, jesteś z rodzicami, a oni zaczynają patrzeć na ciebie takim wzrokiem, który ty już rozpoznajesz, oni zaśmiewają się do rozpuku, a ty nie wiesz z czego, i co gorsza, nie czujesz się w prawie, żeby pytać. To spojrzenie nauczyłam się rozpoznawać już dawno, to nie jest współnictwo, tylko coś znacznie więcej, Antonio. I niejednym razem mnie to spotkało, w Meksyku czy w Chile, niejednym. Podczas posiłku z gośćmi, za którymi nie przepadali, ale i tak ich zapraszali, albo na ulicy, kiedy spotykali kogoś, kto opowiadał bzdury, nagle byłam w stanie z pięciosekundowym wyprzedzeniem przewidzieć: teraz będzie to spojrzenie – i faktycznie, pięć sekund później poruszali brwiami, ich spojrzenia się spotykały, a ja widziałam na ich twarzach uśmieški, których nikt inny nie dostrzegał i których oni używali, żeby zakpić sobie z ludzi tak, jak nikt nigdy z ludzi, przynajmniej z tego, co widziałam, nie kpi. Jak można się uśmiechać tak, żeby nie było widać uśmiechu? Oni potrafili, Antonio, przysięgam, że nie przesadzam, ja dorastałam przy tych uśmiechach. Dlaczego tak mnie to denerwowało? Wciąż mnie denerwuje, ale dlaczego aż tak?

W jej słowach nie było smutku, tylko irytacja albo raczej gniew; gniew kogoś, kto czuje się oszukany przez lekceważenie albo zaniedbanie, tak, to było to, gniew kogoś, kto dał się oszukać.

– Przypominam sobie coś – powiedziała wtedy. – Miałam czternaście czy piętnaście lat, mieliśmy właśnie wyjeżdżać do Meksyku. Był piątek, dzień szkoły, i ja postanowiłam uciec z kilkoma koleżankami, które nie miały za bardzo ochoty na geografię czy matematykę. Szliśmy przez park, to był park San Lorenzo, chociaż mniejsza o nazwę. I wtedy zobaczyłam mężczyznę bardzo podobnego do taty, ale w samochodzie, który nie był samochodem mojego taty. Zatrzymał się na rogu, patrzył w stronę alei, i wtedy do auta wsiadła kobieta bardzo podobna do mojej mamy, ale ubrana w rzeczy, które nie należały do mojej mamy, i z rudymi włosami, jakich moja mama nie miała. Działo się to po drugiej stronie parku i jedyną możliwością, jaką mieli, było objechanie terenu powoli i minięcie miejsca, gdzie stałyśmy. Nie wiem, o czym myślałam, kiedy machałam im, żeby się zatrzymali, w każdym razie wrażenie podobieństwa było zbyt mocne. Tak więc stanęli, ja na chodniku, oni w samochodzie, i z bliska zdałam sobie sprawę, że to faktycznie oni, to byli tata i mama. I uśmiechnęłam się, zapytałam, jak się mają, i wtedy zrobiło się strasznie: patrzyli na mnie i mówili tak, jakby mnie nie znali, jakby nigdy mnie na oczy nie widzieli. Jakbym była jedną z moich koleżanek. Potem zrozumiałam, że prowadzą taką grę. Mąż, który spotyka na ulicy drogą dziwkę. Bawili się w to i nie chcieli, żebym im popsowała zabawę. A wieczorem wszystko jak zawsze: jedliśmy razem, oglądaliśmy telewizję, wszystko. Niczego nie powiedzieli. Przez kilka dni łamałam sobie głowę, co tam się wydarzyło, myślałam i nie rozumiałam, i czułam coś, czego nigdy wcześniej nie czułam, czułam strach, ale nie wiem przed czym – czy to nie absurdalne? – Wzięła głęboki wdech (usta miała zaciśnięte) i szepnęła: – A teraz ja będę mieć dziecko. I nie wiem, czy jestem na to gotowa, Antonio. Nie wiem, czy jestem.

– Ja myślę, że tak – powiedziałem.

Ja też do niej szeptałem, z tego, co pamiętam. A potem szepnąłem jeszcze:

– Przynieś resztę rzeczy. Jesteśmy gotowi.

Jedyną odpowiedzią Aury był wybuch płaczu, spokojnego, ale długiego, ustąpił dopiero, kiedy zasnęła.

W 1995 koniec roku upłynął przy typowej pogodzie, z intensywnie niebieskim niebem, jakie ogląda się na wysokich andyjskich ziemiach, z tymi porankami, kiedy to temperatura spada do zera, a suche powietrze niszczy uprawy ziemniaków i kalafiorów, a za to reszta dnia jest słoneczna i gorąca, a światło tak jasne, że człowiek spala sobie na czerwono skórę na karku i policzkach. Cały ten czas poświęciłem Aurze konsekwentnie – nie: z uporem nastolatka. Dni

spędzaliśmy na spacerach rekomendowanych przez lekarza i długich sjestach (ona), czytaniu żalonych prac zaliczeniowych (ja) albo oglądaniu pirackich filmów ubiegających oficjalne premiery w kinach o mizernym repertuarze (oboje). Wieczorami Aura towarzyszyła mi na świątecznych spotkaniach organizowanych przez moją rodzinę albo przyjaciół, gdzie tańczyliśmy i piliśmy piwo bezalkoholowe, zapalaliśmy zimne ognie i petardy i puszczałyśmy ognie sztuczne, które wybuchwały kolorami na żółtawym nocnym niebie nad miastem, w tej ciemności, która nigdy nie jest zupełna. I nigdy, ani razu, nie zastanawiałem się, co też może teraz robić Ricardo Laverde, czy też śpiewa kolędy, czy też puszcza petardy i fajerwerki, czy może zapala ognie sztuczne, i czy robi to sam, czy w towarzystwie.

Jednego ranka, po którymś z tych spotkań, niebo było ciemne i zachmurzone, Aura i ja poszliśmy na nasze pierwsze USG. Aura już miała odwołać badanie i z pewnością by to zrobiła, gdyby nie oznaczało to konieczności czekania kolejnych dwudziestu dni na wieści na temat dziecka, przy całym ryzyku, jakie z tego wynika. Nie był to zatem poranek podobny do innych, nie był to 21 grudnia taki sam jak inne 21 grudnia innego roku: od pierwszych godzin porannych rozgłośnie i gazety informowały nas, że samolot American Airlines, numer lotu 965 z Miami na lotnisko międzynarodowe imienia Alfonsa Bonilli Aragona w mieście Cali, rozbił się poprzedniej nocy o zachodnie zbocze góry El Diluvio. Miał na pokładzie stu pięćdziesięciu pięciu pasażerów, wielu z nich nawet nie podróżowało do Cali, tylko zamierzało złapać ostatnie nocne połączenie do Bogoty. W chwili podawania wiadomości doliczono się tylko pięciu ocalałych, wszyscy ciężko ranni, i liczba ta nie miała wzrosnąć. Dowiedziałem się o tych obowiązkowych szczegółach – że był to boeing 757, że noc była pogodna i gwiazdzista, że zaczynało się mówić o ludzkim błędzie – z wiadomości nadawanych przez wszystkie stacje. Przykro mi było z powodu wypadku, współczułem najbardziej, na ile jest to możliwe, tym ludziom czekającym na bliskich przed świętami oraz tym, którzy w lotniczych fotelach pojęli w pewnej chwili, że właśnie przeżywają swoje ostatnie sekundy. Ale było to współczucie ulotne i nieuważne, i z pewnością już zniknęło, kiedy weszliśmy do ciasnego pomieszczenia, gdzie Aura, leżąc bez koszuli, i ja, stojąc przy ekranie, dowiedzieliśmy się, że nasza córka (Aura miała magiczną pewność, że to będzie dziewczynka), mierząca w tej chwili siedem milimetrów, cieszy się doskonałym zdrowiem. Na czarnym ekranie widać było coś w rodzaju świetlistego wszechświata upstrzonego mglistymi i poruszającymi się gwiazdami, gdzie, jak twierdziła kobieta w białym kitlu, była też nasza córka: ta wysepka na morzu – każdy z jej siedmiu milimetrów – to była ona. W elektrycznym blasku ekranu widziałem, jak Aura się uśmiecha, i tego uśmiechu, obawiam się, do końca życia nie zapomnę. Potem widziałem, jak nabiera palcem niebieski żel, którego użyła pielęgniarka, i smaruje sobie nim brzuch. A potem uniosła palec do nosa, żeby powąchać tę substancję i sklasyfikować zgodnie z zasadami swojego świata, i patrzeć na to dawało taką absurdalną satysfakcję, jak moneta znaleziona na ulicy.

Nie przypominam sobie, że bym tam myślał o Ricardzie Laverdem, podczas badania USG, kiedy Aura i ja słuchaliśmy, w kompletnym osłupieniu, zbyt przyśpieszonego bicia serca. Nie przypominam sobie, że bym myślał o Ricardzie Laverdem później, kiedy razem z Aurą wypisywaliśmy żeńskie imiona na białej kopercie, tej samej, w której otrzymaliśmy wydruk wyników z USG. Nie przypominam sobie, że bym myślał o Ricardzie Laverdem, kiedy czytałem na głos te wyniki, kiedy dowiedziałem się, że nasza dziewczynka znajduje się w głębi macicy i ma regularnie owalny kształt, które to słowa wywołały gwałtowny atak śmiechu Aury w środku restauracyjnej sali. Nie przypominam sobie, że bym myślał o Ricardzie Laverdem nawet wtedy, kiedy robiłem mentalny przegląd wszystkich znanych mi ojców córek, trochę po to, żeby sprawdzić, czy przyjscie na świat dziewczynki ma jakiś możliwy do przewidzenia wpływ na ludzi; albo w ramach pierwszych poszukiwań potencjalnych doradców lub wsparcia, tak jakby

wyczuwając już, że to, co mnie czeka, będzie najintensywniejszym, najbardziej tajemniczym i nieprzewidywalnym doświadczeniem, jakiego przyjdzie mi zaznać. Tak naprawdę nie pamiętam myśli, nachodzących mnie tego dnia i w ciągu następnych dni – podczas gdy świat powoli przechodził z jednego roku w drugi – prócz tych, które dotyczyły mojego rychłego ojcostwa. Oczekiwałem córki, w wieku dwudziestu sześciu lat oczekiwałem córki, i wobec tej przyprawiającej mnie o zawrót głowy świadomości jedyne, co mi przychodziło do głowy, to mój ojciec, który w moim wieku już miał i mnie, i moją siostrę, a przecież matka pierwsze dziecko poroniła. Nie wiedziałem jeszcze, że pewien stary polski pisarz wiele lat temu mówił o smudze cienia, tej chwili, w której młody mężczyzna staje się panem swojego życia, ale właśnie to odczuwałem, kiedy moja córka rosła w brzuchu Aury: czułem, że jestem o krok od przemiany w inną i nieznaną istotę, której twarzy nie znałem, której sił nie mogłem określić, i czułem też, że po tej metamorfozie nie będzie już odwrotu. Żeby powiedzieć to inaczej i bez takiego mitologizowania: czułem, że coś bardzo ważnego i zarazem bardzo kruchego staje się moją odpowiedzialnością, i czułem, paradoksalnie, że jestem w stanie temu sprostać. Nie dziwi mnie teraz, że miałem mgliste pojęcie o rzeczywistym świecie podczas tych dni, bo moja kapryśna pamięć oczyściła je z wszystkiego, co nie miało związku z ciążą Aury.

Trzydziestego pierwszego grudnia w drodze na sylwestrową zabawę Aura przeglądała listę imion wypisaną na żółtej kartce w czerwone linie i z podwójnym zielonym marginesem, pełną skreśleń, podkreśleń i komentarzy na boku, którą wszędzie ze sobą zabieraliśmy i wyciągaliśmy w każdej wolnej chwili – kolejka w banku, poczekalnie, osławione bogotańskie korki – kiedy inni czytają gazety albo fantazjują na temat lepszych wariantów swojego życia. Z długiej listy przetrwały tylko nieliczne imiona, wszystkie opatrzone uwagami albo obawami przyszłej matki:

Martina (ale to imię tenisistki)

Carlota (ale to imię cesarzowej)

Jechaliśmy autostradą na północ, mijając wiadukt nad Setną Ulicą. Gdzieś przed nami doszło do wypadku i ruch prawie całkowicie stanął. To w ogóle zdawało się nie interesować Aury, pogrążonej całkowicie w rozmyślaniach nad imieniem dla naszej dziewczynki. Skądś dobiegł odgłos karetki na sygnale; zerknąłem w lusterka, żeby wypatrzeć błyski czerwonych świateł próbującego się przepchać pojazdu, ale niczego nie zobaczyłem. To wtedy Aura powiedziała:

– A może Leticia? Tak się chyba nazywała jakaś moja prababka czy ktoś.

Powtórzyłem imię dwa czy trzy razy, jego długie samogłoski, jego spółgłoski łączące wrażliwość ze stanowczością.

– Leticia – powiedziałem. – Tak, może być.

Tak więc byłem innym człowiekiem pierwszego roboczego dnia nowego roku, kiedy pojawiłem się na bilardzie przy Czternastej Ulicy i natknąłem się na Ricarda Laverdego, pamiętam, że miałem tylko jedno uczucie: sympatię dla niego i jego żony, pani Eleny Fritts, oraz intensywne pragnienie, bardziej intensywne niżbym kiedykolwiek sądził, żeby jego świąteczne spotkanie przyniosło jak najlepsze efekty. Zaczął już swoją partię, więc ja zgadałem się z innymi graczami przy innym stole i zacząłem grać bez niego. Laverde nie patrzył na mnie; zachowywał się tak, jakbyśmy się widzieli poprzedniego dnia. W którymś momencie, pomyślałem, pozostali klienci zaczną się rozchodzić, pod koniec wieczoru zostaniemy ci sami co zawsze, jak w zabawie w komórki do wynajęcia. Ricardo Laverde spotka się ze mną, przez chwilę pogramy, a potem, przy odrobinie szczęścia, wrócimy do rozmowy sprzed świąt. Ale tak się nie stało. Kiedy skończył partię, zobaczyłem, że odnosi kij na miejsce, że rusza w stronę wyjścia, że zatrzymuje się, podchodzi do stołu, gdzie ja grałem. Mimo obfitego potu, który zraszał mu czoło, mimo

zmęczenia odbijającego się na twarzy nie zauważyłem w jego pozdrowieniu niczego, co mogłoby niepokoić.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedział z oddali. – Jak pan przeżył święta?

Nie pozwolił mi jednak odpowiedzieć albo raczej jakoś tak przerwał mi odpowiedź, albo w jego głosie czy gestach było coś, co pozwoliło mi pojąć, że jego pytanie było retoryczne, jedna z tych pustych grzecznościowych formułek, jakie zawsze wymieniają między sobą bogotanie i nie wymagają one wcale natychmiastowej, czy choćby szczerzej, odpowiedzi. Laverde wyciągnął z kieszeni czarną kasetę, na oko dość starą, której jedynym oznakowaniem była pomarańczowa etykieta, a na niej napis BASF. Pokazał mi ją, nie podnosząc zbyt wysoko ręki, jak ktoś, kto proponuje nielegalny towar, jakieś szmaragdy na targu albo zawiniątko z narkotykami tuż pod budynkiem sądu.

– Wie pan co, Yammara, muszę tego wysłuchać – powiedział. – Nie wie pan, kto by mi mógł pożyczyć magnetofon?

– Don José nie ma tu jakiegoś?

– Nie, nic nie ma – odpowiedział. – A to pilne. – Puknął dwa razy w czarną obudowę kasety. – Sprawa osobista.

– Zaraz – powiedziałem. – Jest dwie przecznice stąd jedno miejsce, zapytać zawsze można.

Miałem na myśli Dom Poezji, dawną rezydencję poety Josego Asunción Silvy, teraz przekształconą w centrum kulturalne, gdzie organizowano odczyty i warsztaty. Często tam bywałem w czasie studiów. Mieli salę jedyną w swoim rodzaju: miłośnicy literatury mogli się rozsiąść na miękkich skórzanych sofach, obok w miarę nowego sprzętu nagłaśniającego, i do upadłego wsłuchiwać się w legendarne już nagrania: Borges czytany głosem Borgesa, García Márquez głosem Garcíi Marqueza, León Greiff głosem Leona Greiffa. Silva i jego dzieło byli w tym czasie na ustach wszystkich, bo owego 1996 roku, który właśnie się rozpoczynał, miały zostać zorganizowane obchody stulecia jego samobójstwa. „Tego roku”, przeczytałem w felietonie jednego znanego dziennikarza, „będzie się mu stawiało pomniki w mieście, każdy polityk będzie sobie wycierał gębę jego nazwiskiem i wszyscy będą chodzić w kółko, recytując *Nokturn*, i będą nosić mu kwiaty do Domu Poezji. A Silvie, gdziekolwiek by teraz był, wyda się to dziwne: to zapyziałe społeczeństwo, które tak go upokarzało, które pokazywało go palcem zawsze, kiedy tylko nadarzyła się okazja, teraz oddaje mu hołdy, jakby chodziło o jakąś głowę państwa. Klasa rządząca naszego kraju, żalosna i cyniczna, zawsze lubiła zawłaszczać sobie kulturę. I tak będzie z Silvą: zawłaszczą sobie jego pamięć. A jego prawdziwi czytelnicy przez cały ten rok będą się zastanawiać, dlaczego, do cholery, nie można zostawić Silvy w spokoju”. Niewykluczone, że miałem ten fragment w pamięci (w jakiejś jej ciemnej części, głęboko, bardzo głęboko, w archiwach niepotrzebnych rzeczy), kiedy wybierałem to, a nie inne miejsce, żeby zaprowadzić tam Laverdego.

Przeszliśmy dwie przecznice bez słowa, ze wzrokiem utkwionym w popękany betonie chodnika albo w ciemnej zieleni wzgórz wznoszących się w oddali, najeżonych eukaliptusami i także słupami telefonicznymi, przypominającymi łuski iguany. Kiedy dotarliśmy przed bramę i weszliśmy po kamiennych schodach, Laverde puścił mnie przodem: nigdy nie był w takim miejscu i zachowywał ostrożność, był podejrzliwy jak zwierzę w niepewnym terenie. W pomieszczeniu z sofami siedziało dwóch uczniów z liceum, para nastolatków słuchających tego samego nagrania, co chwila patrzyli na siebie i śmiali się bezczelnie, oraz mężczyzna w marynarce i z krawatem, z walizką z wypłowiałej skóry na kolanach, który bezwstydnie chrapał. Tutejszej pracownicy, bez wątpienia nawykłej do większych ekstrawagancji, wyjaśniłem, o co nam chodzi; zmierzyła mnie badawczym spojrzeniem swoich skośnawych oczu,

chyba rozpoznała i skojarzyła mnie jako bywalca tego miejsca, i wyciągnęła rękę.

– To proszę to dać – powiedziała bez entuzjazmu. – Co panowie chcą puścić?

Laverde podał jej kasetę, tak jakby składał broń, i podczas wykonywania tego gestu można było dostrzec jego palce ubrudzone niebieską kredą do bilardu. Usiadł w fotelu, który wskazała mu kobieta, tak potulny, jakim nigdy go nie widziałem, założył słuchawki, usadowił się wygodnie i zamknął oczy. Ja tymczasem zastanawiałem się, czym się zająć przez ten czas, i moja ręka trafiła na wiersze Silvy, choć równie dobrze mogła trafić na jakieś inne nagranie (najwyraźniej uległem rocznicowej presji). Usiadłem w swoim fotelu, wziąłem słuchawki, nałożyłem je sobie z tym dziwnym uczuciem, jakbym oddalał się od rzeczywistego świata i zaczynał żyć w innym wymiarze. I kiedy zabrzmiały pierwsze słowa *Nokturnu*, kiedy głos, którego nie umiałem zidentyfikować – baryton ocierający się o melodramat – odczytał ten pierwszy wers, który każdy Kolumbijczyk choć raz wypowiedział na głos, zdałem sobie sprawę, że Ricardo Laverde płacze. *Noc przepelniona zapachami*, mówił baryton, w tle pobrzmiwał fortepian, a kilka kroków ode mnie Ricardo Laverde, który nie słyszał tych wersów co ja, przecierał oczy grzbietem dłoni, potem całym rękawem, *szeptami i muzyką skrzydeł*. Ramiona Ricarda Laverdego zaczęły drżeć, spuścił głowę, złożył ręce jak do modlitwy. *I twój cień, blady i ulotny*, mówił Silva głosem melodramatycznego barytonu, *i mój cień przez księżycy blask rzucany*. Nie wiedziałem, czy mam patrzeć na Laverdego, czy nie, czy zostawić go z jego żalem, czy jednak podejść i zapytać, co się dzieje. Pamiętam, pomyślałem sobie, że mógłbym przynajmniej zdjąć słuchawki, sposób dobry jak każdy inny, żeby jakoś otworzyć przestrzeń między nami, skłonić go, żeby coś powiedział; i pamiętam, że postanowiłem postąpić odwrotnie, wybrałem bezpieczeństwo i ciszę mojego nagrania, w których melancholia wiersza Silvy zasmucała mnie, ale bez żadnego niebezpieczeństwa. Pomyślałem, że smutek Laverdego jest niebezpieczny, obawiałem się tego, co ten smutek zawiera, ale brakowało mi intuicji, by pojąć, co się wydarzyło. Nie pamiętałem o kobiecie, na którą Laverde czekał, nie pamiętałem jej imienia, nie powiązałem jej z wypadkiem na El Diluvio, tylko siedziałem tam, w fotelu ze słuchawkami, nie chcąc zakłócać smutku Ricarda Laverdego, a nawet zamknąłem oczy, żeby go nie peszyć swoim niedyskretnym spojrzeniem, żeby pozwolić mu na zachowanie jakiejś intymności w tym publicznym miejscu. W mojej głowie, i tylko w mojej głowie, Silva mówił: *I były jednym długim cieniem*. W moim świecie bez hałasów, w którym wszystko wypełniały baryton i słowa Silvy oraz spowijające je powolne dźwięki fortepianu, mijał czas ciągnący się w mojej pamięci. Kto słucha poezji, wie, że to się zdarza, czas odmierzany wersami jak metronomem, jednocześnie rozciągający się i rozpraszający, i wikłający się jak czas w snach.

Kiedy otworłem oczy, Laverdego już nie było.

– Dokąd poszedł? – zapytałem ze słuchawkami wciąż na uszach. Mój głos dotarł do mnie z bardzo daleka, więc zareagowałem absurdalnie i zdjąłem te słuchawki, po czym zadałem pytanie jeszcze raz, jakby pracująca tu kobieta nie usłyszała go za pierwszym razem.

– Kto? – zapytała.

– Mój kolega – powiedziałem. Pierwszy raz tak go nazwałem i nagle poczułem się śmiesznie: nie, Laverde nie był moim kolegą. – Ten, co tu siedział.

– A, no nie wiem, nic nie powiedział – odparła. Odwróciła się, sprawdziła sprzęt; nieufnie, jakbym czegoś od niej chciał, dodała: – Kasetę to mu oddałam, jasne? Może go pan zapytać.

Wyszedłem z sali i szybko obszedłem budynek. Dom, w którym José Asunción Silva dożył swoich ostatnich dni, miał w środku jasne patio, oddzielone od otaczających go korytarzy szklanymi witrynami, których tu nie było za czasów poety, a teraz chroniły gości przed deszczem: moje kroki rozbrzmiewały w tych cichych korytarzach bez echa. Laverde nie siedział

w bibliotece ani na drewnianych ławkach, ani w sali konferencyjnej. Ewidentnie wyszedł. Ruszyłem w stronę wąskich drzwi wejściowych, minąłem strażnika w brązowym mundurze (miał beret założony na bakier, jak killer z jakiegoś filmu), minąłem pokój, w którym poeta strzelił sobie w pierś sto lat temu, i wychodząc na Czternastą Ulicę, zobaczyłem, że słońce schowało się za domami przy Siódmej Alei, zobaczyłem, że żółte latarnie zaczynają się nieśmiało zapalać, i zobaczyłem Ricarda Laverdego, ze spuszczoną głową i w długim płaszczu, idącego dwie ulice dalej, zbliżał się już do bilardu. Pomyślałem: *I były jednym długim cieniem*, wers absurdalnie wrócił mi do głowy; i w tej samej chwili dostrzegłem motor, dotąd stojący spokojnie na chodniku. Możliwe, że zwróciłem na niego uwagę, bo dwóch siedzących na nim mężczyzn wykonało ledwie dostrzegalny ruch: stopy tego z tyłu oparły się na podpórce, ręka schowała się za kurtką. Obaj mieli oczywiście kaski; ich szybki były oczywiście opuszczone, wielkie prostokątne oko pośrodku wielkiej głowy.

Zawołałem głośno Laverdego, nie żebym się domyślił, że coś się wydarzy, nie żebym chciał go ostrzec; w tej chwili moją jedyną intencją było dogonić go, zapytać, czy dobrze się czuje, może zaoferować pomoc. Ale Laverde mnie nie słyszał. Ruszyłem szybszym krokiem, wymijając pieszych na wąskim chodniku, który w tym miejscu jest wysoki na dwie dłonie, czasami schodziłem na ulicę, żeby było szybciej, i myślałem bezmyślnie: *I były jednym długim cieniem*, czy też raczej znosiłem ten wers dzwoniący uporczywie w mojej głowie. Na rogu Czwartej Ulicy gęsty wieczorny ruch toczył się powoli, gęsiego, w stronę wyjazdu z alei Jiménez. Znalazłem miejsce, w którym przeszedłem przez ulicę przed zielonym busem, jego dopiero co włączone reflektory wydobyły na jaw uliczny kurz, obłoki spalin z rury wydechowej, mżawkę. O tym myślałem, na tym deszczu, przed którym trzeba było się szybko schować, kiedy dobiegłem do Laverdego, czy też raczej znalazłem się tak blisko niego, że widziałem, jak deszcz tworzy ciemne plamy na ramionach jego kurtki.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniłem go. Idiotyczne zdanie, bo przecież nie wiedziałem, co to jest to *wszystko*, a tym bardziej, czy będzie dobrze, czy nie. Ricardo spojrział na mnie z twarzą wykrzywioną bólem.

– Elena tam była – powiedział.

– Gdzie? – zapytałem.

– W samolocie – odpowiedział.

Wydaje mi się, że w którejś chwili Aura rozważała imię Elena; wyobrażałem ją sobie z twarzą i ciałem ciężarnej Aury, i chyba w tym momencie poczułem coś nowego, co nie mogło być strachem, jeszcze nie, ale bardzo go przypominało. Wtedy zobaczyłem motor jadący ulicą, ruszył z kopyta jak koń, widziałem, jak przyśpiesza i podjeżdża do przodu jak turysta szukający drogi, i dokładnie w tej chwili, kiedy wziąłem Laverdego pod ramię, kiedy moja dłoń wpiła się w lewy rękaw jego kurtki, zobaczyłem głowy bez twarzy skierowane w naszą stronę i rewolwer, wycelowany w nas z pełną naturalnością, niczym metaliczna proteza, i ujrzałem dwa błyski, i usłyszałem dwa wystrzały, i poczułem dwa szarpnięcia w powietrzu. Pamiętam, że podniosłem rękę, żeby się zasłonić, tuż przed tym, jak poczułem nagły ciężar. Nogi przestały mnie utrzymywać. Laverde padł na ziemię, a ja padłem razem z nim, dwa ciała padające bez żadnego odgłosu, ludzie zaczęli krzyczeć, a w moich uszach rozległ się uporczywy szum. Jakiś mężczyzna podszedł do ciała Laverdego, próbując je podnieść, i pamiętam moje zaskoczenie, bo jakiś inny podszedł do mnie. „Ze mną wszystko w porządku”, powiedziałem, a w każdym razie tak pamiętam, „mnie nic nie jest”. Z ziemi widziałem jeszcze, że ktoś inny wbiega na jezdnię, machając jak rozbitek, i zatrzymuje białego pick-upa wyjeżdżającego z rogu. Wypowiedziałem imię Ricarda, raz, dwa razy; poczułem ciepło na brzuchu, przelotnie przyszło mi do głowy, że może się posikałem, ale zaraz odkryłem, że to, co zalewa moją szarą koszulkę, to nie jest moc.

Krótko później straciłem świadomość, ale ostatni obraz, jaki zachowałem, pozostaje dość jasny w mojej pamięci: podnoszone ciało i wysiłek mężczyzn ładujących mnie na tył samochodu, obok Laverdego, jak jeden cień obok drugiego, na karoserii zostaje plama krwi, która o tej porze i przy tak słabym świetle jest czarna jak nocne niebo.

II. Nigdy nie będzie jedną z moich zmarłych

Wiem, choć nie pamiętam, że kula przeszła przez mój brzuch, nie naruszając organów wewnętrznych, ale niszcząc nerwy i ścięgna, i ostatecznie ulokowała się w kości miednicy, dwadzieścia centymetrów od kręgosłupa. Wiem, że straciłem dużo krwi i że mimo rzekomej uniwersalności mojej grupy krwi zapasy w szpitalu San José były w tym czasie wątki, a może zapotrzebowanie ze strony udręczonej ludności zbyt duże, więc mój ojciec i mój brat musieli oddać krew, żeby ratować mi życie. Wiem, że miałem szczęście. Wszyscy mi to powtarzali, kiedy tylko stało się to możliwe, ale wiem to i tak, instynktownie o tym wiem. Poczucie, że mam szczęście, dobrze to pamiętam, było jednym z pierwszych wrażeń notowanych przez moją odzyskaną świadomość. Nie przypominam sobie natomiast tych trzech dni operacji: zniknęły bez śladu zamazane przez ciągłą anestezję. Nie pamiętam halucynacji, ale wiem, że je miałem; nie pamiętam, że wypadłem z łóżka, kiedy szarpałem się gwałtownie pod wpływem takich właśnie majaków, i choć nie pamiętam, że mnie przywiązali do łóżka, żeby zapobiec takim wypadkom, dobrze pamiętam gwałtowną klaustrofobię, straszną świadomość własnej kruchości. Pamiętam gorączkę, pot, który nocami zalewał moje ciało i zmuszał pielęgniarki do ciągłego wymieniania prześcieradeł, urazy gardła i kącików ust, jakie sobie sam zrobiłem, kiedy próbowałem raz wyrwać tubę respiratora; pamiętam brzmienie mojego własnego głosu, kiedy krzyczałem, i wiem, choć tego też nie pamiętam, że moje krzyki straszyły innych pacjentów na piętrze. Pacjenci albo ich krewni skarżyli się, pielęgniarki ostatecznie przeniosły mnie do innej sali i tam, w krótkiej chwili jasności umysłu, zapytałem o los Ricarda Laverdego i dowiedziałem się (nie wiem z czyich ust), że umarł. Nie pamiętam, że bym poczuł smutek, a ściślej mówiąc, myślę i zawsze myliłem smutek po otrzymaniu jakiejś wiadomości z płaczem wynikającym z bólu, i tak czy inaczej wiem, że leżąc tam i skupiając się na tym, żeby przeżyć, domyślając się powagi swojej sytuacji po przestraszonych spojrzeniach otaczających mnie osób, nie byłem w stanie myśleć za dużo o zmarłym. Nie przypominam sobie jednak, że bym go winił za to, co się stało.

Natomiast potem – owszem. Przeklinałem Ricarda Laverdego, przeklinałem chwilę, w której się poznaliśmy, i ani przez moment nie przyszło mi do głowy, że to nie Laverde jest odpowiedzialny za moje nieszczęście. Cieszyłem się, że nie żyje, życzyłem mu, w rewanżu za moje cierpienie, bolesnej śmierci. Z głową spowitą mgłą odpowiadałem monosylabami na pytania rodziców. Poznałeś go na bilardzie? Tak. Nie wiedziałeś, czym się zajmuje, czy jest umoczony w jakieś dziwne sprawy? Nie. Dlaczego go zabili? Nie wiem. Dlaczego go zabili, Antonio? Nie wiem, nie wiem. Antonio, dlaczego go zabili? Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Pytanie powtarzało się uporczywie, a moja odpowiedź zawsze brzmiała tak samo, i szybko stało się jasne, że to pytanie nie oczekuje odpowiedzi: była to raczej skarga. Tej samej nocy, kiedy zastrzelono Ricarda Laverdego, doszło do szesnastu innych zabójstw w różnych częściach miasta i różnymi sposobami, a mnie akurat zapadł w pamięć przypadek Neftalego Gutierrez, taksówkarza, zmarł od ciosów kluczem do kół, oraz Jaira Alejandra Niño, mechanika samochodowego, który miał dziewięć ran ciętych od maczety i znaleziono go na jakimś polu w zachodniej części miasta. Zabójstwo Laverdego było jednym z wielu i wydawało się wręcz arogancją czy pretensjonalnością sądzić, że należeć się nam może jakiś luksus odpowiedzi.

– Ale co on takiego zrobił, że go zabili? – zastanawiał się mój ojciec.

– Nie wiem – odpowiadałem. – Niczego nie zrobił.

– Coś musiał – powtarzał ojciec.

– Ale jakie to ma teraz znaczenie – wtrącała się moja matka.

– No tak – odpowiadał ojciec. – Jakie to ma znaczenie.

W miarę jak wyływałem na powierzchnię, nienawiść do Laverdego ustępowała nienawiści do mojego własnego ciała i tego, co ono czuje. I ta nienawiść skierowana we mnie przeistoczyła się w nienawiść do innych, pewnego dnia stwierdziłem, że nie chcę widzieć nikogo, wyrzuciłem rodzinę ze szpitala i zakazałem im odwiedzin, póki mój stan się nie poprawi.

– Ale my się martwimy – powiedziała matka – chcemy się tobą zajmować.

– Ale ja nie chcę. Nie chcę, żebyś się mną zajmowała, żeby ktokolwiek się mną zajmował. Chcę, żebyście sobie poszli.

– A jeśli będziesz czegoś potrzebował? Jeśli moglibyśmy ci pomóc, a akurat nas nie będzie?

– Niczego nie potrzebuję. Potrzebuję być sam.

Chcę nasycić się ciszą, pomyślałem wtedy: wers Leona de Greiffa, innego poety, którego często słuchałem w Domu Silvy, poezja atakuje nas w najmniej spodziewanych momentach. Chcę nasycić się ciszą, a nie cieszyć kompanią. Zostawcie mnie samego. Tak, to powiedziałem rodzicom: zostawcie mnie samego.

Przyszedł do mnie lekarz, żeby wytłumaczyć, jak należy używać przycisku: kiedy poczuję zbyt silny ból, powiedział, mogę nacisnąć ten guziczek i porcja morfiny aplikowana prosto w żyłę przyniesie mi natychmiastową ulgę. Ale są limity. Pierwszego dnia dzienną dawkę morfiny wykorzystałem w jedną trzecią czasu (naciskałem guzik jak dziecko grające w gry wideo) i następne godziny stanowią w mojej pamięci wspomnienie najbliższe piekłu. Opowiadam o tym, bo właśnie tak, w majakach powodowanych bólem i morfiną, upływały mi dni mojej rekonwalescencji. Zapadałem w sen co chwila, nie miałem wyraźnego porządku dnia, jak więźniowie w książkach; otwierałem oczy i widziałem zawsze zaskakujący pejzaż, którego najdziwniejszą cechą było to, że nigdy nie staje się znajomy, zawsze miałem wrażenie, że widzę go pierwszy raz. W jakiejś chwili, której nie umiem określić, pojawiła się w tym krajobrazie Aura siedząca na brązowej kanapie, patrząca na mnie ze szczerym żalem, kiedy otwierałem oczy. Było to nowe uczucie (albo nowa była świadomość, że patrzy na mnie i troszczy się o mnie kobieta, oczekująca mojego dziecka), ale chyba nie myślałem wtedy o tym.

Noce. Pamiętam te noce. Strach przed ciemnością zaczął się podczas ostatnich dni mojego pobytu w szpitalu i zniknąć miał dopiero rok później: o szóstej trzydzięci wieczorem, w godzinie, kiedy nad Bogotą zapada nagła noc, serce zaczynało mi walić jak oszalałe, i z początku trzeba było intensywnych starań kilku lekarzy, żeby przekonać mnie, że nie umrę na zawał. Długa bogotańska noc – trwa ponad jedenaście godzin, zawsze, niezależnie od pory roku, a tym bardziej stanu psychicznego cierpiących – okazywała się dla mnie nieznośna w szpitalu, którego nocne życie toczyło się na zawsze oświetlonych na biało korytarzach albo w neonowym półmroku białych sal; ale w sypialni mojego mieszkania ciemność była zupełna, bo uliczne światła nie docierały na dziesiąte piętro, a strach na samą myśl, że mógłbym się zbudzić i nic nie widzieć, zmusił mnie do spania przy zapalonym świetle, tak jak w dzieciństwie. Aura zносиła te jasne noce lepiej, niżbym się spodziewał, czasami korzystała z tych maseczek rozdawanych w samolotach, które pozwalają zrobić sobie prywatną ciemność, czasami poddawała się, oglądała w telewizji jakieś programy z promocjami i zachwycała się maszynami, które skroją wszystkie owoce, kremami redukującymi cellulitis. Jej ciało ulegało, rzecz jasna, przemianie; rosła w niej dziewczynka o imieniu Leticia, ale ja nie byłem w stanie poświęcić jej wystarczająco wiele uwagi. Niejeden raz budziłem się z absurdałnego koszmaru: znów mieszkałem w domu rodziców, ale tym razem z Aurą, i nagle wybuchła butla z gazem, cała rodzina ginęła, a ja zdawałem sobie z tego sprawę i nie mogłem nic zrobić. I nie zważając na porę, zawsze łapałem za telefon i dzwoniłem do domu, żeby się przekonać, czy nic się naprawdę nie stało, że sen naprawdę jest tylko snem. Aura starała się mnie uspokoić. Wpatrywała się we mnie, czułem, że

patrzy. „To nic”, powtarzałem. I dopiero nad ranem udawało mi się przespać kilka godzin, leżałem zwinięty w kłębek jak pies wystraszony ogniami sztucznymi, zastanawiając się, dlaczego we śnie nie pojawia się Leticia, co takiego zrobiła, że jej nie ma w moim śnie.

W mojej pamięci następane miesiące jawią się jako czas wielkich lęków i małych niedogodności. Na ulicy ogarniała mnie niewzruszona pewność, że jestem obserwowany; wewnętrzne urazy, jakie spowodował postrzał, zmusiły mnie do korzystania z kul przez długie miesiące. Ból, jakiego nigdy dotąd nie czułem, pojawił się w mojej lewej nodze, przypominał to, co odczuwają ludzie o krok od ataku wyrostka robaczkowego. Lekarze tłumaczyli mi, w jakim rytmie odtwarzają się nerwy i jak długo zajmie mi powrót do względnej niezależności, a ja ich słuchałem, nic nie rozumiejąc, a może raczej nie rozumiejąc, że mówią o mnie; gdzie indziej, daleko od miejsca, w którym ja przebywałem, moja kobieta słuchała wyjaśnień innych lekarzy na zupełnie inne tematy i brała tabletki z kwasem foliowym, i przyjmowała zastrzyki z kortyzonem mającym pomóc w rozwoju płuc dziecka (w rodzinie Aury zdarzały się przedwczesne porody). Jej brzuch się zmieniał, ale ja nie zdawałem sobie z tego sprawy. Aura kładła moją dłoń obok wystającego pępka. „Tu, tutaj jest. Czujesz?”. „Ale co mam czuć?”, pytałem. „No nie wiem, taki jakby motyl, jakby skrzydełka muskające po skórze. Nie wiem, czy wiesz, o co mi chodzi”. A ja mówiłem, że tak, że doskonale rozumiem, choć to było kłamstwo.

Niczego nie czułem: byłem rozkojarzony, strach mnie rozkojarzał. Wyobrażałem sobie twarze zabójców ukryte za szybkami kasków; huk wystrzałów i przeciągły gwizd w moich nadwerężonych bębenkach; nagłe pojawienie się krwi. Nawet teraz, kiedy to piszę, nie jestem w stanie myśleć o tych szczegółach, nie czując jednocześnie tego samego zimnego strachu przenikającego ciało. Strach, w fantastycznym języku terapeuty, który zajmował się mną, kiedy pojawiły się pierwsze problemy, nazywał się stresem pourazowym, i jego zdaniem miał ścisły związek z czasami zamachów bombowych, jakie przeżyliśmy przed laty. „Więc proszę się nie przejmować ewentualnymi problemami w sprawach intymnych”, powiedział (użył tych właśnie słów, „sprawy intymne”). Na to nie odpowiedziałem. „Ciało walczy z czymś bardzo poważnym”, ciągnął lekarz. „Musi się pan na tym skupić i wyeliminować wszystko, co niepotrzebne. Libido to pierwsze, co znika, rozumie pan? Więc proszę się nie przejmować. Wszelkie zaburzenia są normalne”. Tym razem też nie odpowiedziałem. „Zaburzenia”: to słowo wydało mi się brzydkie, miałem wrażenie, że jego głoski się zderzają ze sobą, że psują atmosferę, i pomyślałem, że nie będę o tym mówił Aurze. Lekarz tłumaczył dalej, nie było sposobu, żeby go zatrzymać. Strach to główna choroba bogotan mojego pokolenia, mówił mi. Moja sytuacja, twierdził, nie ma w sobie nic nadzwyczajnego, strach w końcu przejdzie, tak jak przechodzi każdemu, kto pojawił się w jego gabinecie. Wszystko to mi mówił. Nigdy nie pojął, że nie interesuje mnie racjonalne wyjaśnienie ani tym bardziej statystyczny aspekt tych nagłych palpacji, gwałtownych potów, które w innym kontekście byłyby śmieszne, że interesują mnie tylko magiczne słowa, za których sprawą te poty i palpacje znikną, mantra, która pozwoli mi znów przespać ciągiem całą noc.

Nabrałem rutynowych przyzwyczajień człowieka dręczonego bezsennością: kiedy już jakiś hałas albo złudzenie hałasu przepłoszyło mój sen (i wydało mnie na pastwę bólu nogi), szukałem kul, szedłem do salonu, siadałem w rozkładanym fotelu i tak zostawałem, patrząc na przemieszczanie się nocy nad bogotańskimi wzgórzami, zielone i czerwone światelka samolotów, które pojawiały się, gdy niebo było czyste, rosę zbierającą się na szybach okien niczym biały cień o poranku, kiedy spadała temperatura. Nie tylko jednak nocą miałem problemy, w ciągu dnia też. Miesiące po zdarzeniu z Laverdem wciąż wystarczał huk z rury wydechowej, trzask drzwi albo nawet grubej książki, która w określony sposób spada na określoną powierzchnię, żebym dostał ataku lękowego i paranoi. W każdym momencie, bez żadnego wyraźnego powodu, potrafiłem wybuchnąć rozpaczliwym płaczem. Płacz dopadał mnie bez żadnego ostrzeżenia: przy stole w

jadalni, przed rodzicami albo Aurą, na spotkaniu z przyjaciółmi, więc do świadomości bycia chorym dołączył jeszcze wstyd. Z początku zawsze znajdował się ktoś, kto rzucał się mnie przytulać, padały słowa, jakimi pociesza się dziecko: „Już po wszystkim, Antonio, już po wszystkim”. Z czasem ludzie, moi bliscy, przyzwyczaili się do tych nagłych płaczów i zniknęły słowa pocieszenia, zniknęły uściski, i wstyd był jeszcze większy, bo stało się ewidentne, że bardziej niż wzbudzam litość, wydaję im się śmieszny. Z obcymi, którzy nie czuli się w obowiązku okazywać mi lojalności czy jakiegoś współczucia, było jeszcze gorzej. Podczas jednego z pierwszych wykładów, który prowadziłem po powrocie do pracy, jeden student zadał mi pytanie o teorii Von Iheringa. „Sprawiedliwość, powiedziałem, opiera się na podwójnym fundamencie: walki jednostki o poszanowanie jej praw oraz państwa narzucającego konieczny porządek”. „W takim razie, spytał student, czy możemy powiedzieć, że człowiek, który reaguje, bo czuje, że jego prawa są zagrożone albo pogwałcone, staje się twórcą prawa?”. Zamierzałem wrócić do tych czasów, kiedy wszelkie prawa stanowiły część religii, do tych odległych epok, kiedy rozróżnienie między moralnością, higieną, sferą publiczną i prywatną nie istniało jeszcze, ale nie dałem rady. Zakryłem oczy krawatem i rozplakałem się. Wykład został zawieszony. Wychodząc, usłyszałem słowa jednego ze studentów: „Biedak. Nie wyliże się z tego”.

Wiele razy usłyszałem tę diagnozę. Kiedyś wieczorem Aura przysłała późno ze spotkania z przyjaciółkami, konkretnie z tego, które w moim mieście nazywane jest z angielskiego *shower*, deszcz prezentów dla przyszłej matki. Weszła ostrożnie, bez wątpienia, żeby nie zaburzać mojego snu, ale zastała mnie kompletnie rozbudzonego i robiącego notatki na temat tego Von Iheringa, który wpędził mnie w kryzys.

– Może spróbujesz zasnąć? – powiedziała, bo to właściwie nie było pytanie.

– Pracuję – odpowiedziałem – kończę i idę spać.

Pamiętam, że wtedy zdjęła cienki płaszcz (nie, może nie tyle płaszcz, to był raczej prochowiec), powiesiła go na oparciu wiklinowego fotela, oparła się o framugę drzwi, podtrzymując ręką swój potężny brzuch, a drugą gładząc włosy, cały wypracowany wstęp, jaki urządzają ludzie, kiedy mają powiedzieć coś, czego nie chcą powiedzieć; kiedy liczą na to, że jakiś cud wybawi ich od tego obowiązku.

– Gadają o nas – oznajmiła.

– Kto?

– Na uniwersytecie. No nie wiem, ludzie, studenci.

– Wykładowcy?

– Nie wiem. Studenci na pewno. Chodź do łóżka, opowiem ci.

– Nie teraz – odparłem. – Jutro. Teraz mam pracę.

– Jest po północy – powiedziała Aura. – Oboje jesteśmy zmęczeni. Ty jesteś zmęczony.

– Mam pracę. Muszę przygotować zajęcia.

– Ale jesteś zmęczony. I nie śpisz, a brak snu też zajęciom nie służy. – Zrobiła przerwę, przyjrzała mi się w żółtym świetle jadalni i dodała: – Nie wychodziłeś dziś, prawda?

Nie odpowiedziałem.

– Nie myśłeś się – ciągnęła. – Nie ubrałeś się przez cały dzień, cały dzień spędziłeś tutaj. Ludzie mówią, że wypadek cię zmienił, Antonio, a ja mówię, że pewnie, że zmienił, żeby nie wygadywali bzdur, jakim cudem miałby nie zmienić. Ale jeśli mam powiedzieć prawdę, to nie podoba mi się to, co widzę.

– No to nie mów prawdy – odwarknąłem. – Nikt cię o nią nie prosił.

Rozmowa mogła się na tym skończyć, ale Aura zdała sobie z czegoś sprawę, zobaczyłem na jej twarzy tę mimikę kogoś, kto właśnie coś zrozumiał, i zadała mi pytanie:

– Czekales na mnie?

Tym razem też nie odpowiedziałem.

– Czekales, aż wrócę? – nalegała. – Martwiłeś się?

– Przygotowywałem zajęcia – powiedziałem, patrząc jej w oczy. – Najwyraźniej nawet tego mi już nie wolno.

– Martwiłeś się – stwierdziła. – Dlatego nie poszedłeś spać. – A potem dodała: – Antonio, Bogota nie jest miastem w stanie wojny. To nie tak, że kule fruują w tę i we w tę, nie jest tak, że wszystkich nas musi to spotkać.

Ty nic nie wiesz, chciałem jej odpowiedzieć, ty się wychowałeś gdzie indziej. Nie mamy płaszczyzny porozumienia, chciałem też dodać, nie jesteś w stanie mnie zrozumieć, nikt ci tego nie wyjaśni, ja ci tego nie wyjaśnię. Ale słowa te z moich ust nie padły.

– Nikt nie wierzy w to, że wszystkim nam się coś przytrafi – odpowiedziałem za to. Zaskoczyło mnie tak mocne brzmienie własnego głosu, wcale nie zamierzałem go podnosić. – Nikt się nie martwił o to, czy wrócisz. Nikt nie spodziewa się, że możesz natknąć się na bombę, taką jak ta w markecie Tres Elefantes albo jak bomba w budynku DAS, bo ty nie pracujesz w DAS, ani jak bomba w Centro 93. Poza tym te czasy już minęły, prawda? Więc nikt nie sądzi, że cię to spotka, Auro, bo to by znaczyło, że kiepsko jest z nami, prawda? A z nami nie jest kiepsko, prawda?

– Nie mów tak – przerwała mi Aura. – Ja...

– Zajmuję się przygotowaniem wykładu – uciałem. – Czy ta odrobina spokoju to za duże wymagania? Zamiast gadać o pierdołach o drugiej w nocy, może byś poszła spać i przestała truć mi dupę, żebym wreszcie skończył tę pieprzoną robotę?

Z tego, co pamiętam, wcale nie ruszyła od razu w stronę pokoju, tylko najpierw przeszła przez kuchnię, usłyszałem otwieraną i zamykaną lodówkę, a potem drzwiczki od szafki, z tych, co się zamykają prawie same, wystarczy lekko tylko pchnąć. I w tej serii domowych odgłosów (za których sprawą mogłem śledzić ruchy Aury, wyobrażać je sobie jeden po drugim) kryła się jakaś taka uciążliwa bliskość, taka irytująca intymność, jakby Aura, zamiast opiekować się mną przez te tygodnie i nadzorować mój powrót do zdrowia, bez pozwolenia zaanektowała moją przestrzeń. Widziałem, jak wychodzi z kuchni ze szklanką w rękę: był to płyn o intensywnym kolorze, jeden z tych gazowanych napoi, które bardzo lubiła, za to ja – wcale.

– Wiesz, ile waży? – zapytała.

– Kto?

– Leticia – odpowiedziała. – Mam wyniki, ona jest ogromna. Jeśli nie urodzi się za tydzień, umawiamy się na cesarkę.

– Za tydzień – powiedziałem.

– Badania dobrze wyszły – dodała Aura.

– To dobrze – odparłem.

– Nie chcesz wiedzieć, ile waży? – zapytała.

– Kto? – zdziwiłem się.

Pamiętam ją milczącą pośrodku salonu, w tej samej odległości od drzwi kuchennych i progu jadalni, na takiej jakby ziemi niczyjej.

– Antonio – powiedziała – nie ma nic złego w martwieniu się. Ale u ciebie to zaczyna być chorobliwe. Jesteś chory z niepokoju. I teraz to ja się zaczynam martwić.

Odstawiła dopiero co nalany napój na stół w jadalni i zamknęła się w łazience. Słyszałem, jak puszcza wodę i zaczyna napełniać wannę; wyobraziłem sobie, że płacze w trakcie tych czynności, zagłuszając łkanie szumem wody. Kiedy udało mi się zasnąć, dobrą chwilę później, Aura wciąż siedziała w wannie, gdzie brzuch nie był dla niej ciężarem, w tym szczęśliwym i pozbawionym grawitacji świecie. Zasnąłem, nie czekając, a następnego dnia wyszedłem, kiedy

spała. Pomyślałem, przyznaję, że ona wcale naprawdę nie śpi, że udaje, żeby nie musieć się ze mną zegnać. Pomyślałem, że moja kobieta w tej chwili mnie nienawidzi. Pomyślałem, i było w tej myśli coś bardzo podobnego do strachu, że jej nienawiść jest usprawiedliwiona.

Na uniwersytet dotarłem kilka minut przed siódmą. W oczach i na ramionach czułem ciężar tej nocy, brak snu. Zazwyczaj czekałem na studentów na korytarzu, oparty o kamienne poręcze starego krużganka, i wchodziłem do sali dopiero, kiedy większość grupy już tam była; tego ranka, może z powodu zmęczenia, które czułem w pasie, może dlatego, że kiedy siedziałem, moje kule nie rzucały się tak bardzo w oczy, postanowiłem wejść i poczekać na siedząco. Ale nie zdołałem nawet zbliżyć się do krzesła: moją uwagę przykuł rysunek na tablicy i kiedy spojrzałem w bok, zobaczyłem parę ludzików w obsceniczej pozycji. Penis ludzika płci męskiej był długi jak jego ramię; twarz kobiety nie miała rysów, był to tylko okrąg narysowany kredą, na którym wyrastały długie włosy. Pod rysunkiem widniał napis drukowanymi literami:

PROFESOR YAMMARA WPROWADZA JĄ W PRAWO.

Zakręciło mi się w głowie, ale chyba nikt nie zauważył. „Kto to zrobił?”, zapytałem głośno, ale nie wydaje mi się, żeby mój głos zabrzmiał tak potężnie, jak chciałem. Na twarzach moich studentów była pustka: pozbawione jakiegokolwiek zawartości; zupełnie jak okręgi narysowane kredą, tak jak kobieta na tablicy. Ruszyłem w stronę schodów, tak szybko, na ile pozwalało mi utykanie, i kiedy już prawie zszedłem, mijając rysunek mądrego Caldas, już praktycznie straciłem panowanie nad sobą. Legenda głosi, że Caldas, jeden z bohaterów naszej niepodległości, schodził tymi schodami na szafot, kiedy nagle schylił się i podniósł kredę, i jego oprawcy zobaczyli, że rysuje na ścianie owal przecięty linią: „długie, czarne i przecięte O”. Minąłem ten nieprawdopodobny, absurdalny i bez wątpienia apokryficzny hieroglif z sercem walącym mi w piersi, a dłonie, blade i spocone, mocno zaciskałem na uchwytach kul. Krawat mnie dusił. Wyszedłem z uniwersytetu i szedłem przed siebie, niezbyt świadomy, jakimi chodzę ulicami, o jakich ludzi się ocieram, aż rozboleły mnie ręce. Na północnym rogu parku Santander mim, który zawsze tam stoi, zaczął iść za mną, naśladować mój koślawy chód, moje niezgrabne ruchy, a nawet sapanie. Ubrany był w zupełnie czarny strój z guzikami, twarz wymalowaną miał na biało, ale bez żadnego innego makijażu, i poruszał ramionami w powietrzu tak udatnie, że nawet ja sam miałem wrażenie, że widzę pozorowane kule. Tam, podczas gdy ów zdolny i wyraźnie niespełniony aktor robił sobie ze mnie żarty i wzbudzał śmiech przechodniów, pomyślałem po raz pierwszy, że moje życie rozpada się na kawałki i że Leticia, niczego nieświadome dziecko, wybrała najgorszy moment przyjścia na świat.

Leticia urodziła się pewnego sierpniowego ranka. Spędziliśmy noc w klinice, przygotowując się do cesarki, a w atmosferze pokoju – Aura na łóżku, ja na sofie dla osób towarzyszących – było coś w rodzaju makabrycznego odwrócenia innego pokoju, w innym czasie. Kiedy przyszły po nią pielęgniarki, Aura była już oszołomiona lekami i ostatnie, co mi powiedziała, to: „Uważam, że ta rękawiczka należała jednak do O.J. Simpsona”. Chciałem wziąć ją za rękę, nie mieć tych kul i wziąć ją za rękę, i powiedziałem jej to, ale ona była już nieprzytomna. Towarzyszyłem jej w drodze przez korytarze i w windzie, a pielęgniarki powtarzały wciąż: spokojnie, tatusiu, wszystko będzie dobrze, a ja się zastanawiałem, jakim prawem te kobiety nazywają mnie tatą, już nie mówiąc o wygłaszaniu opinii na temat przyszłości. Potem, przed wielkimi kołyszącymi się drzwiami do sali operacyjnej, kazali mi usiąść w poczekalni, która raczej wyglądała na jakiś korytarz przechodni z trzema krzesłami i stolikiem z czasopismami. Postawiłem kule z boku, obok zdjęcia, a raczej afisza uśmiechającego się bezzębnie różowego dziecka, które przytulało wielki słońce na tle błękitnego nieba. Otworłem stare czasopismo i próbowałem się skupić na krzyżówce: „Miejsce do żęcia. Brat Onana. Osoby powolne, głównie dla pozoru”. Ale byłem w stanie myśleć wyłącznie o kobiecie,

która leżała tam, w środku, podczas gdy lancet kroi jej skórę i mięśnie, o rękach w rękawiczkach, które wsuną się w jej ciało, żeby wydobyć moją córkę. Niech będą ostrożne te ręce, myślałem, niech poruszają się ostrożnie, niech nie dotykają tego, czego nie powinny dotykać. Żeby ci nie zrobiły krzywdy, Leticio, i nie bój się, nie ma się czego bać. Stałem, kiedy wyszedł młody mężczyzna i nie ściągając maski, powiedział: „Pańskie dwie księżniczki mają się świetnie”. Nie wiem, w której chwili wstałem, ale noga już zaczynała mnie boleć, więc musiałem usiąść. Zasłoniłem twarz dłońmi ze wstydu, nikt nie chce, żeby na niego patrzono, kiedy płacze. „Osoby powolne, pomyślałem, głównie dla pozoru”. A potem, kiedy zobaczyłem Leticie w czymś w rodzaju niebieskawej i przezroczystej wanny, kiedy zobaczyłem ją wreszcie, jak śpi, starannie owinięta w białe pieluszki, nawet na odległość sprawiające wrażenie ciepłych, znów przyszło mi do głowy to śmieszne zdanie. Skupiłem się na Leticii. Z niepożądanego odległości ujrzałem jej oczy pozbawione rzęs, zobaczyłem jej usta, najmniejsze, jakie w życiu widziałem, i żałowałem, że położono ją z rękami schowanymi pod pieluszką, bo nic nie wydawało mi się tak pilne w tej chwili, jak zobaczyć ręce mojej córki. Wiedziałem, że nigdy nie pokocham nikogo tak, jak kochałem w tej chwili Leticie, że nikt nigdy nie będzie dla mnie tym, czym stała się ta świeżo przybyła, ta kompletnie nieznajoma.

Nie wróciłem na Czternastą Ulicę, że o bilardzie nie wspomnę (w ogóle przestałem grać: stanie przez dłuższy czas potęgowało ból nogi nie do zniesienia). Tak straciłem część miasta; albo, ściślej mówiąc, część mojego miasta została mi ukradziona. Wyobraziłem sobie miasto, w którym ulice, chodniki stopniowo się przed nami zamykają, jak pokoje w tym opowiadaniu Cortazara, aż w końcu musimy uciekać. „Było nam dobrze i powoli przestawaliśmy myśleć”, mówi brat z opowiadania, kiedy już tajemnicza obecność zawładnęła drugą częścią domu. I dodaje: „Można żyć, nie myśląc”². To prawda: można. Kiedy już Czternasta Ulica została mi odebrana – po długich terapiach, zawrotach głowy i żołądka popsutym przez leki – zacząłem nienawidzić tego miasta, bać się go, czuć się przez nie zagrożonym. Świat jawił mi się jako coś zamkniętego albo moje życie zostało jakby zamurowane; lekarz mówił mi o moim lęku przed wyjściem na ulicę, rzucał słówko „agorafobia”, jakby to był jakiś kruchy przedmiot i trzeba było na niego uważać, a ja nie umiałem mu wyjaśnić, że jest dokładnie na odwrót, że to gwałtowna klaustrofobia mnie dręczy. Jednego dnia, podczas sesji, z której tylko to zapamiętałem, lekarz doradził mi coś w rodzaju intymnej terapii, która, jak twierdził, zadziałała świetnie u licznych pacjentów.

– Prowadzi pan dziennik, Antonio?

Odpowiedziałem, że nie, że dzienniki zawsze wydawały mi się śmieszne, objaw próżności albo anachronizm, złuda, że nasze życie ma jakieś znaczenie. On na to:

– No to niech pan zacznie. Ale nie mówię o takim normalnym dzienniku, tylko zeszytiku do zapisywania pytań.

– Pytań? – powtórzyłem. – Ale jakich?

– Na przykład, jakie rzeczywiste niebezpieczeństwa czyhają na nas w Bogocie. Jakie są szanse na to, że się powtórzy to, co pan przeżył; jeśli pan chce, służę statystykami. Pytania, Antonio, pytania. Dlaczego stało się to, co się stało, i czyja to była wina, pana czy nie. Czy zdarzyłyby się to w innym kraju. Czy zdarzyłyby się to w innej chwili. Czy te pytania mają jakiś sens. Ważne jest, żeby rozróżnić pytania sensowne od tych, które sensu nie mają, Antonio, i jednym ze sposobów jest zapisywanie ich. Kiedy już pan rozsądzi, które są do rzeczy, a które okazują się głupimi próbami szukania wyjaśnienia czegoś, czego się nie da wyjaśnić, może pan zacząć stawiać inne pytania: jak się pozbierać, jak wrócić do normalnego życia, jak dogadywać się z bliskimi. Jak pozbyć się strachu albo mieć go w sobie w rozsądnych granicach, tak jak wszyscy. Jak żyć dalej, Antonio. Na pewno wiele już rzeczy przyszło panu do głowy, ale kiedy

człowiek widzi pytania na papierze, to jest zupełnie inaczej. Dziennik. Proszę zacząć pisać, za dwa tygodnie pogadamy.

Uznałem ten pomysł za kretyński, pasujący raczej do jakiegoś poradnika psychologicznego niż do zawodowca z siwymi skrońmi, papierem firmowym na biurku i dyplomami z różnych uczelni na ścianach. Oczywiście nie powiedziałem mu tego, nie było to też potrzebne, bo od razu wstał i ruszył w stronę swojej biblioteki (identycznie oprawione książki, zdjęcia rodziny, dziecinny rysunek w ramce z nieczytelnym podpisem).

– Oczywiście pan tego nie robi, zdaję sobie sprawę – ciągnął, otwierając szufladę. – Uważa pan, że to wszystko, co mówię, to bzdura. W sumie możliwe. Ale niech pan będzie tak miły i weźmie to.

Wyjął zeszyt ze spiralą, identycznych używałem w szkole, z okładkami śmiesznie udającymi dzinsowe płótno; wyrwał cztery, pięć, sześć kartek z przodu i spojrzał na ostatnią stronę, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma tam żadnych zapisków; wręczył mi go, a ściślej mówiąc, położył na biurku przede mną. Podniosłem go, żeby coś zrobić z rękami, otwarłem i przekartkowałem jak książkę. Był to zeszyt w kratkę: zawsze nie cierpiałem zeszytów w kratkę. Na pierwszej stronie dostrzec można było odcisnięte pismo z wyrwanej strony, takie słowa widma. Data, podkreślone słowo, litera Y.

– Dziękuję – powiedziałem i wyszedłem.

Tego samego wieczoru, mimo sceptycyzmu, jaki od pierwszej chwili wzbudziła we mnie ta strategia, zamknąłem na zasuwę drzwi mojego pokoju, otworzyłem zeszyt i napisałem: „Kochany pamiętniku”. Sarkazm jednak trafił w próżnię. Przewróciłem stronę i próbowałem zacząć:

?

I to wszystko. I tak, z długopisem w powietrzu i spojrzeniem utkwionym w samotnym znaku, zamarłem na kilka długich sekund. Aura, która przez cały tydzień zносиła lekkie acz uciążliwe przeziębienie, spała z otartymi ustami. Popatrzyłem na nią, spróbowałem naszkicować jej rysy, ale mi nie wyszło. Przejrzałem w głowie nasze zobowiązania na jutro, między innymi szczepienie Leticii. Potem zamknąłem zeszyt, odłożyłem na stolik nocny i zgasilem światło.

Na zewnątrz, w głębi nocy, szczekał pies.

Pewnego dnia w 1998 roku, krótko po zakończeniu mundialu we Francji i krótko przed drugimi urodzinami Leticii, czekałem na taksówkę na wysokości Parku Narodowego. Nie pamiętam, skąd wracałem, ale wiem, że kierowałem się do północnej części miasta, na jedną z tych niezliczonych wizyt kontrolnych, którymi lekarze próbowali mnie uspokoić, zapewniając, że rekonwalescencja przebiega w prawidłowym rytmie, że moja noga niedługo będzie taka jak kiedyś. Żadna taksówka w kierunku północnym nie nadjeżdżała, natomiast sporo jechało w stronę centrum. Nie mam tam nic do roboty, pomyślałem absurdalnie, nie mam czego tam szukać. A potem pomyślałem jeszcze: W sumie to jednak mam, straciłem tam wszystko. I tak, nie zastanawiając się zbyt długo, w akcie osobistej odwagi, którego nikt nieznajdujący się w mojej sytuacji by nie zrozumiał, przeszedłem przez ulicę i wsiadłem do pierwszej lepszej taksówki. Kilka minut później znalazłem się, ponad dwa lata po tym zdarzeniu, na placu Rosario, wszedłem do kawiarni Pasaje, wypatrzyłem wolne miejsce i stamtąd patrzyłem na róg, gdzie doszło do zamachu, jak dziecko, które, zafascynowane, ale też ostrożne, obserwuje nocną łąkę, z pasącym się bykiem.

Mój stolik, brązowy dysk na jednej metalowej nodze, stał w pierwszym rzędzie: od witryny dzieliło mnie kilkanaście centymetrów. Nie widziałem stamtąd wejścia do lokalu z bilardem, ale za to drogę, jaką oddalili się zabójcy na motorze. Stukanie o aluminiową balustradę mieszało się z odgłosami ruchu ulicznego i krokami przechodniów; aromat mielonej kawy łączył

się z zapachem dobiegającym z publicznej toalety, uwalnianym za każdym razem, kiedy ktoś otwierał wahadłowe drzwi. Ludzie tłoczyli się na smutnym kwadracie placu, chodzili po okalających go ulicach, kręcili się wokół pomnika założyciela miasta (ten jego ciemny pancerz zawsze obryzany białym gołębiim łajnem). Pucybuci zagnieżdzeni przed uniwersytetem ze swoimi drewnianymi pudłami, grupki handlarzy szmaragdami. Patrzyłem na nich i zdumiewało mnie, że nie wiedzą, co się tu kiedyś stało, tak blisko chodnika, na którym teraz rozbrzmiewają ich kroki. Może właśnie patrząc na nich, pomyślałem o Laverdem i zdałem sobie sprawę, że nie czuję niepokoju ani strachu.

Zamówiłem kawę, potem drugą. Kobieta, która przyniosła mi tę drugą, przetarła blat śmierdzącą szmatą i natychmiast postawiła nową filiżankę na nowym spodku.

– Czegoś jeszcze pan sobie życzy? – zapytała.

Zwróciłem uwagę na wydatne kostki jej dłoni, naznaczone głębokimi bruzdami; widoczny dymek unosił się nad czarnym płynem.

– Nie – odpowiedziałem i próbowałem przywołać w pamięci jakieś imię, ale bez skutku.

Pędziłem tak do tej knajpy, a teraz nie jestem w stanie przypomnieć sobie imienia tej kobiety, która całe życie obsługuje tu klientów.

– Mogę o coś panią spytać?

– Słucham.

– Wie pani, kto to był Ricardo Laverde?

– Zależy – odparła wycierając ręce w fartuch, ni to zniecierpliwiona, ni to znudzona. – To jakiś klient?

– Nie – odpowiedziałem. – Choć może tak, ale nie sądzę. Zabili go tam, po drugiej stronie placu.

– Aha – zareagowała kobieta. – Jak dawno?

– Dwa lata temu – powiedziałem. – Dwa i pół roku.

– Dwa i pół – powtórzyła. – To nie, nie pamiętam żadnego nieboszczyka sprzed dwu i pół roku. Bardzo mi przykro.

Miałem wrażenie, że kłamie. Nie miałem na to, rzecz jasna, żadnego dowodu, a moja wątpliwość wyobraźnia nie podpowiadała mi żadnych powodów, dla których miałyby kłamać, ale wydawało mi się niemożliwe, żeby ktoś zapomniał o tak niedawnej zbrodni. Chyba że Laverde zginął, a ja przeszedłem przez agonię, gorączkę i halucynacje, choć fakty te w żaden sposób nie odcisnęły się na rzeczywistości, na przeszłości albo na pamięci mojego miasta. I to z jakiegoś powodu mnie zirykowało. To chyba w tej chwili coś zdecydowałem, a może poczułem się do czegoś zdolny, choć nie pamiętam, jakich słów użyłem, żeby to nazwać. Wyszedłem na prawo od kawiarni, wymijając ten feralny róg placu, i ruszyłem wzdłuż La Candelarii w stronę kamienicy, w której Laverde mieszkał do dnia swojej śmierci.

Bogota, jak wszystkie latynoamerykańskie stolice, to miasto ruchome i zmienne, niestabilny żywioł siedmiu czy ośmiu milionów mieszkańców; tutaj człowiek zamyka oczy na zbyt długo i kiedy je otwiera, może być otoczony zupełnie innym światem (sklep żelazny tam, gdzie wczoraj był sklep z filcowymi kapeluszami, a kolektura loterii tam, gdzie zakład szewski), jakby całe miasto stanowiło scenię jednego z programów rozrywkowych z żartami w rodzaju: ofiara wchodzi do łazienki w restauracji i wraca nie do restauracji, tylko hotelowego pokoju. Ale w każdym latynoamerykańskim mieście jest jedno albo więcej miejsc, które trwają jakby poza czasem, pozostają niezmiennie, podczas gdy wszystko się zmienia. Taka jest dzielnica La Candelaria. Na ulicy Ricarda Laverdego drukarenka na rogu wciąż była na swoim miejscu, z tym samym szyldem nad bramą, a w witrynie nawet z tymi samymi zaproszeniami na ślub i wizytówkami, którymi się reklamowała w grudniu 1995; ściany, które w 1995 były pokryte

afiszami z taniego papieru, dwa i pół roku później także pokryte były plakatami, innymi, ale z tego samego papieru i tego samego formatu, żółtawe prostokąty zapowiadające uroczystości żałobne, corridę albo reklamujące kandydata do Rady Miasta, a jedyne, co się zmieniało, to nazwiska. Wszystko inne pozostawało bez zmian. Tutaj rzeczywistość dopasowuje się – jak to często bywa – do tego, jak ją pamiętamy.

Dom Laverdego też wyglądał dokładnie tak jak w mojej pamięci. Linia dachówek pękała na dwie części, jak brakujące zęby w ustach staruszka; farba na drzwiach łuszczyła się na wysokości stóp, a z drewna odpadały drzazgi: dokładnie w tym miejscu, w które ktoś zbyt obładowany kopie, żeby mu się drzwi nie zamknęły. Natomiast wszystko inne pozostawało takie samo, a w każdym razie mnie się tak wydawało, kiedy zacząłem łomotać do drzwi. Nikt nie otwierał, cofnąłem się więc o dwa kroki i spojrzałem do góry, licząc na jakąś oznakę ludzkiego życia na poddaszu. Niczego jednak nie zauważyłem: dostrzegłem kota wylegującego się pod anteną i plamę mchu rosnącego obok – i to wszystko. Zaczynałem już tracić nadzieję, kiedy nagle usłyszałem ruchy po drugiej stronie drzwi. Otworzyła jakaś kobieta.

– Pan sobie życzy? – odezwała się.

Jedyne, co byłem w stanie wyjątkowo niezręcznie powiedzieć, to:

– A bo ja byłem znajomym Ricarda Laverdego.

Dostrzegłem zaskoczenie albo podejrzliwość na jej twarzy. Kobieta zaczęła mówić wrogim tonem, ale bez zdziwienia, jakby na mnie czekała.

– Ja już nie mam nic do powiedzenia – oświadczyła. – To było dawno, wszystko już powiedziałam dziennikarzom.

– Jakim dziennikarzom?

– To już było dawno, wszystko powiedziałam.

– Ale ja nie jestem dziennikarzem. Jestem znajomym.

– Już wszystko powiedziałam – powtórzyła kobieta. – Wyciągnęliście mu te wszystkie syfy, niech sobie pan nie myśli, że zapomniałam.

W tej chwili wyłonił się zza niej jakiś chłopak, uznałem, że jest trochę zbyt dorosły, żeby mieć tak ubrudzoną twarz.

– Co się dzieje, Consu? Ten pan się narzuca?

Podszedł jeszcze bliżej drzwi i jasność dnia oświetliła mu policzki: to nie był brud, tylko wschodzący zarost.

– Mówi, że był kolegą Ricarda – odpowiedziała cicho Consu.

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, a ja ją: była gruba i niziutka, włosy spięte miała w koczek, który nie był szary, a dzielił się na czarne i białe kosmyki, jak szachownica, i ubrana była w czarną sukienkę z jakiegoś elastycznego materiału opinającego jej kształty, tak że wełniana przepaska ginęła pod masą jej brzucha, więc wyglądało to jak coś w rodzaju grubej białej larwy wychodzącej z pępka. Coś jej się przypominało, a w każdym razie tak wyglądała, jakby coś jej przyszło do głowy, i na jej twarzy – na jej fałdach, różowych i spoconych, zupełnie jakby Consu oddawała się właśnie jakiejś pracy fizycznej – pojawił się grymas żalu.

Sześćdziesięcioletnia kobieta zmieniła się w tej chwili w masywną dziewczynkę, której ktoś odmówił cukierka.

– Za pozwoleniem... – Consu zaczęła zamykać drzwi.

– Proszę nie zamykać – poprosiłem. – Chciałbym wyjaśnić.

– Niech pan lepiej idzie – odezwał się młody chłopak. – Nie ma tu pan czego szukać.

– Ja go znałem.

– Nie wierzę – odparła Consu.

– Byłem z nim, kiedy go zabili – powiedziałem wtedy. Podniosłem koszulkę i pokazałem

kobiecie bliźnę na brzuchu. – Jedna kulka trafiła we mnie.

Bliźny mają siłę przekonywania.

Przez kilka następnych godzin opowiadałem Consu o tamtym dniu, o moim spotkaniu z Laverdem na bilardzie, o Domu Poezji i o tym, co zdarzyło się potem. Opowiedziałem o tym, co mówił mi Laverde, i dodałem, że wciąż nie wiem, dlaczego mi to powiedział. Opowiedziałem też o nagraniu, o rozpaczach, jaka ogarnęła Laverdego, kiedy słuchał, o spekulacjach, jakie snułem w swoim czasie na temat treści nagrań, co takiego musi zostać powiedziane, żeby wywołać podobny efekt u mniej więcej normalnego dorosłego człowieka.

– Nie mam żadnego pomysłu – powiedziałem. – A próbowałem, słowo, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

– Rzeczywiście, trudno sobie wyobrazić – odpowiedziała ona.

– Trudno – potaknąłem.

Wtedy siedzieliśmy już w kuchni, Consu na plastikowym białym stołku, ja na drewnianym fotelu z pękniętą jedną listwą, tak blisko butli gazowej, że można by sięgnąć do niej ręką. Wnętrze domu było takie, jak sobie wyobraziłem: patio, odsłonięte belki stropowe, zielone drzwi w pokojach do wynajęcia. Consu słuchała mnie i kiwała głową, wsuwała dłonie między kolana i zaciskała nogi, jakby nie chcąc wypuścić swoich rąk. Po chwili zaproponowała mi czarną kawę, którą parzyła, wsypując do kawałka pończochy zmielone ziarna, a potem zanurzając ją w blaszanym rondlu pokrytym szarymi obtłuczeniami, a kiedy wypilem, zaproponowała drugą i powtórzyła całą procedurę; za każdym razem powietrze nasycalo się wonią gazu i zapalanej zapalki. Zapytałem Consu, który pokój należał do Laverdego, a ona wskazała mi go ruchem głowy, zaciskając usta. Wyglądała jak niezadowolony żreback.

– Tamten – powiedziała. – Teraz mieszka tam jeden muzyk, bardzo porządny gość, wie pan, gra na gitarze w Camarín del Carmen. – Zamilkła, popatrzyła na dłonie i w końcu dodała: – Ricardo miał kłódkę na szyfr, bo nie lubił chodzić z kluczami. Musiałam ją rozwalić, kiedy go zabili.

Policja, jednym z tych dziwnych zrzędzeń losu, pojawiła się dokładnie o tej porze, kiedy Ricardo Laverde wracał, i Consu, myśląc, że to on, otworzyła, jeszcze zanim zastukali. Natknęła się na dwóch agentów, jednego siwego, który seplenił, i drugiego, który trzymał się dwa kroki z tyłu i nie odezwał ani słówkiem.

– Najwyraźniej przedwcześnie posiwiiał, kto tam wie, co ten facet widział – stwierdziła Consu. – Pokazał mi zdjęcie i zapytał, czy rozpoznaję tego osobnika, tak powiedział, osobnika, strasznie dziwne słowo na nieboszczyka. A ja, prawdę mówiąc, to go nie rozpoznałam – powiedziała Consu, żegnając się. – No bo strasznie się zmienił. Musiałam przeczytać, co tam było napisane, żeby stwierdzić, że tak, że ten człowiek nazywa się Ricardo Laverde i mieszka tu od miesiąca. Najpierw pomyślałam: Wpakował się w jakieś kłopoty. Znowu go wsadzą. Przykro mi się zrobiło, bo Ricardo, od kiedy wyszedł, bardzo był porządny.

– To znaczy co robił?

– No... to, co robią więźniowie. Ci, którzy siedzieli, ale już wyszli.

– Czyli wiedziała pani – powiedziałem.

– Pewnie. Proszę pana, wszyscy wiedzieli.

– I wiedzieli też, za co siedział?

– Nie, tego nie – odpowiedziała Consu. – No, ja tam nigdy nie wypytywałam. To by pewnie popsulo nasze stosunki, prawda? Co z oczu, to z serca, takie mam zdanie.

Policjanci weszli do pokoju Laverdego. Używając młotka jako dźwigni, Consu rozwalila aluminiowy półksiężyc i kłódka wylądowała w jednym z kanałów na wewnętrznym patio. Kiedy otworzyli drzwi, ujrzeli niemal zakonną celę: idealny prostokąt zaścielonego materaca,

nieskazitelne prześcieradło, poduszka w poszewce bez jednej fałdki, bez zagięć i śladów, jakie odciska głowa z upływem kolejnych nocy. Obok drewniana nieoheblowana deska oparta na dwóch ceglach; na desce szklanka z wodą, na oko mętą. Następnego dnia ten obraz, materaca i zaimprovizowanego stolika nocnego, pojawił się na łamach jednego z tabloidów obok zdjęcia plamy krwi na Czternastej Ulicy.

– Od tego dnia żaden dziennikarz nie ma wstępu do tego domu – powiedziała Consu. – Ci ludzie niczego nie uszanują.

– Kto go zabił?

– Ech, gdybym to ja wiedziała. Nie wiem, nie wiem, kto go zabił, to taki porządny człowiek był. Z najlepszych, jakich znałam, słowo. Choć pewnie coś tam musiał przeskrobać.

– Ale co?

– No tego to nie wiem – odpowiedziała Consu. – Coś musiał.

– Coś musiał – powtórzyłem.

– Poza tym, jakie to ma teraz znaczenie – dodała Consu. – Przecież go takim myśleniem nie ożywimy, nie?

– No nie. A gdzie został pochowany?

– A po co panu to wiedzieć?

– Nie wiem. Żeby go odwiedzić. Zanieść kwiaty. Jak wyglądał pogrzeb?

– Skromniutki. Wszystko ja załatwiałam, wiadomo. Byłam najbliższa Ricardowi, rodziny nie miał.

– No tak – powiedziałem. – Przecież żona mu się dopiero co zabiła.

– A – odezwała się Consu. – To też pan wie, kto by pomyślał.

– Miała z nim spędzić święta. Zrobił sobie takie absurdatne zdjęcie, żeby jej wręczyć.

– Absurdatne? Dlaczego? Mnie się wydało urocze.

– Było absurdatne.

– Zdjęcie z gołębiami.

– Tak – potwierdziłem. – Z gołębiami. – A potem: – To musiało mieć jakiś związek.

– Ale co?

– To, czego słuchał. Zawsze uważałem, że to, czego słuchał, miało z nią związek, z jego żoną. Może jakaś nagrana wiadomość, nie wiem, wiersz, który lubiła.

Pierwszy raz Consu się uśmiechnęła.

– Tak pan myśli?

– Nie wiem, coś w tym guście. – I wtedy, nie wiem dlaczego, skłamałem albo przesadziłem. – Spędziłem dwa i pół roku na rozmyślaniu o tym, to dziwne, żeby zmarły, którego ledwie co znaleźliśmy, zajmował nas tak bardzo. Dwa i pół roku rozmyślania o Elenie de Laverde. O Elenie Fritts, czy jak się tam nazywała. Dwa i pół roku – powiedziałem. Dobrze się poczułem, mówiąc to.

Nie wiem, co Consu dostrzegła w mojej twarzy, ale jej mina się zmieniła, nawet siedziała teraz w jakiś inny sposób.

– Proszę mi coś powiedzieć – odezwała się – ale tak szczerze. Był panu bliski?

– Co?

– Był panu bliski czy nie?

– Tak – odpowiedziałem – bardzo.

To też oczywiście nie było prawdą. Życie nie dało nam czasu na pogłębianie relacji i to, co mną powodowało, to nie było uczucie czy żal, tylko taka intuicja, która czasem nas ogarnia, że pewne wydarzenia kształtują nasze życie bardziej, niż na to wygląda i niż skłonni bylibyśmy sądzić. Ale dobrze się nauczyłem, że takie subtelności do niczego się w realnym świecie nie

nadają i często trzeba je poświęcić, dać drugiemu to, co chce usłyszeć, nie okazywać zbytnej szczerości (szczerość jest nieefektywna, do niczego nie prowadzi). Popatrzyłem na Consu i zobaczyłem samotną kobietę, samotną tak jak ja.

– Bardzo – powtórzyłem – był mi bardzo bliski.

– No dobrze – powiedziała, wstając. – Proszę tu poczekać, coś panu pokażę.

Na chwilę wyszła. Mogłem śledzić jej ruchy słuchem, jej stąpanie, krótką wymianę zdań z lokatorem: „Późno dziś, co?”; „Ejże, pani Consu, co się tak pani interesuje?” – i przez chwilę myślałem, że rozmowa dobiegła końca i zaraz pojawi się tu ten chłopaczek z kielkującym wąsem, który poprosi mnie jakimś grzecznym zdaniem, żebym wyszedł, „Odprowadzę pana do drzwi, dziękujemy za wizytę”. Ale wtedy zobaczyłem, że jakby rozkojarzona, wraca, patrzyła na swoje paznokcie u lewej dłoni; znów ta dziewczynka, którą widziałem w drzwiach. W drugiej ręce (jej palce zaciskały się wokół tego delikatnie, jakby trzymała chore zwierzątko) trzymała bardzo małą piłkę futbolową, która szybko okazała się starym radiem w kształcie piłki. Dwa czarne sześciokąty były głośnikami, na górze było okienko od kieszeni na kasety, a w środku znajdowała się czarna kasetka. Czarna kasetka z pomarańczową etykietką. A na etykietce jeden napis: BASF.

– Nagrana jest tylko strona A – powiedziała Consu. – Jak pan skończy, proszę odłożyć tam, przy piecyku. Obok zapalek. I proszę potem dobrze zamknąć drzwi.

– Zaraz, zaraz... – Pytania cisnęły mi się na usta. – Pani ją ma?

– No mam.

– Jak pani to zdobyła? Nie posłucha pani ze mną?

– To coś, co nazywają „przedmiotami osobistymi” – powiedziała. – Kasetę przyniosła mi policja, razem z innymi rzeczami, które znaleźli w kieszeniach Ricarda. I nie, nie posłucham. Znam ją na pamięć i nie chcę więcej słuchać, ta kasetka nie ma nic wspólnego z Ricardem. I ze mną tak naprawdę też nie. Dziwne, nie? Jedna z moich najcenniejszych rzeczy, a nie ma nic wspólnego z moim życiem.

– Jedna z pani najcenniejszych rzeczy – powtórzyłem.

– Wie pan, że ludzi czasami pytają, co uratowałiby z domu w razie pożaru. No to ja bym wzięła tę kasetę. Pewnie dlatego, że nigdy nie miałam rodziny, więc nie trzymam tu żadnych albumów ze zdjęciami ani takich rzeczy.

– A ten chłopak, co stał w drzwiach?

– Ale co z nim?

– To nie rodzina?

– Lokator – odpowiedziała Consu. – Taki jak wszyscy. – Przez chwilę pomyślała i dodała: – Lokatorzy są moją rodziną.

Z tymi słowami (i z doskonałym wycuciem melodramatu) wyszła na ulicę i zostawiła mnie samego.

Na kasecie nagrana była rozmowa dwóch mężczyzn: rozmawiali po angielsku o warunkach pogodowych, które były dobre, a potem o pracy. Jeden tłumaczył drugiemu regulacje dotyczące liczby godzin, jakie można wylać przed obowiązkowym odpoczynkiem. Mikrofon (o ile tam był mikrofon) wyłapywał ciągły szum, a na tle tego szumu – szelest papierów.

– Dali mi taki wykaz – mówił pierwszy z mężczyzn.

– No to przyjrzyj się temu – odzywał się drugi. – Ja się zajmę samolotem i radiem.

– Dobra. Tyle że tu piszą tylko o godzinach pracy, a nie o okresach odpoczynku.

– No to jest mocno zamotane.

Bardzo wyraźnie pamiętam, jak przez kilka minut wsłuchiwałem się w tę rozmowę – cały skupiony na ewentualnych odniesieniach do Laverdego – zanim zdumiony i zaskoczony

zrozumiałem, że rozmawiający mężczyźni nie mieli żadnego związku ze śmiercią Ricarda Laverdego i, co więcej, Laverde nie był ani razu w tej rozmowie wspomniany. Jeden z nich mówił coś o stu trzydziestu sześciu milach, jakie zostały do VOR, o trzystu dwóch stopach, o jakie mają zejść, i że do tego wszystkiego muszą zacząć redukować prędkość, więc dobra, czas się brać do roboty. W tej chwili ten drugi wypowiedział słowa, które wszystko zmieniły:

– Bogota, American dziewięć sześć pięć, zgoda na lądowanie.

I aż się zdziwiłem, że tak długo zajęło mi zrozumienie, że za kilka minut ten samolot rozbije się o zbocze El Diluvio i że wśród ofiar będzie kobieta, która miała spędzić święta z Ricardem Laverdem.

– American Airlines Operations w Cali, tu American dziewięć sześć pięć. Słyszycie mnie?

– Potwierdzam, American dziewięć sześć pięć, tu Cali.

– Świetnie, Cali. Będziemy za dwadzieścia pięć minut.

Tego właśnie słuchał Ricardo Laverde krótko przed tym, nim został zabity: zapisu z czarnej skrzynki lotu, w którym zginęła jego żona. Olśnienie, którego doznałem, spadło na mnie jak cios, straciłem równowagę, świat wokół mnie nagle się zachwiało. Ale jak on to zdobył? zastanawiałem się. Czy to możliwe, by poprosić o nagranie z lotu, który się skończył katastrofą, i dostać je tak, jak się dostaje, nie wiem, jakiś wypis z akt? Czy Laverde mówił po angielsku, a w każdym razie rozumiał na tyle, żeby wysłuchać, zrozumieć i opłakiwać – tak, przede wszystkim opłakiwać – tę rozmowę? A może wcale nie trzeba było jej rozumieć, żeby płakać, bo przecież nic w tej rozmowie nie odnosiło się do żony Laverdego; czy nie wystarczała świadomość, straszliwa świadomość więzi łączącej tych rozmawiających pilotów z jedną z pasażerek? Dwa i pół roku później pytania te pozostawały bez odpowiedzi. Teraz kapitan prosił o podanie numeru bramy (dwa), potem pasa (zero jeden), potem zapalał światła samolotu, bo w okolicy był intensywny ruch powietrzny, potem mówili o pozycji czterdzieści siedem mil na północ od Rio Negro i szukali jej na planie lotu... I wreszcie pojawiał się komunikat z głośników:

– Szanowni państwo, mówi kapitan. Rozpoczęliśmy podejście do lądowania.

Zaczęli schodzić do lądowania. Jednym z pasażerów była Elena Fritts, która wracała z odwiedzin u chorej matki w Miami, z pogrzebu babci albo po prostu od przyjaciół (spędzała z nimi Święto Dziękczynienia). Nie, to chodziło o matkę, chorą matkę. Możliwe, że Elena Fritts myśli o swojej matce, martwi się, że ją zostawiła, zastanawia się, czy dobrze, że tak zrobiła. Myśli też o Ricardzie Laverdem, swoim mężu. Myśli o swoim mężu? Myśli o mężu, który wyszedł z więzienia.

– Chciałbym życzyć wszystkim bardzo wesołych świąt i szczęśliwego roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego – mówi kapitan. – Dziękujemy, że skorzystali państwo z naszych linii.

Elena Fritts myśli o Ricardzie Laverdem. Myśli, że teraz będą mogli zacząć tam, gdzie skończyli. Tymczasem w kabinie kapitan oferuje orzeszka drugiemu pilotowi.

– Nie, dzięki – odpowiada ten.

Kapitan mówi:

– Piękna noc, nie?

A drugi pilot:

– Tak. Z każdej strony bardzo ładnie.

Potem kontaktują się z wieżą kontrolną, proszą o zgodę na zejście na niższy pułap, wieża odpowiada, żeby zeszli na poziom dwa zero zero, a potem kapitan odzywa się do rozmówczyni po hiszpańsku z ciężkim akcentem:

– Wesołych świąt.

O czym myśli na swoim miejscu Elena Fritts? Wyobrażam ją sobie, nie wiem dlaczego, na fotelu przy oknie. Tysiąc razy wyobrażałem sobie tę chwilę, tysiąc razy rekonstruowałem ją tak, jak scenograf odtwarza jakąś scenę, i zapełniłem ją spekulacjami wszelkiego typu: począwszy od ubrania, jakie miała na sobie Elena – lekka, jasnobłękitna bluzka i buty na nogach bez pończoch – na poglądach i przesądach kończąc. W wyobrażeniu, które mi się ukształtowało i narzuciło, fotel mieści się po lewej; po prawej śpi pasażer (porośnięte włosami ramiona, nieregularne pochrapywanie). Stolik jest rozłożony; Elena Fritts chciała go zamknąć, kiedy kapitan poinformował o podejściu do lądowania, ale nikt jeszcze nie przyszedł po plastikowy kubeczek. Elena Fritts spogląda przez okienko i widzi czyste niebo; nie wie, że jej samolot schodzi na wysokość dwudziestu tysięcy stóp; nie obchodzi jej to. Jest śpiąca: jest po dziewiątej wieczorem, a Elena Fritts zaczęła tę podróż bardzo wcześnie rano, bo jej matka nie mieszka w samym Miami, tylko na przedmieściach. Albo nawet w zupełnie innym miejscu, Fort Lauderdale, powiedzmy, albo Coral Springs, w jednym z tych małych miasteczek na Florydzie, będących tak naprawdę gigantycznymi skupiskami geriatrycznymi, do których zjeżdżają starzy ludzie z całego kraju, żeby swoje ostatnie dni spędzić z dala od zimna i stresu, i pełnych wyrzutu spojrzeń dzieci. Tak więc Elena Fritts musiała wcześnie wstać tego ranka; sąsiad, który tak czy inaczej musiał jechać do Miami, podrzucił ją na lotnisko, więc Elena musiała spędzić z nim dwie czy trzy godziny na tych słynących z usypiającego działania prostych autostradach. Teraz myśli tylko o tym, żeby znaleźć się w Cali, zdążyć na przesiadkę i dolecieć do Bogoty, zmęczona tak jak wszyscy pasażerowie tego lotu, ale bardziej niż oni zadowolona, bo czeka na nią mężczyzna, który ją kocha. Myśli o tym, a potem o porządnym prysznicu i łóżku. Poniżej, w Cali, głos mówi:

- American dziewięć sześć pięć, na jakiej jesteście odległości?
- Proszę powtórzyć.
- Wasza odległość DME.
- Okay – odpowiada kapitan. – Odległość od Cali to, ee, trzydzieści osiem.
- Gdzie jesteśmy? – pyta drugi pilot. – Lecimy na...
- Najpierw na Tuluá, okay?
- Tak. Gdzie się kierujemy?
- Nie wiem. Co to? Co się stało?

Boeing 757 zszedł na trzystaście tysięcy stóp, skręcając najpierw w prawo, potem w lewo, ale Elena nie zdaje sobie z niczego sprawy. Jest noc, bardzo ciemna noc, choć powietrze czyste i w dole widać zarys gór. W okienku Elena widzi odbicie swojej twarzy, zastanawia się, co tu robi, czy ten powrót do Kolumbii to nie błąd, czy to małżeństwo da się naprawdę uratować, czy jednak rację miała jej matka, mówiąc tonem apokaliptycznej wieszczki: „Powrót do niego to będzie ostatni akt twojego idealizmu”. Elena Fritts jest skłonna pogodzić się ze swoim idealistycznym charakterem, ale to, uważa, wcale nie musi skazywać jej na życie składające się z samych błędnych decyzji, idealisci też czasami mają rację. Światła gasną, twarz w okienku znika, a Elena Fritts myśli, że nie obchodzi jej to, co mówi matka; za nic w świecie nie pozwoli, żeby Ricardo spędził samotnie swoje pierwsze święta na wolności.

- Nie, ja na moim nie widzę dobrze – mówi kapitan. – Nie wiem dlaczego.
- Skręcić w prawo? Chcesz skręcić w prawo?
- Nie, nie, w żadnym razie. Leć prosto do...
- Dokąd?
- Na Tuluá.
- Ale to jest po prawej.
- Dokąd lecimy? Dawaj w prawo. Lecimy na Cali. Tu nie damy rady, nie?
- Tak.

– Dlaczego tak się popieprzyło? Teraz w prawo, szybko w prawo.

Elena Fritts siedząca w fotelu w klasie turystycznej nie wie, że coś jest nie tak. Gdyby miała jakieś pojęcie o lotnictwie, te zmiany trasy mogłyby się jej wydać podejrzane, mogłaby rozpoznać, że piloci zeszli z prawidłowej trasy. Ale nie, Elena Fritts nic nie wie o aeronautyce ani sobie nie wyobraża, że w górzystym obszarze zejście na mniej niż dziesięć tysięcy stóp może oznaczać poważne kłopoty, jeśli się nie zna terenu. O czym wtedy myśli?

O czym myśli Elena Fritts w minucie swojej śmierci?

W kabinie pilotów włącza się alarm.

– *Terrain, terrain* – powtarza automatyczny głos.

Ale Elena Fritts go nie słyszy, alarmów nie słysząc tam, gdzie siedzi, nie wyczuwa się także niebezpiecznej bliskości góry. Piloci zwiększają moc, ale nie wyłączają hamulców. Samolot na krótko podnosi dziób. To wszystko za mało.

– Cholera – mówi pilot. – Wyżej, dawaj, wyżej.

O czym myśli Elena Fritts? Myśli o Ricardzie Laverdem? Myśli o zbliżających się świętach? Myśli o swoich dzieciach?

– Cholera – mówi kapitan w kabinie.

Ale Elena Fritts nie może go usłyszeć. Czy Elena Fritts i Ricardo Laverde mają dzieci? Gdzie są te dzieci, jeśli istnieją, i jak zmieniło się ich życie po zniknięciu ojca? Znają powody tego zniknięcia czy dorastały spętane siecią wyrafinowanych kłamstw rodzinnych, mitów i zamieszanych chronologii?

– Wyżej – mówi kapitan.

– Będzie dobrze – mówi drugi pilot.

– Wyżej – mówi kapitan. – Powoli, powoli.

Automat się wyłączył. Drażek zaczyna drżeć w rękach pilota, znak, że prędkość samolotu nie wystarcza, żeby utrzymał się w powietrzu.

– Wyżej, wyżej – powtarza kapitan.

– Okay – mówi pilot.

A kapitan:

– Wyżej, wyżej, wyżej.

Znów wyje syrena.

– *Pull up* – mówi automatyczny głos.

Słysząc jakiś urywany krzyk albo coś, co go przypomina. Słysząc jakiś odgłos, którego nie udaje mi się, nigdy mi się nie udało, zidentyfikować: dźwięk, który nie jest ludzki albo jest bardziej niż ludzki, odgłos istnień, które gasną, ale jednocześnie hałas pękającej materii. To hałas spadających z wysoka rzeczy, nieprzerwany i przez to wieczny, który nigdy nie ustaje, który wciąż rozbrzmiewa w mojej głowie, i nic nie wskazuje na to, żeby miał minąć, hałas, który na zawsze wrósł w moją pamięć, zawisł w niej jak ręcznik na wieszaku.

Ten hałas to ostatnie, co słysząc w kabinie pilotów lotu 965.

Słysząc ten hałas i nagranie się urywa.

Dobrą chwilę zajęło mi, żeby dojść do siebie. Nie ma nic tak obscenicznego jak podsłuchiwanie ostatnich sekund życia człowieka: ostatnie sekundy powinny pozostać tajemnicą, powinny być święte, powinny umrzeć z tym, kto umarł, a jednak tam, w kuchni starego domu w La Candelarii, ostatnie słowa nieżyjących pilotów stały się częścią mojego doświadczenia, mimo że nie wiedziałem i nadal nie wiem, kim byli ci dwaj nieszczęśnicy, jak się nazywali, co widzieli, kiedy patrzyli w lustro; z kolei oni nigdy nie słyszeli o mnie, a jednak ich ostatnie chwile należą i będą już zawsze do mnie należeć. Jakim prawem? Ani ich żony, ani matki, ani ojcowie, ani synowie nie słyszeli tych słów, które słyszałem ja, i być może przeżyli te dwa i pół roku,

zastanawiając się, jakie były ostatnie słowa męża, ojca, syna, zanim rozbił się o El Diluvio. Ja, choć nie mam prawa tego wiedzieć, wiedziałem; oni, którzy do tych głosów mieli prawo, nie wiedzieli. I myślałem, że ja, tak naprawdę, nie mam prawa słuchać ich śmierci, bo ludzie, którzy giną w tym samolocie, są mi obcy, a kobieta lecąca w klasie turystycznej nie jest i nigdy nie będzie jedną z moich zmarłych.

A jednak odgłosy te stanowiły już część mojej pamięci. Od kiedy tylko w nagraniu zapanowała cisza, od kiedy odgłosy katastrofy ustąpiły szumowi, wiedziałem, że wolałbym tego nie wysłuchać, a jednocześnie wiedziałem, że w mojej pamięci będzie to już rozbrzmiewać zawsze. Nie, to nie byli moi zmarli, nie miałem prawa słuchać tych słów (tak jak nie mam prawa, najprawdopodobniej, przepisywać ich w niniejszej relacji, bez wątpienia z pewnymi nieścisłościami), ale te słowa i głosy zmarłych pochłaniały mnie już tak, jak wir w rzece wsysa zmęczone zwierzę. Poza tym nagranie miało zdolność modyfikowania przeszłości, bo płacz Laverdego nie był już tym samym, nie mógł być tym samym, co widziałem w Domu Poezji; teraz miał wydźwięk, jakiego wcześniej bym nie podejrzewał, bo przecież tego wieczoru nie słyszałem tego, co słyszał on, kiedy tak siedział na tej skórzanej kanapie. Doświadczenie, to, co nazywamy doświadczeniem, to nie jest spis naszych cierpień, tylko wyuczona sympatia wobec cierpień cudzych.

Z czasem dowiedziałem się więcej na temat czarnych skrzynek. Wiem na przykład, że wcale nie są czarne, tylko pomarańczowe. Wiem, że znajdują się w *empannage* – tej części samolotu, którą my, profani, nazywamy ogonem – bo tam mają największą szansę na przetrwanie katastrofy. I tak, wiem, że skrzynki przeważnie są w stanie przetrwać: mogą znieść nacisk 2250 kilogramów i temperaturę 1100 stopni Celsjusza. Jeśli wpadną do morza, aktywizuje się nadajnik; czarna skrzynka zaczyna wówczas nadawać sygnały, które będzie emitować przez trzydzieści dni. Tyle czasu mają władze, żeby ją odszukać i poznać przyczyny wypadku, żeby zyskać pewność, że nic podobnego się nie powtórzy; nie sądzę, żeby ktoś zakładał, że czarną skrzynkę może spotkać jakiś inny los, że może trafić w niepowołane ręce. A jednak to właśnie się stało z czarną skrzynką z lotu 965, która przetrwała katastrofę, za sprawą jakiejś magii stała się czarną kasetą z pomarańczową etykietką i dwukrotnie zmieniła właściciela, zanim stała się częścią moich wspomnień. I tak oto ten przyrząd, pomyślany jako elektroniczna pamięć samolotu, stał się kluczową częścią mojej pamięci. Tkwi w niej i nic już na to nie poradzę. Zapomnieć jest niemożliwością.

Przed wyjściem z domu w La Candelarii odczekałem chwilę, nie tylko po to, żeby jeszcze raz odsłuchać nagranie (co zrobiłem nawet nie raz, a dwa razy), ale dlatego, że strasznie zależało mi, żeby zobaczyć się znów z Consu. Co jeszcze wie o Ricardzie Laverdem? Może zostawiła mnie samego w domu, i to ze swoją najcenniejszą własnością, właśnie dlatego, żeby nie czuć się w obowiązku składania wyjaśnień, żeby nie dać się osaczyć moim pytaniom. Zaczynało zmierzchać. Wyjrzałem na ulicę, żółte latarnie już się zapalały, białe ściany domów zmieniały kolor. Było zimno. Spojrzałem w jedną stronę, potem w drugą. Consu nie było nigdzie widać, więc wróciłem do kuchni i w dużej torbie znalazłem małą papierową torebkę wielkości średniej butelki wódki. Mój długopis nie pisał za dobrze po takiej powierzchni, ale jakoś musiałem dać sobie radę.

Droga Consu!

Czekałem na Panią prawie godzinę. Dziękuję, że pozwoliła mi Pani odsłuchać nagranie. Chciałem podziękować osobiście, ale się nie udało.

Pod tymi nabazgranymi linijkami podpisałem się imieniem i nazwiskiem, tym moim nazwiskiem tak nietypowym w Kolumbii, które wciąż przyprawia mnie o pewną nieśmiałość, kiedy je piszę, acz zależy dla kogo; w moim kraju nie brakuje ludzi okazujących nieufność

wszystkim, których nazwisko trzeba przeliterować. Potem rozprostowałem torebkę dłońmi i zostawiłem ją na odtwarzaczu, jeden rożek przytrzasnąłem kieszenią na kasety. Wszedłem na miasto z mieszanymi uczuciami i całkowitą pewnością, że nie chcę wracać do domu, że chcę zachować dla siebie to, co właśnie przeżyłem, tę tajemnicę, której ujawnienia stałem się świadkiem. Pomyślałem, że nigdy już nie będę tak blisko życia Ricarda Laverdego, jak byłem przed chwilą w tym domu, przez tych kilka minut, ile trwało nagranie z czarnej skrzynki; nie chciałem, żeby to moje dziwne poruszenie się rozproszyło, więc poszedłem do szosy Siódmej i ruszyłem przez centrum Bogoty, mijając plac Bolívara i kierując się na północ; wchodziłem między ludzi zawsze tłoczących się na chodniku, pozwalałem, żeby mnie popychali ci, którym się bardziej śpieszy, zderzałem się z idącymi z naprzeciwka, szukałem zaułków, do których zwykle rzadko zaglądam, a nawet wstąpiłem na targ rękodzieła przy Dziesiątej Ulicy, wydaje mi się, że to była ta ulica; przez cały czas myślałem o tym, że nie chcę wracać do domu, że Aura i Leticia stanowią część innego świata, nie tego, w którym żyje pamięć o Ricardzie Laverdem i w którym rozbił się samolot o numerze lotu 965. Nie, nie mogłem jeszcze wracać do domu. Znalazłem się na Dwudziestej Drugiej Ulicy, zastanawiałem się, jak odroczyć powrót do domu, co zrobić, żeby jeszcze pobyc w środku tej czarnej skrzynki; wtedy moje ciało podjęło decyzję za mnie, wszedłem do jakiegoś kina porno, na ekranie kobieta z bardzo długimi i bardzo jasnymi włosami, naga pośrodku umeblowanej kuchni, podnosiła nogę tak wysoko, że obcas jej buta zaklinował się między garnkami na piecyku, utrzymywała tę delikatną równowagę, podczas gdy ubrany mężczyzna penetrował ją, wydając jednocześnie niezrozumiałe polecenia, bo ruchy jego ust nie odpowiadały zupełnie wypowiedzanym słowom.

W Wielki Czwartek 1999 roku, dziewięć miesięcy po spotkaniu z gospodynią Ricarda Laverdego i kilka przed końcem tysiąclecia, wszedłem do mieszkania i zastałem na automatycznej sekretarce nagrany głos kobiety i numer telefonu. „To jest wiadomość dla pana Antonia Yammara”, mówił głos, młody, ale melancholijny, jednocześnie zmęczony i zmysłowy, jednej z tych kobiet, które musiały dojrzeć przedwcześnie. „Pani Consuelo Sandoval podała mi pańskie nazwisko, numer zdobyłam sama. Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza, jest pan w książce telefonicznej. Proszę do mnie zadzwonić. Muszę z panem porozmawiać”. Od razu oddzwoniłem.

– Czekałam na pański telefon – powiedziała kobieta.

– Z kim mam przyjemność? – zapytałem.

– Przepraszam, jeśli zawracam głowę. Nazywam się Maya Fritts, nie wiem, czy moje nazwisko coś panu mówi. To znaczy to nie jest moje prawdziwe nazwisko, tylko mojej matki, naprawdę nazywam się Laverde. – A ponieważ milczałem, kobieta dodała coś, co w tej chwili nie było już potrzebne: – Jestem córką Ricarda Laverdego. Muszę pana zapytać o parę rzeczy. – Wydaje mi się, że wtedy coś powiedziałem, ale możliwe, że ograniczyłem się do powtórzenia nazwiska, tych dwóch nazwisk, jej i jej ojca. Maya Fritts, córka Ricarda Laverdego, wciąż mówiła. – Tylko wie pan, mieszkam daleko od Bogoty, długo by tłumaczyć. Dlatego proszę o podwójną przysługę, bo chciałabym pana zaprosić tu do mnie, do mojego domu, na cały dzień. Chciałabym, żeby pan przyjechał i opowiedział mi o moim ojcu, wszystko, co pan wie. To wielki kłopot, wiem, ale mam tu świetne jedzenie i jest bardzo ciepło, obiecuję, że nie będzie pan żałował. Więc wszystko zależy od pana, panie Yammara. Jeśli ma pan kartkę i coś do pisania, już panu tłumaczę, jak dojechać.

III. Spojrzenie nieobecnych

O siódmej rano następnego dnia jechałem Osiemdziesiątą Ulicą, po czarnej kawie w charakterze śniadania, w kierunku zachodniego wylotu z miasta. Był to zachmurzony i zimny poranek, a ruch o tej porze był już gęsty czy wręcz agresywny; jednak w miarę szybko dotarłem do granic miasta, tam gdzie zmienia się miejski krajobraz i płuca odczuwają nagły zanik zanieczyszczenia. Wylotówka zmieniła się przez lata: szerokie pasy ze świeżo położonym asfaltem i ostentacyjnie białym oznakowaniem przejść dla pieszych albo linią przerywaną pośrodku. Nie wiem, ile razy w dzieciństwie jechałem tą trasą, ile razy podjeżdżałem pod otaczające miasto góry, żeby potem szaleńczo pędzić w dół i w trzy godziny zjechać z tych naszych dwóch tysięcy sześciuset zimnych i deszczowych metrów w dolinę rzeki Magdaleny, gdzie temperatury zbliżają się miejscami do czterdziestu stopni. Tak było w La Doradzie, mieście wyznaczającym połowę drogi między Bogotą i Medellín, służącym podróżującym na tej trasie za przystanek albo miejsce spotkania, albo nawet czasami kurort. W okolicy La Dorady, w miejscu, z opisu sądząc, pozostającym poza miastem, jego gwarem na ulicach i gęstym ruchem ulicznym, mieszkała Maya Fritts. Ale ja, zamiast myśleć o niej i zrzędzeniu losu, dzięki któremu się spotykamy, przez cztery godziny jazdy myślałem tylko o Aurze albo raczej o tym, co zaszło między Aurą i mną poprzedniej nocy.

Kiedy już wysłuchałem wskazówek Mai Fritts i naszkicowałem kiepską mapę na odwrocie kartki (na drugiej stronie miałem notatki na jeden z moich wykładów: mieliśmy przedyskutować, jakie racje miała Antygona, grzebiąc brata wbrew prawu), Aura i ja przeszliśmy przez codzienną wieczorną rutynę w jak najbardziej pokojowy sposób; przygotowaliśmy razem kolację, podczas gdy Leticia oglądała film, opowiadając sobie o tym, jak nam minął dzień, śmiejąc się i ocierając o siebie w ciasnej kuchni. *Piotruś Pan* bardzo się Leticii podobał, *Księga dżungli* też, a Aura kupiła jej dwa czy trzy odcinki *Muppet Show*, nawet nie po to, żeby sprawić przyjemność małej, tylko dla zaspokojenia własnych nostalgii, przypomnienia czułości, jaką wzbudzał w niej Liczyhrabia, przewidywalnej niechęci do Miss Piggy. Ale nie, to nie Muppety leciały tego wieczoru w naszym pokoju, tylko jeden z tamtych filmów. *Piotruś Pan*, tak, to *Piotruś Pan* wtedy leciał – „ta historia już się wydarzyła i jeszcze się wydarzy”, mówił anonimowy narrator na początku – kiedy Aura, spowita czerwonym fartuchem z anachroniczną gębą Świętego Mikołaja, powiedziała, nie patrząc mi w oczy:

– Coś kupiłam. Przypomnij mi potem, żebym ci pokazała.

– Ale co?

– Coś – odpowiedziała Aura.

Mieszała w garnkach, pochłaniacz nad kuchenką pracował na najwyższych obrotach, więc musieliśmy mówić podniesionym głosem, a światło z lampy zalewało twarz Aury miedzianym blaskiem.

– Strasznie jesteś ładna – powiedziałem. – Nie mogę się przyzwyczaić.

Uśmiechnęła się, chciała coś odpowiedzieć, ale w tej chwili w drzwiach pojawiła się cicha, dyskretna Leticia, uczesana w koński ogon, kasztanowe włosy wciąż jeszcze miała wilgotne po kąpiel. Wziąłem ją na rękę i zapytałem, czy jest głodna, i to samo miedziane światło padło na jej twarz; rysy miała bardziej po mnie niż po Aurze, to zawsze mnie poruszało, a jednocześnie rozczarowywało. Myśl ta jakoś dziwnie tkwiła mi w głowie podczas kolacji: że Leticia mogłaby być podobniejsza do Aury, mogłaby odziedziczyć urodę Aury, a za to dostała moje szorstkie rysy, moje zbyt grube kości, moje odstające uszy. Może dlatego tak się jej przyglądałem, kiedy kładłem ją spać. Przez chwilę siedziałem z nią w ciemnym pokoju, mrok

zakłócała tylko jedna lampka w kształcie kuli rzucająca słabe, pastelowe światło, zmieniające kolor w ciągu nocy; pokój Leticii bywa niebieski, kiedy mnie woła, bo śniła jakiś koszmar, a może być różowy albo zielony, kiedy woła, bo skończyła się jej woda w butelce. W każdym razie w tym kolorowym półmroku, gdy Leticia zapadała w sen i oddychała coraz spokojniej, ja studiowałem jej rysy i genetyczne wpływy widoczne wyraźnie w twarzy, te wszystkie chromosomy w swej tajemniczej wędrowce, żeby zaznaczyć kształt mojego podbródka na jej podbródku, mój kolor włosów w jej włosach. Na tym byłem skupiony, kiedy drzwi się uchyliły, pojawiła się szczelina światła, a za nią sylwetka Aury kiwającej w moją stronę.

– Usnęła?

– Tak.

– Na pewno?

– Tak.

Zaprowadziła mnie za rękę do salonu, usiedliśmy na kanapie. Stół w jadalni był już uprzątnięty, a zmywarka w kuchni pomrukiwała jak stary konający gołąb. (Zwykle nie przesiadywaliśmy w salonie po kolacji: woleliśmy położyć się do łóżka i oglądać jakiś stary jankeski sitcom, coś lekkiego, wesołego i ożywczego. Aura nauczyła się żyć bez wieczornych wiadomości i potrafiła już nawet żartować sobie z mojego bojkotu, ale dobrze rozumiała, dlaczego tak poważnie to traktuję. Ja nie oglądałem wiadomości i już. Sporo czasu miało mi jeszcze zająć nauczenie się, jak je znieść, jak pogodzić się z tym, że informacje krajowe atakują moje życie).

– Dobra, patrz – powiedziała Aura.

Jej ręce zanurkowały za kanapą i wyłoniły się po chwili z małą paczuszką zawiniętą w papier gazetowy.

– To dla mnie? – zapytałem.

– Nie, to nie jest prezent – odpowiedziała. – Albo tak, ale dla nas dwojga. Kurde, nie wiem, nie wiem, jak się trzeba zachować.

Wstyd nie był stanem, który by zbyt często dręczył Aurę, a jednak tym razem to było to, całe jej zachowanie wynikało z zawstydzenia. Potem zabrzmiał jej głos (jej zdenerwowany głos), wyjaśniała, gdzie kupiła ten wibrator, ile kosztował, jak zapłaciła, żeby nigdzie nie pozostał ślad po zakupie, jak strasznie nienawidziła w tej chwili wszystkich lat religijnego kształcenia, które sprawiły, że wchodząc do sklepu na roku Dziewiętnastej Alei, czuła, że spotkają ją za to straszne rzeczy, że za ten zakup czeka ją wieczność w piekle. Był to przyrząd o fioletowej barwie i chropowatej powierzchni, z większą liczbą guzików i możliwości, niżbym sobie mógł wyobrazić, ale wcale nie miał takiego kształtu, jakiego bym się domyślał za sprawą nazbyt dosłownej wyobraźni. Patrzyłem na to coś (uśpione w moim ręku), a Aura patrzyła na mnie, jak patrzę. Nie mogłem się oprzeć i do głowy przyszło mi słowo „samozadowolacz”, którego także czasami używa się w takim kontekście: Aura jako kobieta, która musi się sama zadowalać, Aura jako kobieta niezadowolana.

– Co to jest? – zapytałem. Głupie pytanie, o głupsze trudno.

– No, sam widzisz – powiedziała Aura. – To dla nas.

– Nie – odpowiedziałem – to nie jest dla nas.

Wstałem i upuściłem go na drewniany stolik, przyrząd odbił się lekko (w końcu był wykonany z materiałów elastycznych). Przy innej okazji odgłos pewnie by mnie rozbawił, ale nie tam, nie wtedy. Aura złapała mnie za rękę.

– Ale nic się nie dzieje, Antonio, to dla nas.

– To nie jest dla nas.

– Miałeś wypadek, nikt nie ma pretensji, ja cię Kocham – powiedziała Aura. – Wszystko

jest dobrze, Kochamy się.

Fioletowy wibrator, czy samozadowolacz, leżał między popielniczkami, podkładkami pod szklanki i książkami na stoliku, wszystkie je wybierała Aura: *Kolumbia z lotu ptaka*, spora książka o José Celestine Mutisie i druga, nowa, jakiegoś argentyńskiego fotografa, o Paryżu (tej Aura nie wybrała, tylko dostała w prezencie). Poczulem wstyd, dziecięcy i absurdalny wstyd.

– Potrzebujesz się sama zadowalać? – zapytałem. Ton mojego głosu zaskoczył nawet mnie.

– Co?

– To jest samozadowolacz. Potrzebujesz się zadowalać?

– Nie rób tego, Antonio. Jesteśmy razem. Miałeś wypadek i jesteśmy razem.

– Wypadek miałem ja sam, nie opowiadaj bzdur. Postrzelili mnie. – Trochę się uspokoilem. – Przepraszam – powiedziałem. A potem: – Lekarz mi o tym mówił.

– No ale to było trzy lata temu.

– Żebym się nie przejmował, że ciało wie, jak rozwiązywać swoje problemy.

– To trzy lata, Antonio. To jest co innego. I ja cię Kocham, jesteśmy razem.

Nie odpowiedziałem.

– Możemy znaleźć wyjście – powiedziała Aura.

Nie odpowiedziałem.

– Jest wiele takich par – mówiła Aura. – Nie jesteśmy jedyni.

Ale ja dalej milczałem. Gdzieś musiała się przepalić jakaś żarówka, bo nagle w salonie zrobiło się trochę ciemniej, kanapa, dwa krzesła i jedyny obraz – bilardziści Saturnina Ramíreza, którzy, z powodów, jakich nie udało mi się ustalić, grają w ciemnych okularach – straciły kontury. Poczulem zmęczenie i potrzebę jakiegoś środka znieczulającego. Aura znów usiadła na kanapie i teraz zasłaniała twarz dłońmi, ale nie wydawało mi się, żeby płakała.

– Myślałam, że ci się spodoba – powiedziała. – Myślałam, że robię coś dobrego.

Odwróciłem się i zostawiłem ją samą, może nawet w pół zdania, i zamknąłem się w naszej łazience. W wąskiej niebieskiej szafce odszukałem pigułki, słoiczek z białego plastiku z czerwoną nakrętką, którą kiedyś, ku naszemu przerażeniu, Leticia pogryzła i popsuła (ostatecznie okazało się, że nie odkryła pigułek ukrytych pod watą, no ale dwu- czy trzyletnia dziewczynka zawsze narażona jest na jakieś ryzyko, cały świat stanowi dla niej zagrożenie). Popijając wodą z kranu, wziąłem trzy pastylki, największą dopuszczalną albo zalecaną dawkę, ale mój rozmiar i waga pozwalają na takie ekscesy, kiedy ból bardzo się nasila. Potem wziąłem długi prysznic, co zawsze przynosi mi ulgę; kiedy wróciłem do naszego pokoju, Aura spała albo udawała, że śpi, a ja starałem się jej nie obudzić względnie utrzymać tę wygodną fikcję. Rozebrałem się, położyłem obok, ale odwrócony plecami, a potem już nic nie pamiętam, spadł na mnie natychmiastowy sen.

Było bardzo wcześnie, zwłaszcza jak na wolny od pracy Wielki Piątek, gdy następnego ranka wychodziłem z mieszkania. Światło jeszcze nie wypełniało wnętrza. Chciałem wierzyć, że to przez ogólną senność unoszącą się jeszcze na świecie, nie obudziłem nikogo, żeby się pożegnać. Wibrator leżał na stoliku w salonie, kolorowy i z plastiku jak zabawka pozostawiona tam przez Leticie.

W Alto del Trigo gęsta mgła spłynęła na podróżujących, nagle jak chmura, która zgubiła kierunek, a niemal zerowa widoczność zmusiła mnie do takiego zredukowania prędkości, że wyprzedzały mnie wieśniaczki na rowerach. Mgła osiadała na szybach jako rosa, więc trzeba było używać wycieraczek, choć nie padało, a kształty przedmiotów – samochód z przodu, kilku żołnierzy stojących przy drodze z gotowymi do strzału karabinami, juczny osioł – wyłaniały się stopniowo z tej mlecznej zupy, która nie przepuszczała światła. Pomyślałem o latających nisko samolotach: „Wyżej, wyżej, wyżej”. Pomyślałem o mgle i przypomniał mi się słynny wypadek w

El Tablazo, w dawnych latach czterdziestych, ale nie pamiętałem, czy to stało się z winy zdradliwej na tych wysokościach widoczności.

Wyżej, wyżej, wyżej, pomyślałem. A potem, kiedy zjeżdżałem do Guaduas, mgła się podniosła tak samo, jak siadła, i nagle odsłoniło się niebo i uderzenie ciepła odmieniło dzień: wybuchła zieleń, wybuchły zapachy, pojawiły się przy drodze kramiki z owocami. Zacząłem się pocić. Kiedy w jakiejś chwili uchyliłem okna, żeby kupić od sprzedawcy piwo grzejące się spokojnie w skrzynce pełnej lodu, moje słoneczne okulary natychmiast zaparowały od gorąca. Ale najbardziej przeszkadzał mi pot. Pory skóry znalazły się nagle w centrum mojej świadomości.

Dopiero po dwunastej zacząłem zbliżać się do celu. Po niemal godzinnym korku na wysokości Guarinocito (ciężarówka z pękniętą osią może okazać się zabójcza na dwupasmowej drodze bez pobocza), kiedy w oddali zamajaczyły spiczaste skały, a mój samochód wjechał na tereny licznych hodowli bydła, zauważyłem skromną szkółkę, którą miałem zauważyć, przejechałem wskazany dystans wzdłuż długiej białej rury biegnącej przy drodze i skręciłem w prawo, w stronę rzeki Magdaleny. Minąłem metalową konstrukcję, na której kiedyś umocowana była plansza z reklamą, ale teraz, widziana z daleka, przypominała coś w rodzaju wielkiego niepotrzebnego gorsetu (kilka przycupniętych na prętach sępów pilnowało okolicy); minąłem wodopój, przy którym piły dwie krowy, stały bardzo blisko siebie, przeszkadzały sobie i popychały się nawzajem, łby chronił im przed słońcem aluminiowy daszek. Po trzystu metrach szutrowej drogi przejechałem obok grupki dzieci rozebranych do pasa, które hałasowały i śmiały się, wzniesając przy drodze tuman kurzu. Jedno z nich wyciągnęło małą śniadą rączkę z uniesionym kciukiem. Zatrzymałem się, zjeżdżając na pobocze; odsapnąłem, a na twarzy i całym ciele poczułem znów brutalne uderzenie gorąca. Znów poczułem wilgoć, znów poczułem zapachy. Pierwszy odezwał się chłopiec.

– Ja jadę tam gdzie pan, proszę pana.

– Jadę do Las Acacias – powiedziałem. – Jak wiesz, gdzie to jest, to cię podrzucę.

– A to mi nie pasuje, proszę pana – stwierdził chłopiec, ani przez chwilę nie przestając się uśmiechać. – Tamtędy pan musi pojechać. Ten pies to stamtąd. Nie gryzie, spokojnie.

Był to owczarek niemiecki, czarny i zmęczony, z białą plamą na ogonie. Zauważył moją obecność, postawił uszy i spojrzał na mnie bez zainteresowania, potem okręcił się w koło pod drzewem mangowym, nos przy ziemi, a ogon przyciśnięty do żeber jak pióropus, a w końcu położył się pod pnem i zaczął lizać sobie łapę. Zrobiło mi się go żal, jego futro nie nadawało się na ten klimat. Jechałem jeszcze kawałek przed siebie, ciągle w cieniu drzew, których gęste liście nie przepuszczały światła, aż dotarłem przed bramę z solidnymi kolumnami i drewnianym szlabanem, do którego przymocowano deskę sprawiającą wrażenie świeżo pociągniętej lakierem do mebli; na tej desce ktoś nabazgrał pozbawioną polotu i wdzięku nazwę posesji. Musiałem wysiąść, żeby otworzyć bramę, której główna zasuwą zacięła się chyba wieki temu; jechałem jeszcze kawałek drogą wydeptaną na łące, dwa pasy ziemi i grzywa sztywnej trawy pośrodku, a na końcu, za słupem, gdzie odpoczywał niewielkich rozmiarów sęp, stał biały jednopiętrowy dom.

Zastukałem, ale nikt nie odpowiedział. Drzwi były uchylone: przeszklona ściana do jadalni i salon z jasnymi fotelami, nad wszystkim panował wentylator, którego śmigła sprawiały wrażenie, jakby posiadały jakieś wewnętrzne życie, prywatną misję wymierzoną w wysokie temperatury. Na tarasie wisiały trzy hamaki w jaskrawych kolorach, a pod jednym z nich ktoś zostawił nadgryzioną guawę, którą teraz pożerały mrówki. Już miałem zawołać głośno, czy nie ma nikogo w domu, ale usłyszałem jakieś gwizdnięcie, potem drugie, i kilka sekund zajęło mi odkrycie, że za wybujałymi bugenwillami na rogu, za drzewami guawy rosnącymi za

bugenwillami jakaś postać macha rękoma, jakby wzywając pomocy. Było coś monstrualnego w tej zbyt białej postaci o za dużej głowie i za szczupłych nogach; ale nie mogłem się z odpowiednią uwagą przyjrzeć, idąc w jej stronę, bo całą uwagę skupiałem na tym, żeby nie skrócić sobie kostki na kamieniach i nierównościach gruntu i żeby nie poharatać sobie twarzy gałęziami drzew. Za domem błyszczał prostokąt basenu, na oko niezbyt zadbanego: niebieskie dno z farbą łuszczącą się od słońca, okrągły stolik ze składanym parasolem, siatka do czyszczenia wody oparta o drzewo, jakby nikt jej nigdy nie używał. O tym właśnie myślałem, kiedy podchodziłem do białego potwora, ale wtedy jego głowa zmieniła się już w maskę z siatką, a dłoń w rękawicę o grubych palcach. Kobieta zdjęła maskę, przesunęła szybko ręką po włosach (kasztanowe wpadające w blond, przycięte z celową niedbałością i uczesane z autentyczną nonszalancją), przywitała się ze mną bez uśmiechu i wyjaśniła, że przerwała obchód uli, żeby się ze mną przywitać. Teraz musiała wrócić do pracy.

– Bez sensu, żeby pan sam się nudził, czekając na mnie w domu – powiedziała, wymawiając wyraźnie każdą literę, zupełnie jakby jej życie od tego zależało. – Widział pan kiedyś ul od środka?

Nagle zdałem sobie sprawę, że jest w moim wieku, parę lat w jedną czy w drugą, choć nie umiałbym powiedzieć, jaka sekretna więź pokoleniowa istniała między nami ani nawet czy na pewno istnieje: zbiór gestów i słów albo jakiś określony ton głosu, określony sposób witania się, poruszania, dziękowania albo zakładania nogi na nogę, które dzielimy z innymi członkami naszego stada. Miała najjaśniejsze zielone oczy, jakie kiedykolwiek widziałem, a na jej twarzy skóra dziewczynki spotykała się z cerą i wyrazem twarzy kobiety dojrzałej i udręczonej; twarz kojarząca się z zabawą, z której wszyscy wyszli. Nie miała na sobie żadnych ozdób, nie licząc dwóch diamentowych drobinek (tak mi się wydawało, że to diamenty) ledwie widocznych na płatkach uszu. Ubrana w strój pszczelarski maskujący jej kształty Maya Fritts zaprowadziła mnie do budki, która kiedyś mogła być małą szopą, gdzie wisiały dwie maski i biały kostium, pomieszczenie cuchnęło nawozem.

– Proszę włożyć – poleciła. – Moje pszczoły nie przepadają za mocnymi barwami.

Nie powiedziałbym, żeby błękit mojej koszuli był mocny, ale nie zaprotestowałem.

– Nie wiedziałem, że pszczoły widzą kolory – stwierdziłem, ale ona już nakładała mi na głowę biały kapelusz i objaśniała, jak się zawiązuje nylonową siatkę na twarzy. Przekładając mi sznurki pod pachami, żeby je związać na plecach, objęła mnie jak pasażer motocyklistę; spodobała mi się ta bliskość jej ciała (wydawało mi się, że czuję na plecach nacisk wyobrażonych piersi), ale także pewność, że ręce pracują, pewność albo bezwstyd, z jakim dotykała mojego ciała. Skądś jeszcze wyjęła kilka białych sznurków, przyklekła na jedno kolano, obwiązała mi nimi nogawkę i patrząc na mnie bez cienia wstydu, powiedziała:

– Żeby pana nie pożądliły we wstydlive części.

Potem złapała za coś w rodzaju metalowej butelki przymocowanej do żółtego miecha i poprosiła, żebym ją niósł, a sama wzięła czerwoną szczotkę i żelazny pręt.

Zapytałem, od jak dawna ma takie hobby.

– Żadne hobby – odpowiedziała. – Ja z tego żyję, mój drogi. Najlepszy miód w regionie, za pozwoleniem.

– No to moje gratulacje. I od dawna produkuje pani ten najlepszy miód w regionie?

Wyjaśniła mi wszystko w drodze do uli. Wyjaśniła też inne rzeczy. I tak się dowiedziałem, jak to się stało, że zamieszkała na tej posesji, swoim jedynym majątku.

– Moi rodzice kupili te ziemie, kiedy się urodziłam, mniej więcej.

– Czyli – zauważyłem – to wszystko, co pani po nich zostało?

– Trochę pieniędzy też – odparła Maya – ale wydałam wszystko na adwokatów.

– Adwokaci kosztują – przyznałem.

– Nie – odpowiedziała – są jak psy: wyczuwają strach i atakują. A ja byłam bardzo niedoświadczona, kiedy to się wszystko zaczęło. Trzeba przyznać, że ktoś mniej uczciwy mógłby mi to wszystko odebrać.

Kiedy tylko dorosła i mogła decydować o sobie, zaczęła snuć plany, jakby się tu wynieść z Bogoty, i jeszcze przed dwudziestymi urodzinami rzeczywiście się wyprowadziła, rzucając studia i z tego powodu wchodząc w konflikt z matką. Kiedy zaczął się proces spadkowy, Maya mieszkała tu od dobrych dziesięciu lat.

– Nigdy nie będę żałować, że wyniosłam się z Bogoty – powiedziała. – Nie mogłam już, nienawidzę tego miasta. Nie wróciłam tam, nie wiem nawet, co się teraz dzieje, może pan mi opowie. Mieszka pan w Bogocie?

– Tak.

– Nigdy pan się nie wyprowadził?

– Nigdy. Nawet w tych najgorszych latach.

– No ja też. Przez wszystko przeszedłem.

– Z kim pani mieszkała?

– Z matką oczywiście – powiedziała Maya. – Bardzo dziwne to było życie, jak o tym teraz myślę, tylko we dwie. Potem każda poszła swoją drogą, wie pan, jak to jest.

W 1992 postawiła w Las Acacias pierwsze ule w stylu tradycyjnym, decyzja co najmniej dziwna w przypadku osoby, która sama o sobie mówi, że miała wtedy o pszczelarstwie pojęcie mniej więcej takie, jakie ja mam teraz. Ale tamte ule przetrwały tylko kilka miesięcy. Maya nie znosiła tego, że musi niszczyć plastry i zabijać pszczoły za każdym razem, kiedy zbiera miód i воск, i w głębi duszy wierzyła, że pszczoły, które przeżyły, uciekały, roznosząc wieść po całej okolicy, i pewnego dnia, kiedy będzie odsypiać sjęstę na hamaku przy basenie, rzuci się na nią chmara mściwych żądeł. Zmieniła ule tradycyjne na takie z otwieranymi częściami i nigdy już nie musiała zabijać żadnej pszczoły.

– Ale to już siedem lat temu – powiedziałem. – Ani razu nie była pani w Bogocie od tego czasu?

– No nie, byłam. W związku ze sprawami prawnymi. Żeby znaleźć panią Consuelo Sandoval. Ale nigdy nie nocowałam w Bogocie, nawet nie pozwoliłam, żeby mnie noc zastała w mieście. Nie zniosłabym tego, nie wytrzymuję tam dłużej niż kilka godzin.

– I dlatego pani woli, żebyśmy my wszyscy przyjeżdżali do pani.

– Nikt do mnie nie przyjeżdża. Ale tak, tak to wygląda. Dlatego prosiłam, żeby pan przyjechał.

– Rozumiem – powiedziałem.

Maya podniosła głowę.

– Tak, myślę, że pan mnie rozumie – stwierdziła. – Takie pokoleniowe sprawy, jak sądzę. Naszej generacji, która dorastała w latach osiemdziesiątych, prawda? Mamy z Bogotą dość specjalną relację, nie wydaje mi się, żeby to było normalne.

Ostatnie sylaby tego zdania zagłuszyło przenikliwe bzyczenie. Znaleźliśmy się kilka kroków od uli. Teren był tam lekko pochyły, a przez siatkę trudno było patrzeć, gdzie się stawia stopę, ale mimo wszystko miałem okazję uczestniczyć w najwspanialszym spektaklu świata: człowiek dobrze wykonujący swoją pracę. Maya Fritts wzięła mnie pod ramię i podeszliśmy do uli stojących z boku, a nie z przodu, gestem poprosiła o podanie butelki, którą cały czas miałem przy sobie. Podniosła ją na wysokość twarzy i nacisnęła na miech raz, żeby sprawdzić, czy działa, wydobyło się z niego widmo białego dymu i rozpuściło w powietrzu. Maya przytknęła butelkę do otworu w pierwszym z uli i znów nacisnęła żółty miech, raz, dwa, trzy razy,

wypełniając środek dymem, a potem podniosła przykrywą, żeby szybko odymić wnętrze. Zrobiłem krok wstecz i odruchowo zasłoniłem sobie twarz ręką, ale zamiast roju historycznych pszczoł gotowych żądlić wszystko, co tylko nawinie się po drodze, ujrzałem coś zupełnie przeciwnego: pszczoły były spokojne i łagodne i włożyły jedna na drugą. Bzyczenie ustało: można było niemal zobaczyć, jak zatrzymują się skrzydełka, czarne i żółte paski przestają drżeć, jakby się im wyczerpały baterie.

– Co pani im dała? – zapytałem. – Co tam jest w tej butelce?

– Suche drewno i krowie łajno – odpowiedziała Maya.

– I ten dym je usypia? Co im robi?

Nie odpowiedziała. Oburącz podniosła pierwszy plaster, gwałtownie go obróciła i uspione czy oszołomione pszczoły pospadały do ula.

– Proszę mi podać szczotkę – powiedziała Maya Fritts, po czym zaczęła delikatnie strącać pozostałe uparte owady, które wciąż trzymały się miodu.

Niektóre pszczoły włożyły jej na palce, kręciły się między miękkimi włosami szczotki, trochę ciekawe i może też pijane, a Maya pozbywała się ich zgrabnym ruchem, pociągnięciem pędzla. „Nie, nie, malutka, mówiła czasami, ty do domu”. Albo: „No, złaż mi stąd, dziś nie jestem w nastroju do zabawy”. Ta sama procedura – wyciąganie plastrów, omiatanie pszczoł, czule przemowy – powtarzała się przy innych ulach, a Maya przyglądała się wszystkiemu uważnie i z pewnością zapamiętywała to, co widziała i czego ja, profan, zobaczyć nie byłem w stanie. Obracała drewniane ramy, przyglądała się im od przodu i od tyłu, kilka razy ponawiała odymianie, jakby w obawie, że jakaś niezdyscyplinowana pszczoła mogłaby się nie w porę obudzić, a ja skorzystałem z okazji i zdjąwszy rękawicę, wsunąłem rękę w strugę białych oparów, tylko po to, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o tym zimnym i wonnym dymie; jego zapach miał jednak więcej wspólnego z drewnem niż łajnem i miał się zachować na mojej skórze do późnej nocy. Poza tym już na zawsze będzie mi się kojarzyć z długą rozmową z Mayą Fritts.

Kiedy Maya sprawdziła już ule i odniosła do szopy naczynie do odymiania, szczotki i pręty, zaprowadziła mnie do domu i zaskoczyła daniem z wieprzowiny, które jej pracownicy szykowali dla nas przez cały ranek. Pierwsze, co poczułem, wchodząc do środka, to ogromną ulgę, choć moje ciało zdążyło się już przyzwyczaić do tego upału w środku dnia, ale kiedy zderzyło się z chłodem i cieniem w domu, zdało sobie sprawę, jak bardzo się męczyło wpakowane w kombinezon, rękawice i maskę. Całe plecy miałem złane potem, koszula kleiła mi się do piersi, a cały organizm stanowczo domagał się jakiegoś zadośćuczynienia. Dwa wentylatory, jeden w salonie i drugi w jadalni, wirowały jak szalone. Zanim usiedliśmy do posiłku, Maya Fritts wydobyła skądś skrzynkę i przyniosła ją do jadalni. Było to rękodzieło z wikliny rozmiarów niewielkiej walizki, z usztywnionym wieczkiem i wzmocnionym dnem, po obu stronach skrzynka miała uchwyty albo ucha z włókna, żeby łatwiej się ją niosło i trzymało. Maya umieściła ją u szczytu stołu, niby gościa, i usiadła po przeciwnej stronie. Kiedy nakładała sobie sałatkę z drewnianej miski, zapytała mnie, czego udało mi się dowiedzieć o Ricardzie Laverdem, czy udało mi się go dobrze poznać.

– Niezbyt. Znaliśmy się raptem kilka miesięcy.

– Sprawia panu przykrość rozmowa o tym? Znaczący przez ten wypadek.

– Już nie – odpowiedziałem. – Ale jest tak, jak mówię, niewiele wiem. Wiem, że bardzo kochał pani matkę. Wiem o locie z Miami. Natomiast o pani nie wiedziałem.

– Nic? Nigdy o mnie nie mówił?

– Nigdy. Tylko o pani matce. Elena, prawda?

– Elaine. Miała na imię Elaine, ale Kolumbijczycy zmieniali jej imię na Elena i tak już zostało. Pewnie się przyzwyczaiła.

- Ale Elena to wcale nie jest Elaine.
- Gdyby pan wiedział – westchnęła – ile razy słyszałam, jak to komuś tłumaczy.
- Elaine Fritts – powtórzyłem. – Powinna być dla mnie kimś obcym, a nie jest. Dziwne.

No nic, pani pewnie wie o czarnej skrzynce?

– O kasecie?

– Tak. Nie przypuszczałem, że się tu kiedyś u pani pojawię, Mayu. Próbowałbym jakoś zatrzymać tę kasetę. Nie sądzę, żeby to było bardzo trudne.

– A, tym się proszę nie przejmować – powiedziała Maya. – Mam ją.

– Tak?

– No a czego się pan spodziewał? W tym samolocie przecież zginęła moja matka, Antonio. Mnie to zajęło trochę więcej czasu niż panu. To znaczny dotarcie do kasety, mieszkania Ricarda i kasety. Pan miał nade mną przewagę, pan towarzyszył mi w ostatnich chwilach, ale nic, weszłam i w końcu dotarłam, w sumie to też nie moja wina.

– I Consu dała pani to nagranie.

– Tak, dała. I mam to tu. Za pierwszym razem, kiedy słuchałam, rozwaliło mnie to.

Musiałam przeczekać ileś dni, żeby móc ich znowu posłuchać, i uważam, że i tak byłam bardzo dzielna, ktoś inny schowałby coś takiego gdzieś głęboko, żeby nigdy do tego nie wracać. Ale ja owszem, ja jej jeszcze raz posłuchałam, a potem nie mogłam przestać. Nie wiem, ile razy, dwadzieścia czy trzydzieści. Z początku wierzyłam, że puszcza ją w kółko, żeby wyłapać coś nowego. Potem zdałam sobie sprawę, że puszcza ją właśnie dlatego, że niczego nowego na niej nie znajdę. Tata raz jej słuchał, prawda?

– Z tego, co wiem, tak.

– Nawet sobie nie wyobrażam, co czuł. – Maya zrobiła pauzę. – Uwielbiał ją, uwielbiał moją matkę. Jak to w dobrych związkach bywa, ale ten był wyjątkowy. Przez to, co się wydarzyło.

– Nie rozumiem.

– No, że on zniknął, a ona wciąż była sobą. Tak jakby zastygł w jej pamięci, żeby to jakoś ująć.

Zdjęła okulary, przytknęła dwa palce (jak kleszcze) do kącików oczu: uniwersalny gest tych, którzy nie chcą się rozplakać. Ciekawe, gdzie w naszym kodzie genetycznym zapisane są te gesty powtarzające się w każdym miejscu na świecie, u wszystkich ras i we wszystkich kulturach, albo prawie we wszystkich. A może tak nie jest, ale globalne kino każe nam tak sądzić. Tak, to też możliwe.

– Przepraszam – powiedziała Maya Fritts. – Wciąż mi się to zdarza.

Na białej skórze nosa pojawił się rumieniec, nagle wypieki.

– Mayu – odezwałem się – mogę zadać pani pytanie?

– Tak?

– Co tam jest?

Nie musiałem wyjaśniać, o co mi chodzi. Mówiąc, nie patrzyłem na wiklinową skrzynkę, nie wskazałem jej w żaden sposób (nawet ustami, jak to niektórzy robią: wydymając wargi i machając głową jak koń). Natomiast Maya Fritts spojrzała na drugi koniec stołu i mówiła ze spojrzeniem utkwionym w pustym miejscu.

– No to właśnie dlatego poprosiłam pana o przyjazd – powiedziała. – Nie wiem, czy dobrze to wyjaśnię. – Zrobiła pauzę, otoczyła szklankę z piwem palcami, ale nie podniosła jej do ust. – Chciałabym, żeby opowiedział mi pan o ojcu. – Kolejna pauza. – Przepraszam, mówiłam już to. – Jeszcze jedna pauza. – Widzi pan, ja nie... Ja byłam bardzo mała, kiedy on... No, chciałabym, żebym mi pan opowiedział o jego ostatnich dniach, pan je z nim przeżył, i

chciałabym, żeby zrobił to pan możliwie najbardziej szczegółowo.

Wtedy wstała i przyniosła wiklinową skrzynkę, która musiała swoje ważyć, bo Maya opierała ją sobie na brzuchu i niosła oburącz, jak kosz brudnych ubrań praczki z innego stulecia.

– Widzi pan, Antonio, to wygląda tak – powiedziała. – Ta skrzynka jest pełna rzeczy mojego ojca. Zdjęcia, listy, które dostał, listy, które pisał i które udało mi się zdobyć. Wszystko to zdobyłam sama, na ulicy tego nie znalazłam, kosztowało mnie to sporo fatygi. Pani Sandoval, na przykład, miała sporo przedmiotów. Miała to zdjęcie, proszę popatrzeć.

Oczywiście od razu je rozpoznałem i poznałbym nawet, gdyby ktoś jakoś usunął czy wyciął postać Ricarda Laverdego. Widać tam było gołębie z placu Bolívara, wózek z kukurydzą, budynek Pałacu Sprawiedliwości, szare tło nieba nad moim szarym miastem.

– To dla pani mamy – powiedziałem. – To zdjęcie dla Elaine Fritts.

– Wiem – odparła Maya. – Widział już je pan?

– On mi pokazał, zaraz po zrobieniu.

– A pokazywał coś jeszcze? Coś panu dał, jakiś list czy dokument?

Pomyślałem o tym wieczorze, kiedy nie chciałem wejść do pokoju Laverdego.

– Nie – powiedziałem. – Co tam jeszcze jest?

– Różne rzeczy – stwierdziła Maya – rzeczy bez znaczenia, rzeczy, które niczego nie mówią. Ale mnie posiadanie ich uspokaja. To taki dowód. Proszę popatrzeć – powiedziała i pokazała mi opieczętowaną kartkę. Była to faktura: na górze po lewej widniało logo hotelu, okrąg nieokreślonego albo niewyraźnego koloru (czas odcisnęła swoje piętno na papierze), a nad nim rozmieszczone słowa „Hotel”, „Escorial” i „Manizales”. Po prawej od logo następujący niesamowity tekst:

Należność pobierana jest w piątek każdego miesiąca i płatność należy uiścić natychmiastowo. Nie przyjmujemy bez wyżywienia. Kto zajmie pokój, zostanie obciążony co najmniej za jedną dobę.

Potem widniała data, 29 września 1970, godzina zameldowania gościa 3:30 p.m., a numer pokoju 225; nad rubryczką ręcznie wpisano datę wymeldowania (30 września, gość spędził tam tylko noc) i widać było pieczęć „Uregulowano”. Gość nazywał się Elena Laverde – wyobrażam sobie, że podała nazwisko męża, żeby uniknąć wszelkich zaczepek – i podczas tego krótkiego pobytu raz zadzwoniła i zjadła lunch oraz śniadanie, ale nie korzystała z usługi telegramu, pralni, prasy czy wypożyczalni samochodów. Strona bez żadnego znaczenia, a jednocześnie okno na inny świat, pomyślałem. I skrzynka była pełna takich rzeczy.

– Dowód czego? – zapytałem.

– Przepraszam?

– Powiedziała pani, że te papiery są dowodem.

– Tak.

– No właśnie. Dowodem czego?

Ale Maya nie odpowiedziała. Natomiast wciąż grzebała rękami między dokumentami i mówiła dalej, nie patrząc na mnie:

– Wszystko to zdobyłam bardzo niedawno. Sprawdzałam nazwiska i adresy, pisałam do Stanów, mówiąc, kim jestem, negocjowałam listownie i telefonicznie. I pewnego dnia przyszła do mnie paczka z listami, które mama pisała, kiedy przyjechała po raz pierwszy do Kolumbii, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym. Więc to była taka jakby praca historyka. Wielu ludzi uznałoby ją za absurdalną. Ja nie wiem, sama nie wiem, jak to wytłumaczyć. Jeszcze nie skończyłam trzydziestu lat, a mieszkam tu, daleko od wszystkiego, jak jakaś stara panna, i to się okazało dla mnie ważne. Odtworzyć życie mojego ojca, dowiedzieć się, kim był. To właśnie próbuję zrobić. Pewnie, nie pakowałabym się w to wszystko, gdybym nie została sama, bez

nikogo, i to tak nagle. Wszystko zaczęło się od tej historii z matką. To było tak absurdalne. Do mnie ta wiadomość dotarła w tym miejscu, leżałam na tym hamaku, kiedy dowiedziałam się, że samolot się rozbił. I wiedziałam, że leciała tym samolotem. A trzy tygodnie później sprawa z ojcem.

– Jak się pani dowiedziała?

– Przeczytałam w „El Espacio” – odpowiedziała. – Napisali, ze zdjęciami i wszystkim.

– Zdjęciami?

– Kałuży krwi. Dwóch czy trzech świadków. Domu. Pani Sandoval, która mi powiedziała o panu. Jego pokoju, i to było bardzo bolesne. Plotkarska gazeta, którą zawsze gardziłam, zawsze gardziłam tymi roznegliżowanymi laskami i makabrycznymi zdjęciami, i fatalnie napisanymi tekstami, nawet krzyżówką, która jest za łatwa. I najważniejsza wiadomość dociera do mnie właśnie stamtąd. No niech pan powie, czy to nie ironia losu. No więc pojechałam kupić coś do La Dorady i zobaczyłam tę gazetę, wisiała obok pilek plażowych i zestawów z maskami i płetwami dla turystów. I potem któregoś dnia zdałam sobie sprawę. Powiedzmy, że to była sobota (jadłam tu śniadanie, na tarasie, a robię tak tylko w weekendy), tak, powiedzmy, że to była sobota, wtedy zdałam sobie sprawę, że zostałam sama. Minęły miesiące i wiele już przecierpiałam, choć nie wiedziałam, dlaczego tak cierpię, przecież długo nie mieszkaliśmy razem, tylko każdy na swój rachunek. Nie prowadziliśmy wspólnego życia ani niczego, co by je przypominało. I to właśnie mi się przytrafiło: byłam sama, zostałam sama, nie było już nikogo między mną a śmiercią. To znaczy właśnie być sierotą – nikogo przed tobą nie ma, człowiek jest następny w kolejce. Teraz nasza kolej. W moim życiu nic się nie zmieniło, Antonio, wiele lat żyłam bez nich, ale teraz ich nigdzie już nie było. Nie tylko ze mną, w ogóle ich nie było. Tak jakby odeszli. I jakby na mnie patrzyli, tak, to ciężko wytłumaczyć, ale tak jakby patrzyli, Elaine i Ricardo na mnie patrzyli. Ciężko znieść takie spojrzenie nieobecnych. No a co było potem, to sobie pan wyobraża.

– Zawsze mi się to wydawało dziwne – powiedziałem.

– Ale co?

– Że żona pilota zginęła w wypadku lotniczym.

– A nie, to nie jest takie dziwne, jak się ma orientację w pewnych sprawach.

– Na przykład jakich?

– Ma pan czas? – zapytała Maya. – Chce pan przeczytać coś, co nie ma nic wspólnego z moim ojcem, ale jednocześnie ma z nim bardzo dużo wspólnego?

Wyjęła ze skrzynki czasopismo „Cromos”, z nagłówkiem, jakiego nie kojarzyłem – tytuł białymi literami na tle czerwonego prostokąta – i kolorowym zdjęciem kobiety w stroju kąpielowym, ręce delikatnie oparte na berle, na ufryzowanych włosach trzymała się korona: królowa piękności. Pismo datowane było na listopad 1968, a kobieta, jak szybko się dowiedziałem, nazywała się Margarita María Reyes Zawadzky, miss Kolumbii tego roku. Na okładce widniało kilka tytułów, żółtawe litery na tle niebieskawego tła Morza Karaibskiego, ale nie zdążyłem ich przeczytać, bo palce Mai Fritts już otwierały czasopismo na stronie zaznaczonej samoprzylepną żółtą karteczką.

– Trzeba się z tym ostrożnie obchodzić – powiedziała Maya. – Papier kiepsko się trzyma w tej wilgoci, sama nie wiem, jakim cudem tyle czasu to wytrzymało. No, to tutaj.

TRAGEDIA W SANTA ANA, głosił okazałego rozmiaru nagłówek. A potem kilka linijek wytłuszczonego druku: „Trzydzieści lat po wypadku lotniczym, który poruszył całą Kolumbię, «Cromos» prezentuje wyłączną relację osoby ocalałej z tej katastrofy”. Artykuł zamieszczony był obok reklamy programu „Club de Clan”, co wydało mi się zabawne, bo wiele razy słyszałem, jak rodzice rozmawiali o tym telewizyjnym show. Rysunkowa dziewczyna grała na gitarze na tle napisu „Telewizja”. „Przekaz adresowany do kolumbijskiej młodzieży”, chełpiła

się reklama, „nie jest kompletny, jeśli nie zawiera programu «Club de Clan»”.

Już miałem zapytać, o co w tym chodzi, kiedy moje spojrzenie padło na nazwisko „Laverde” usiane na stronie jak ślady psa o brudnych łapach.

– Kto to jest Julio?

– Mój dziadek – wyjaśniła Maya. – Który w czasie tamtych zdarzeń nie był oczywiście jeszcze moim dziadkiem. Dziadkiem ani nikim takim, miał piętnaście lat.

– Tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy – powiedziałem.

– Tak.

– Ricardo się tu nie pojawia.

– Nie.

– Jeszcze się nie urodził.

– Zostały mu jeszcze cztery lata – powiedziała Maya.

– No i?

– No i moje pytanie brzmi: ma pan czas? Bo jeśli się pan śpieszy, to ja rozumiem. Ale jeśli chce pan poznać prawdę o Ricardzie Laverdem, to trzeba zacząć tu.

– Kto to napisał?

– To nieważne. Nie wiem. Mniejsza z tym.

– Jak to nieważne?

– No pewnie redakcja. – Maya się zniecierpliwiła. – Redakcja to napisała, jakiś tam dziennikarz, reporter, nie wiem. Jakiś bezimienny facet, który pewnego dnia przyszedł do domu moich dziadków i zaczął zadawać pytania. A potem sprzedał ten artykuł i pisał inne rzeczy. Jakie to ma znaczenie, Antonio? Jakie to ma znacznie, kto to napisał?

– No ale ja nie rozumiem – powiedziałem. – Co to jest?

Maya westchnęła: to było karykaturalne westchnienie, jakby źle zagrane, ale w jej przypadku sprawiało wrażenie autentycznego, tak jak autentyczne było jej zniecierpliwienie.

– To jest relacja z pewnego dnia. Mój pradziadek zabiera mojego dziadka na pokaz lotniczy. Kapitan Laverde zabiera swojego syna Julia, żeby pokazać mu samoloty. Jego syn Julio ma piętnaście lat. Potem dorośnie, ożeni się i będzie miał syna, i da mu na imię Ricardo. I Ricardo też dorośnie, i będzie miał mnie. Nie wiem, co w tym takiego trudnego do rozumienia. To jest pierwszy prezent, jaki mój tata dał mojej mamie, sporo przed ślubem. Ja to teraz czytam i dobrze rozumiem.

– Ale co?

– Dlaczego to dał. Jej to się musiało wydać gestem trochę ostentacyjnym, nawet może szpanerskim: patrz, co piszą o mojej rodzinie, moja rodzina pojawia się w prasie i tak dalej. Ale potem zaczęła rozumieć. Ona była zbłąkaną jankeską, która romansowała z Kolumbijczykiem, niewiele wiedząc o Kolumbii i jej mieszkańcach. Jak człowiek pojawia się w nowym mieście, pierwsze, czego potrzebuje, to przewodnik, prawda? No więc czymś takim jest ten artykuł z sześćdziesiątego ósmego roku o pewnym dniu sprzed trzydziestu lat. Mój ojciec ofiarował mojej mamie przewodnik. Tak, przewodnik, dlaczego nie. Przewodnik Ricarda Laverdego. Przewodnik po jego uczuciach, z zaznaczonymi dobrze wszystkimi trasami.

Zamilkła na chwilę i dodała:

– No nic, sam pan zobaczy. Ma pan ochotę na piwo?

Powiedziałem, że chętnie, bardzo dziękuję. I zacząłem czytać. „Bogota świętowała” – tak zaczynał się tekst. A potem szło tak:

Tej niedzieli roku 1938 świętowano czterechsetlecie założenia miasta i wszystkie ulice pełne były flag. Rocznica nie przypadała dokładnie na ten dzień, ale flagi wisiały wszędzie, bo ówcześni bogotanie lubili robić wszystko na spokojnie. Wiele lat później, wspominając ten

straszliwy dzień, Julio Laverde mówić będzie dużo o tych flagach. Będzie wspominał swojego ojca, z którym wyszedł z rodzinnego domu na Campo de Marte, w dzielnicy Santa Ana – w tych czasach wyglądała nie tyle jak dzielnica, ile raczej pola nieużytków, i była właściwie na uboczu. Ale kapitan Laverde w żadnym razie nie zamierzał korzystać z autobusu czy innego pojazdu; chodzenie było czynnością szlachetną i godną, a przemieszczanie się na kołach pasowało raczej do nuworyszy i plebejuszy. Jak wspomina Julio, kapitan Laverde całą drogę opowiadał o flagach, powtarzał, że prawdziwy bogotanin musi znać symbolikę swojej bandery, i co chwila dawał synowi dowody wysokiej kultury miejskiej. „Nie uczą was tego w szkole? – mówił. – Wstyd! Dokąd zajdzie to miasto z takimi obywatelami!”. I kazał mu recytować, że czerwony to symbol wolności, dobroczynności i zdrowia, a żółty – sprawiedliwości, męstwa i litości. A Julio odpowiadał bez zająknięcia: „Sprawiedliwość, litość i męstwo. Wolność, zdrowie, dobroczynność”.

Kapitan Laverde był bohaterem wojennym odznaczonym na wojnie z Peru. Latał razem z Gomezem Niño i Herbertem Boyem oraz innymi legendami lotnictwa i wykazał się wyjątkową odwagą podczas operacji w Tarapacá i zdobycia Güepí. Gómez, Boy i Laverde – to były trzy nazwiska, jakie wymieniano zawsze, kiedy mówiono o roli Kolumbijskich Sił Powietrznych w tym zwycięstwie. Trzej powietrzni muszkietierowie: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Choć nie zawsze byli to ci sami trzej muszkietierowie. Czasami wymieniano Boya, Laverdego i Andresa Diaza, czasami Laverdego, Gila i Von Oertzena. To zależy od tego, kto układa historię. Ale kapitan Laverde zawsze się tam pojawia.

Tak więc tego niedzielnego poranka na Campo de Marte zaplanowano przegląd lotnictwa wojskowego, żeby uczcić rocznicę fundacji Bogoty. Obchody były wystawne, jakby je organizował sam cesarz rzymski. Kapitan Laverde umówił się na miejscu z trzema weteranami, przyjaciółmi, których nie widział od czasu zawieszenia broni, bo żaden z nich nie mieszkał w stolicy, ale miał też inne powody, dla których stawiał się na pokazie. Z jednej strony został zaproszony na trybunę honorową przez prezydenta Lopeza Pumarejo osobiście. Czy też niemalże: generał Alfredo De León, bardzo bliski prezydentowi, powiedział, że prezydent bardzo się ucieszy z tak zaszczytnego towarzystwa. „Proszę sobie wyobrazić – mówił mu – ktoś taki jak pan, człowiek, który bronił naszych barw przed agresorem, człowiek, któremu zawdzięczamy wolność naszej ojczyzny i nienaruszalność naszych granic”. Zaszczytne zaproszenie ze strony prezydenta było zatem kolejnym powodem. Był jednak jeszcze jeden, mniej zaszczytny, ale wymowniejszy. Wśród pilotów, którzy mieli latać, był kapitan Abadía.

César Abadía nie skończył jeszcze trzydziestki, ale kapitan Laverde już wieszczęł temu młodzieniaszkowi z prowincji, szczupłemu i uśmiechniętemu, i mogącemu się pochwalić, mimo tak młodego wieku, liczbą dwóch tysięcy pięciuset wylatanych godzin, przyszłość najlepszego pilota lekkich maszyn w historii Kolumbii. Laverde widział, jak latał podczas wojny z Peru, kiedy sam nie był jeszcze kapitanem, tylko porucznikiem, młokosem z Tunjy, i dawał lekcje odwagi i opanowania nawet najlepszym niemieckim pilotom. Laverde podziwiał Abadię z perspektywy swojego doświadczenia i z sympatią, z sympatią, bo także czuł się podziwiany, i doświadczeniem, które pozwala zrozumieć, że ma się to, czego ten drugi jeszcze nie ma. Ale Laverdemu zależało nie tyle na oglądaniu sławnych powietrznych wyczynów kapitana Abadii, ile na tym, żeby zobaczyć je jego syn. Dlatego zaprowadził Julia na Campo de Marte. Dlatego kazał mu przemierzyć całą Bogotę pieszo i między tymi wszystkimi flagami. Dlatego tłumaczył mu, że będą oglądać trzy rodzaje samolotów, junkersy, falcony oddziału zwiadowczego i myśliwskie hawki. Kapitan Abadía miał polecieć hawkiem 812, jedną z najzwinniejszych i najszybszych maszyn, jakie kiedykolwiek wynalazł człowiek do ciężkich i okrutnych powietrznych walk. *Hawk* znaczy po angielsku «sokół» – wyjaśnił kapitan młodemu Juliowi, czochrając jego krótkie

włosy. – Wiesz, co to jest sokół, prawda?”.

Julio odpowiedział, że tak, że wie, że bardzo dziękuje za wyjaśnienia. Mówił jednak bez entuzjazmu. Szedł, wpatrując się w chodnik, a może przyglądając się butom tłoczących się ludzi, tych pięćdziesięciu tysięcy osób, na które się natknęli, tłumy, z którym się mieszały na placu. Ocierające się o siebie płaszcze, drewniane laski i zamknięte parasole zderzające się ze sobą i płaczące pod nogami, wełniane *ruanas* pozostawiające za sobą smugę woni świeżej wełny, wojskowe mundury z epoletami i torsy obwieszane medalami, policjanci na służbie przechadzający się nieśpiesznie między ludźmi albo obserwujący tłum z wysokości końskiego grzbietu, dosiadali wysokich i kiepsko odżywionych koni, które zostawiały za sobą na chybił trafił śmierdzące ekskrementy... Julio nigdy nie widział tylu ludzi naraz. W Bogocie w jednym miejscu i w jednym celu nigdy nie zebrało się naraz tyle osób.

I być może to przez ten ludzki gwar, pełne entuzjazmu pozdrowienia, rozmowy i krzyki, a może pomieszane wonie wydobywające się z ludzkich oddechów i ubrań, w każdym razie Julio nagle poczuł się jak na karuzeli kręcącej się ze zbytnią prędkością, poczuł, że kolory mają w sobie jakąś gorycz, a na języku ma trawiasty posmak. „Niedobrze się czuję”, powiedział do kapitana Laverdego.

Ale Laverde nie zwrócił na niego uwagi. A ściślej, owszem, zwrócił uwagę, ale wcale nie przejął się jego samopoczuciem, tylko go przedstawił podchodzącemu mężczyźnie. Był wysoki, miał wąsy jak Rudolf Valentino i wojskowy mundur.

„Generale De León, przedstawiam panu mojego syna”, powiedział kapitan. I potem odezwał się do Julia: „Generał jest głównodowodzącym sił bezpieczeństwa”.

„Generał głównodowodzący”, powtórzył generał. „Mam nadzieję, że zmienią nazwę tego stanowiska. Panie kapitanie Laverde, przysłała mnie prezydent, żebym pana zaprowadził na miejsce, bo w tym ścisiku łatwo się pogubić”.

To właśnie był Laverde: kapitan, po którego wychodzili generałowie na polecenie prezydenta. I tak oto kapitan z synem ruszyli w stronę trybuny prezydenckiej kilka kroków za generałem De Leonem, starając się go nie zgubić, nie stracić go z oczu, a jednocześnie zwracać uwagę na niesamowity spektakl pokazów. Poprzedniej nocy padało i tu i ówdzie pozostały kałuże, a jeśli nie kałuże, to plamy błota, w które zapadały się obcasy kobiet. Przydarzyło się to jednej panience w różowym szaliku: zgubiła bucik kremowego koloru i Julio się pochylił, żeby go wyciągnąć, podczas gdy ona, skacząc uśmiechnięta na jednej nodze, stała jak flaming. Julio ją rozpoznał. Był pewien, że widział ją na stronach gazet poświęconych życiu towarzyskiemu: była cudzoziemką, jak sądził, córką jakichś kupców czy przemysłowców. Tak, właśnie tak, córka europejskich przedsiębiorców. Ale kim oni byli? Importerzy maszyn do szycia, piwowarzy? Próbował odszukać nazwisko w pamięci, ale nie zdążył, bo kapitan Laverde już go łąpał pod ramię i ciągnął po skrzypiących drewnianych stopniach prowadzących do prezydenckiej trybuny, i obracając się przez ramię, Julio zdołał tylko zobaczyć, jak różowy szalik i kremowe buciki wspinają się po innych schodkach, tych od trybuny dyplomatycznej. Były to dwie identyczne konstrukcje rozdzielone szerokim niczym aleja pasem ziemi, jak dwie dwupiętrowe chaty zbudowane na grubych palach, jedna obok drugiej, ale obie skierowane w stronę pustego terenu, na którym będą się prezentowały samoloty. Identyczne, owszem, nie licząc jednego szczegółu: pośrodku trybuny prezydenckiej sterczał osiemnastometrowy maszt, na którym powiewała kolumbijska flaga. Wiele lat później, opowiadając o wydarzeniach tamtego dnia, Julio powiedział, że tamta flaga, umiejscowiona dokładnie w tamtym miejscu, od pierwszej chwili budziła jego nieufność. Ale takie rzeczy łatwo się mówi już po fakcie.

Panowała atmosfera wielkiego święta. Powiewy wiatru przynosiły woń smażeniny, ludzie trzymali w rękach napoje, które dopijali przed wejściem na trybuny. Na każdym stopniu pod

trybunami tłoczyli się ci, dla których zabrakło miejsca w łóżach, podobnie było na pasie ziemi między konstrukcjami. Julio czuł się niedobrze i powiedział to, ale kapitan Laverde nie słyszał: przejście między gośćmi nie było łatwe, trzeba było witać się ze znajomymi i jednocześnie wymijać niepożądanych, bardzo uważać, żeby nikogo nie urazić, a jednocześnie nie zaszczyścić salutem kogoś, komu się on nie należy. Przedzierając się między ludźmi, ani na chwilę się od siebie nie odłączając, kapitan i jego syn dopchali się do barierki. Stamtąd Julio wypatrzył dwóch mężczyzn z przerzedzonymi włosami, którzy rozmawiali z zaferowanymi minami kilka metrów od masztu, i tych to od razu rozpoznał: był to prezydent López, ubrany na jasno i z ciemnym krawatem oraz okrągłymi okularami, i prezydent elekt Santos, ubrany na ciemno i z jasną kamizelką oraz także okrągłymi okularami. Człowiek, który ustępował, i człowiek, który wstępował; los kraju mieszczący się na dwóch metrach kwadratowych drewnianej konstrukcji. Niewielki tłumek najbliższych – rodziny Lozano, Turbay i Pastrana – oddzielał łóżę prezydencką od tylnej części trybuny, powiedzmy na górnym poziomie, gdzie znajdowali się obaj panowie Laverde. Z odległości, ponad tym tłumkiem, kapitan pozdrowił gestem Lopeza, a López odwzajemnił ten gest z uśmiechem, ale nie odsłaniając zębów, potem na migi porozumieli się, że później pogadają, bo teraz zaczyna się już pokaz. Santos odwrócił się, żeby zobaczyć, do kogo macha López; rozpoznał Laverdego, skłonił lekko głowę, i w tej chwili pojawiły się na niebie trzysilnikowe junkersy, które przyciągnęły natychmiast wszystkie spojrzenia.

Julio przyglądał się temu z uwagą. Nigdy nie widział tak skomplikowanych manewrów z tak niewielkiej odległości. Junkersy były ciężkie, a ich zdobione kadłuby upodabniały je do prehistorycznych ryb, tyle że poruszających się z większą godnością. Za każdym razem, kiedy przelatywały, fale powietrza docierały do trybun, burząc fryzury damom, które nie założyły kapeluszy. Zachmurzone niebo nad Bogotą, brudne prześcieradło najwyraźniej spowijające miasto od samego jego założenia, okazało się idealnym ekranem dla pokazów. Na tle chmur przelatywały trzy trójsilnikowce, potem sześć falconów, zupełnie jakby w poprzek sceny wielkiego teatru. Maszyny trzymały idealnie symetryczny szyk. Julio zapomniał na chwilę o gorzkawym posmaku w ustach i minęły mu mdłości, a cała jego uwaga skupiła się na wschodnich wzgórzach za miastem, których mglisty zarys rozciągał się w oddali, był długi i ciemny jak śpiący jaszczur. Nad wzgórzami padało; deszcz, pomyślał, zaraz tu dotrze. Falcony znów przeleciały i znów dał się odczuć powiew powietrza. Ryk motorów nie był w stanie zagłuszyć krzyków podnieconych tłumów na trybunach. Prześwitujący dysk wirujących śmigieł emitował krótkie błyski, kiedy samolot zataczał koło. Wtedy pojawiły się myśliwce. Pojawiły się znikąd, w mgnieniu oka ustawiły się w szyk migrujących jaskółek i nagle trudno było uwierzyć, że to nie są żywe istoty, że ktoś nimi steruje. „To Abadía”, powiedział kobiecy głos. Julio obrócił się, żeby zobaczyć, kto to, ale wtedy te same słowa padły z innej części trybuny: nazwisko pilota gwiazdora kręciło się między ludźmi jak zła plotka. Prezydent López podniósł wojowniczo ramię i wskazał na niebo.

„Teraz – odezwał się kapitan Laverde. – Teraz dopiero się zacznie”.

Obok Julia siedziała para, na oko około pięćdziesiątki, mężczyzna w muszce w kropki i jego żona, której mysia twarz zachowała ślady niegdysiejszej urody. Julio usłyszał, jak mężczyzna powiedział, że pójdzie przestawić samochód. Usłyszał też jego żonę: „Ale co ty opowiadasz, siedź tu, bo stracisz najlepsze”. W tej chwili eskadra przeleciała na niewielkiej wysokości przed trybuną i skierowała się na południe. Wybuchł aplauz, Julio też klaskał. Kapitan Laverde zapomniał o nim, spojrzenie utkwione miał w niebie, studiował niebezpieczne esy-floresy rysowane nad ich głowami, i wtedy Julio zrozumiał, że jego ojciec też nie widział w życiu niczego takiego. „Nie wiedziałem, że coś takiego można zrobić z samolotem”, miał powiedzieć Laverde znacznie później, kiedy wracano do tego epizodu podczas towarzyskich

spotkań czy rodzinnych kolacji. „To wyglądało tak, jakby Abadía zawiesił prawa grawitacji”. Nawracając z południa, myśliwski hawk kapitana Abadía oddalił się od reszty, a może to pozostałe hawki się oddaliły, odlatując na boki. Julio nie wiedział, w którym momencie Abadía został sam ani gdzie przepadła pozostała ósemka, bo zniknęła nagle, jakby wszystkich pochłonięła jakaś chmura. Wtedy samotny samolot przeleciał po raz pierwszy przed trybuną, robiąc beczkę, co wywołało burzę braw i krzyków. Głowy wodziły za maszyną w ślad za jej zawijasami, zawrotami, powrotami, tym razem leciała jeszcze niżej i jeszcze szybciej, znów robiąc beczkę na tle gór, potem znów przepadając na północnym niebie, potem znów się pojawiła, jakby wynurzała się znikąd, i skierowała w stronę trybun.

„Co on robi?”, zapytał ktoś.

Hawk Abadía leciał prosto na widzów.

„Ale co robi ten szalenciec?”, zawołał ktoś inny.

Tym razem głos dobiegł z dołu, od któregoś z towarzyszy prezydenta Lopeza. Nie wiedząc dlaczego, Julio spojrział w tej chwili na prezydenta i zobaczył, że oburącz wczepił się on w drewnianą barierkę, jakby nie znajdował się na solidnej konstrukcji naziemnej, tylko na pełnomorskim okręcie. Znów poczuł kwaśny smak w ustach, mdłości, a do tego gwałtowny ból na czole i za oczami. I to wtedy kapitan Laverde powiedział, po cichu i do samego siebie, do nikogo się nie zwracając, z mieszaniną podziwu i zazdrości, jak ktoś, kto obserwuje kogoś innego rozwiązującego zagadkę:

„Psiakrew. Chce zerwać flagę”. To, co zdarzyło się potem, dla Julia działało się jakby poza czasem, jakby to było złudzenie wywołane migreną. Myśliwiec kapitana Abadía podleciał do prezydenckiej trybuny z prędkością czterystu kilometrów na godzinę, ale zdawał się zawieszony bez ruchu w tym samym miejscu w powietrzu; niewiele metrów wcześniej zrobił beczkę, potem drugą – podbijając stawkę, jak to nazywał kapitan Laverde – a wszystko to w śmiertelnej ciszy. Julio miał już na zawsze pamiętać, że zdążył się rozejrzeć wokoło, widział twarze sparaliżowane strachem i zdziwieniem i usta otwarte jakby w krzyku. Ale nikt nie krzyczał, wszyscy zamilkli. W jednej chwili Julio zrozumiał, że jego ojciec miał rację: kapitan Abadía zamierzał skończyć drugą beczkę tak blisko łopoczącej flagi, żeby móc ją złapać ręką, niemożliwy piruet dedykowany prezydentowi Lopezowi, tak jak torreador dedykuje komuś walkę z bykiem. Wszystko to pojął i starczyło mu jeszcze czasu, żeby zastanowić się, czy inni też to pojęli. I wtedy poczuł na oczach cień samolotu, rzecz niemożliwa, bo nie było słońca, i poczuł też powiew czegoś woniejącego spalenizną, a potem zobaczył, jak myśliwiec kapitana Abadía podskakuje jakoś dziwnie w powietrzu, składa się na pół, jakby był z kauczuku, i spada, rozwalając po drodze drewniany dach trybuny dyplomatycznej, zgarniając po drodze schody trybuny prezydenckiej i eksplodując w chwili zderzenia z ziemią.

Wszystko wybuchło. Wybuchł wrzask, krzyki, słychać było tupot stóp na drewnianej podłodze, hałas, który czynili uciekający ludzie. W miejscu upadku samolotu wzbija się czarna chmura, nie przypominała dymu, tylko gęsty popiół, i utrzymywała się w powietrzu dłużej, niż powinna. Od wraku maszyny poleciała fala brutalnego gorąca, które w ciągu kilku sekund zabiło tych, co stali najbliżej, a pozostali mieli wrażenie, że popieleją żywcem. Tym, którzy mieli najwięcej szczęścia, wydawało się, że zaraz się poduszają, ponieważ żar w ciągu tej nazbyt długiej chwili wchłonął z powietrza cały tlen. To było tak, jakby człowiek znalazł się w piecu, powiedział potem ktoś z ocalałych. Schody odpadły od trybuny, obsunęła się także część konstrukcji i puściły barierki, a dwaj Laverde runęli na ziemię – i to wtedy, jak powie Julio znacznie później, zaczęło boleć.

„Tato!”, zawołał i zobaczył, że kapitan Laverde podnosi się, żeby pomóc kobiecie, która zakleszczyła się między deskami, ale było ewidentne, że kobiecie żadna pomoc nie jest już

potrzebna. „Tato, coś mi jest!”.

Julio usłyszał męski głos wołający kobietę. „Elvia!, krzyczał, Elvia!”. I natychmiast zobaczył mężczyznę w kropkowanej muszce, który poszedł przestawić auto, a teraz kroczył między leżącymi ciałami, czasami na nie nadeptując, czasami się o nie potykając. Wszędzie unosiła się woń spalenizny, którą Julio w końcu rozpoznał: woń pieczonego mięsa. Wtedy kapitan Laverde odwrócił się i Julio zobaczył na jego twarzy rozmiary dramatu, jaki się właśnie rozegrał. Kapitan Laverde wziął go za rękę i zaczęli się oddalać od miejsca katastrofy, starając się wymyślić sposób, żeby jak najszybciej dotrzeć do szpitala. Julio zaczął płakać, bardziej ze strachu niż z bólu, kiedy mijał trybunę dyplomatyczną i zobaczył dwa ciała, a na jednym z nich rozpoznał kremowe buciki. Potem stracił przytomność. Ocknął się wiele godzin później, obolały i otoczony pełnymi niepokoju twarzami, na łóżku w szpitalu San José.

Nikt ostatecznie nie wyjaśnił, co się właściwie stało, czy to samolot pękł w powietrzu, czy doszło do zderzenia z ziemią. W każdym razie Julio został ochlapany gorącym olejem silnikowym, dostał prosto w twarz, olej spalił mu skórę i ciało; i tak chłopak miał szczęście, że nie zginął, tak jak tylu innych. Pięćdziesiąt siedem osób poniosło śmierć w tym wypadku, a pierwszą z nich był kapitan Abadía. Tłumaczono, że w wyniku jego manewru wytworzyła się w powietrzu jakby dziura, że samolot po podwójnej beczie wpadł w próżnię, że wszystko to doprowadziło do utraty wysokości i kontroli nad maszyną, więc upadek był nieuchronny. W szpitalach ranni przyjmowali te nowiny z obojętnością bądź zdziwieniem i dowiadywali się, że państwo zajmie się pochówkiem zmarłych, że najuboższe rodziny otrzymają od miasta wsparcie i że prezydent odwiedził wszystkich rannych jeszcze pierwszego dnia. W każdym razie młodego Julia Laverdego odwiedził. On jednak był wtedy nieprzytomny i nie zdawał sobie z niczego sprawy. Z detalami opowiedzieli mu o wszystkim rodzice.

Następnego dnia została przy nim matka, podczas gdy ojciec uczestniczył w pogrzebie Abadíi, kapitana Jorgego Pardo i dwóch kawalerzystów z koszar w Santa Ana, wszystkich pochowano na Cmentarzu Głównym po uroczystym przemarszu konduktu, w którym uczestniczyli różni przedstawiciele rządu i najwyższych szarż lądowych oraz powietrznych sił wojskowych. Julio, leżąc na zdrowej stronie twarzy, przyjmował zastrzyki morfiny. Widział świat jak ze środka akwarium. Dotykał wysterylizowanego bandaża i konał z chęci, żeby się podrapać, ale nie mógł. W chwilach największego natężenia bólu nienawidził kapitana Laverde, a potem odmawiał *Ojciec nasz* i przeproszał za złe myśli. Prosił także, żeby mu się rana nie zakaziła, bo mu powiedzieli, że tak może się zdarzyć. A potem pokazywała mu się ta młoda cudzoziemka i wtedy wdawał się z nią w pogawędkę. On miał spaloną twarz. Ona czasami też, a czasami nie, ale zawsze owinięta była różowym szalem i nosiła kremowe buciki. W tych majakach dziewczyna od czasu do czasu odzywała się do niego. Pytała, jak się ma. Pytała, czy czuje ból. I czasami pytała: „Lubisz samoloty?”.

Zapadała noc. Maya Fritts zapaliła świecę zapachową, żeby odstraszyć komary.

– O tej porze wylatują chmurami – powiedziała.

Podawała mi odstraszcacz w sztyfcie i poleciła, żebym sobie przejechał po całym ciele, ale przede wszystkim po kostkach; kiedy próbowałem przeczytać tekst na etykietce, zdałem sobie sprawę, jak szybko zapada zmrok. Zorientowałem się też, że nie ma już żadnych szans na to, bym wrócił dziś do Bogoty, i że Maya Fritts także to wie, jakbyśmy oboje byli już umówieni na to, że spędzę tu u niej noc, jak gość honorowy; dwoje obcych ludzi pod jednym dachem, choć wcale nie są sobie tak obcy: łączy ich pewien nieboszczyk. Spojrzałem na niebo, granatowe tak jak nieba u Magritte’a, i zanim całkiem się ściemniło, dostrzegłem pierwsze nietoperze, ich czarne sylwetki odcinające się od tła nieba. Maya wstała, ustawiła między hamakami drewniane krzesło i postawiła na nim zapaloną świeczkę, małą przenośną lodóweczkę napakowaną

rozdrobnionym lodem, butelkę rumu i drugą coca-coli. Wróciła do swojego hamaka (zręczny ruch jednoczesnego rozpostarcia i wejścia do środka). Bolała mnie noga. W kilka minut wybuchł harmider świerszczy i cykad, ale wkrótce wszystko ucichło i zostało tylko paru samotnych wirtuozów, którym co jakiś czas przerywał rechot pojedynczej żaby. Nietoperze trzepotały trzy metry nad naszymi głowami, wlatując do swoich kryjówek pod drewnianym dachem, a żółte światło kiwało się w takt powiewów łagodnej bryzy, powietrze było letnie, a rum wchodził doskonale.

– Ktoś nie będzie dziś spał w Bogocie – powiedziała Maya Fritts. – Jak pan chce zadzwonić, telefon jest w moim pokoju.

Pomyślałem o Leticii, o jej twarzyczce, kiedy śpi. Pomyślałem o Aurze. Pomyślałem o wibratorze barwy dojrzałych jeżyn.

– Nie, nie muszę do nikogo dzwonić.

– Jeden kłopot mniej – stwierdziła.

– Tylko że nie mam ubrania na zmianę – powiedziałem.

– No – odparła – to się da załatwić.

Popatrzyłem na nią, na jej nagie ramiona, piersi, kwadratowy podbródek, małe uszy o prostych płatkach, na których za każdym razem, kiedy poruszała głowę, błyskała jasna iskierka. Maya pociągnęła łyk, postawiła sobie szklankę na brzuchu, a ja powtórzyłem jej gest.

– Widzi pan, Antonio, sprawa wygląda tak – odezwała się wtedy. – Chcę, żeby mi pan opowiedział o moim ojcu, o tym, jak wyglądał koniec jego życia, jak wyglądał dzień jego śmierci. Nikt nie widział tego, co pan. Jeśli to wszystko jest jak układanka, to pan ma element, którego nie ma nikt inny, nie wiem, czy się wyrażam jasno. Pomoże mi pan?

Nie od razu odpowiedziałem.

– Pomoże mi pan? – upierała się Maya, ale ja wciąż nie odpowiadałem.

Oparła się na łokciu; każdy, kto kiedyś leżał w hamaku, wie, jak trudno jest oprzeć się w nim na łokciu, człowiek szybko traci równowagę i się męczy. Zapadłem się w hamaku, wokół mnie owinęło się płótno woniące wilgocią i czymś potem, pachnące historią mężczyzn i kobiet kładących się po kąpieli w basenie albo po pracy na posesji. Maya Fritts zniknęła mi z pola widzenia.

– A jeśli ja pani opowiem to, co wiem – odezwałem się – pani zrobi to samo?

Nagle pomyślałem o moim dziewczęcym zeszytku, o tym samotnym i zagubionym znaku zapytania, i w mojej głowie pojawiły się słowa: „Chcę wiedzieć”. Maya nie odpowiedziała, ale w półmroku widziałem, jak mości się w hamaku, tak jak ja przed chwilą, i więcej nie potrzebowałem. Zacząłem mówić, opowiedziałem Mai wszystko to, co wiem i co zdawało mi się, że wiem o Ricardzie Laverdem, wszystko, co pamiętałem i czego obawiałem się zapomnieć, wszystko to, co Laverde mi opowiedział, i także to, o czym dowiedziałem się po jego śmierci, i tak siedzieliśmy do pierwszych godzin świtu, każde owinięte w swój hamak, każde wpatrzone w sufit, pod którym kręciły się nietoperze, wypełnialiśmy słowami ciszę ciepłej nocy, ale ani razu na siebie nie spojrzeliśmy, jak ksiądz i grzesznik podczas sakramentu spowiedzi.

IV. Wszyscy jesteśmy uciekinierami

Świtało już, kiedy zmęczony, w pół pijany i prawie bez głosu od tego ciągłego gadania, dałem się zaprowadzić Mai Fritts do pokoju gościnnego albo tego, co ona w tym momencie nazwała pokojem gościnnym. Łóżka tam nie było, tylko dwie proste prycze, z wyglądu raczej niezbyt solidne (ta moja wydała z siebie jakieś skrzypnięcie, kiedy jak nieżywy rzuciłem się na materac, na nieskazitelnie białe prześcieradło). Nad moją głową z furją trzepotał wentylator i chyba przez chwilę miałem pijacką paranoję, bo wybrałem pryczę, która nie stała pod wentylatorem, żeby urządzenie przypadkiem się nie oderwało i nie spadło mi na głowę w środku nocy. Ale wcześniej pamiętam, choć zamroczony snem, pewne instrukcje. Nie zostawiać otwartych okien bez moskitiery, nie stawiać byle gdzie puszek po coli (zaraz się mrówki zleżą), nie wrzucać papieru toaletowego do ubikacji. „To bardzo ważne, ludzie z miasta zawsze o tym zapominają”, powiedziała, albo tak mi się wydaje, tymi albo innymi słowy. „Korzystanie z łazienki to jedna z najbardziej automatycznych czynności, jakie istnieją, nikt nie myśli, jak tam siedzi. I nawet nie chcę mówić o tym, jakie są potem problemy z kanalizacją”. Instruktaż dotyczący moich czynności fizjologicznych wygłaszany przez nieznaną wcale mnie nie zakłopotał. W Mai Fritts była taka naturalność, jakiej nigdy nie widziałem, oczywiście zupełnie odmienna od purytanizmu bogotan, zdolnych udawać, że nigdy w życiu nie zrobili kupy. Chyba przytaknąłem, nie wiem, czy coś odpowiedziałem. Noga bolała mnie bardziej niż zwykle, bolało mnie też biodro. Przypisałem to wilgoci i zmęczeniu wieloma godzinami podróży nieprzewidywalną i niebezpieczną drogą.

Ocknąłem się zdezorientowany. Obudził mnie skwar południa; zalewał mnie pot, a prześcieradło przemokło, zupełnie jak w szpitalu San José, kiedy pocilem się w czasie halucynacji; podniosłem więc głowę i zobaczyłem, że wentylator się nie kręci. Agresywne światło dnia przenikało przez drewniane żaluzje i tworzyło jasne plamy na podłodze z płytek. Obok zamkniętych drzwi, na wiklinowym krześle, leżała kupka ubrań: dwa podkoszulki w kwadratowe wzorki, zielony ręcznik. W domu panowała spokojna cisza. Z oddali dobiegały głosy pracujących ludzi, także hałas ich narzędzi; nie wiedziałem, kim są ani co robią o tej porze i w tym skwarze, a kiedy właśnie się nad tym zastanawiałem, odgłosy ustały i pomyślałem, że pewnie udali się na odpoczynek. Rozsunąłem żaluzje, otwarłem okno i wystawiłem głowę, prawie dotykając nosem moskitiery, ale nikogo nie wypatrzyłem. Widziałem tylko błyszczący prostokąt basenu, kamieniste pustkowie, drzewa, takie jak te widziane przy szosie, specjalnie posadzone, żeby dawać cień nieszczęsnym istotom żyjącym pod tym bezlitosnym słońcem. Pod jednym z drzew siedział owczarek niemiecki, którego spotkałem po drodze. Dalej otwierała się równina, a za nią płynęła gdzieś rzeka Magdalena, której huk mogłem z łatwością sobie wyobrazić albo przywołać, bo słyszałem ją w dzieciństwie, acz w innej części jej biegu, bardzo daleko od Las Acacias. Mai Fritts tam nie było, więc wziąłem zimny prysznic (musałem zatłuc sporych rozmiarów pająka stawiającego przez dłuższy czas opór w jednym z kątów) i włożyłem koszulkę, która okazała się dla mnie dość luźna. Była to męska koszulka; pozwoliłem sobie na fantazję, że należała do Ricarda Laverdego, wyobraziłem go sobie w niej; nie wiem dlaczego, ale w tej mojej wizji był do mnie podobny. Kiedy tylko wyszedłem na korytarz, podeszła do mnie młoda kobieta w czerwonych bermudach z żółtymi kieszeniami i w koszulce bez rękawów, na której motyl i słonecznik dają sobie całusa. Trzymała tackę, a na niej stała szklanka z sokiem pomarańczowym. W salonie wentylatory też nie chodziły.

– Panienska Maya zostawiła dla pana rzeczy na tarasie – powiedziała. – Mają się państwo spotkać na lunchu. – Uśmiechnęła się, odczekała, aż wezmę szklankę z tacki.

- Można włączyć wentylatory?
- Nie, prądu nie ma – odpowiedziała kobieta. – Życzy pan sobie kawkę?
- Najpierw telefon. Zadzwoń bym do Bogoty, jeśli to nie problem.
- Telefon jest tam – powiedziała. – To już się pan z panienką dogada.

Był to jeden z tych starych jednoczęściowych aparatów, jakie pamiętałem z dzieciństwa, z końca lat siedemdziesiątych, coś jakby mały brzuchaty ptak o długiej szyi, mający na dole tarczę i czerwony przycisk. Żeby zacząć rozmowę, wystarczyło podnieść słuchawkę. Wykręciłem numer do mojego mieszkania i ze zdumieniem odkryłem w sobie to samo dziecięce zniecierpliwienie, żeby tarcza dokręciła się do końca, bym mógł wybrać następną cyfrę. Aura odebrała, zanim usłyszałem drugi sygnał.

- Gdzie jesteś? – zapytała. – Wszystko w porządku?
- Pewnie. Dlaczego coś miało być nie tak?
- Jej głos się zmienił, stał się zimny, spięty i ciężki.
- Gdzie jesteś?
- W La Doradzie. Z wizytą.
- U tej kobiety, która zostawiła wiadomość?
- Co?
- No... wiadomość na sekretarce.

Nie zaskoczyła mnie jej przenikliwość (od początku naszego związku często ją okazywała). Wyjaśniłem jej sytuację bez wchodzenia w szczegóły: córka Ricarda Laverdego, dokumenty, jakie posiada, i obrazy, jakie trzymam w pamięci, szansa, żebym tyle rzeczy zrozumiał. Chcę wiedzieć, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno. Podczas rozmowy usłyszałem serię krótkich dźwięków, może gardłowych, a potem nagły płacz Aury.

– Ty bydlaku – powiedziała. Nie wypowiedziała tego szybko i gwałtownie, co byłoby łatwiejsze i efektywniejsze, tylko powoli i wyraźnie, nie gubiąc ani jednej głoski. – Nie zmrużyłam oka, Antonio. Nie zabrałam się do obchodzenia szpitali tylko dlatego, że nie mam z kim zostawić małej. Nie rozumiem, niczego nie rozumiem – mówiła Aura, szlochając, a jej płacz wydał mi się gwałtowny, nigdy nie słyszałem czegoś takiego: to przez napięcie, bez wątpienia, przez napięcie skumulowane przez całą noc. – Co to za kobieta? – zapytała.

- To nikt – odpowiedziałem. – W każdym razie to nie to, co sobie wyobrażasz.
- Nie wiesz, co sobie wyobrażam. Kto to jest?
- To córka Ricarda Laverdego – powiedziałem. – Tego, który...

Westchnienie.

- Wiem, kim był – stwierdziła Aura. – Nie traktuj mnie jak idiotki, proszę.
- Chce, żebym jej opowiedział, ja też chcę, żeby ona opowiedziała mnie. I tyle.
- Tyle.
- Tak. Tyle.
- A ładna jest? W sensie, atrakcyjna?
- Auro, proszę cię.

– Ale ja nie rozumiem – powtórzyła Aura. – Nie wiem, dlaczego wczoraj nie zadzwoniłeś, co by cię to kosztowało. Nie miałeś wczoraj telefonu pod ręką? Nie spędziłeś tam nocy?

- Tak – odpowiedziałem.
- Co tak? Tak, miałeś telefon, czy tak, spędziłeś tam noc?
- Tak, nocowałem tu. Tak, mogłem skorzystać z telefonu.
- I co?
- I nic.

- Co robiłeś? Co robiliście?
- Gadaliśmy. Całą noc. Zbudziłem się późno, dlatego teraz dzwonię.
- A, dlatego.
- No tak.

– Jasne – stwierdziła Aura. – Jesteś bydlakiem, Antonio.

– Ale tu mogę zdobyć informacje – powiedziałem – mogę czegoś się dowiedzieć.

– Jesteś bydlakiem bez serca. Czegoś takiego nie robi się bliskim. Przez całą noc nie spałam, umierałam ze strachu, wyobrażałam sobie najgorsze rzeczy. Co za gnojek! Najgorsze rzeczy. Przez cały piątek siedzę tu zamknięta z Leticją, czekając na jakieś wiadomości, nie wychodząc w ogóle, żebyś przypadkiem nie zadzwonił, akurat jak mnie nie będzie. I całą noc nie spałam, umierałam ze strachu. Nie pomyślałeś o tym? Nie obchodziło cię to? A gdyby było na odwrót? To wtedy tak, co? Wyobraź sobie, że znikam na cały dzień z małą, a ty nie wiesz, gdzie jesteśmy. Ty, który ciągle wszystkiego się boisz, ty, który ciągle mnie kontrolujesz, jakbym ci cały czas chciała przyprawiać rogi. Ty, który domagasz się, żebym zadzwoniła, zawsze jak gdzieś dojadę, żebyś wiedział, czy wszystko dobrze. Ty, który się domagasz, żebym dzwoniła, kiedy skądś wychodzę, żebyś wiedział, o której wyszłam. Dlaczego to robisz, Antonio? Co się dzieje, co chcesz osiągnąć?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Nie wiem, czego chcę.

W ciągu następnych sekund zdołałem usłyszeć i rozpoznać ruchy Leticii, ten jakby ślad dźwiękowy podobny do kociego dzwonka, który rodzice rozpoznają odruchowo: Leticia idzie albo biegnie po dywanie, Leticia przemawia do swoich zabawek albo pozwala im rozmawiać między sobą, Leticia przestawia przedmioty w mieszkaniu (bibeloty zakazane, popielniczki zakazane, miotła zakazana, a lubi ją wyciągać z kuchni, żeby sprzątnąć na dywanie: te wszystkie subtelne ruchy powietrza wywoływane przez jej małe ciało). Zażęknąłem za nią; zdałem sobie nagle sprawę, że nigdy dotąd nie spędziłem bez niej nocy i nie byłem tak daleko; poczułem, tak jak tyle razy już mi się zdarzało, niepokój związany z tym, że nie jest chroniona, i miałem przeczucie, że wypadki (które czyhają na nią w każdym pokoju, na każdej ulicy) są bardziej prawdopodobne, kiedy mnie przy niej nie ma.

– Z małą wszystko w porządku? – zapytałem.

Aura zwlekła przez moment z odpowiedzią.

– Tak, wszystko dobrze. Ładnie zjadła śniadanie.

– Daj mi ją.

– Co?

– Daj mi ją, proszę. Powiedz jej, że chcę porozmawiać.

Cisza.

– Antonio, to już ponad trzy lata. Dlaczego nie chcesz tego zamknąć? Skąd ta chęć tkwienia w tym wypadku? Nie wiem dlaczego, naprawdę, na co to komu. Co się z tobą dzieje?

– Chcę porozmawiać z Leticją. Daj jej słuchawkę. Zawołaj i daj ją do telefonu.

Aura westchnęła ze zmęczeniem czy rezygnacją, a może raczej ze szczerą irytacją, irytacją kogoś, kto czuje niemoc. To emocje, które ciężko rozróżnić przez telefon, trzeba widzieć twarz danej osoby, żeby prawidłowo je ocenić. W moim mieszkaniu na dziesiątym piętrze, w moim mieście wiszącym na dwóch tysiącach sześciuset metrach nad poziomem morza, moje dwie kobiety poruszały się i rozmawiały, a ja ich słuchałem i kochałem je, tak, kochałem je obie i nie chciałem zrobić im krzywdy. O tym myślałem, kiedy odezwała się Leticia.

– Halo? – powiedziała. Tego słowa dzieci uczą się same, nikt nie musi tego robić.

– Cześć, moja śliczna – odezwałem się.

– To tata.

Usłyszałem wtedy głos Aury w oddali:
– Tak. Ale słuchaj, słuchaj, co ci powie.
– Halo? – powtórzyła Leticia.
– Cześć! Wiesz, kto mówi?
– Tata – odpowiedziała, wymawiając drugie „t” dobitnie, zatrzymując się na tej głosce przez chwilę.
– Nie, jestem groźnym wilkiem.
– Groźnym wilkiem?
– Jestem Piotruś Pan.
– Piotruś Pan?
– No kto mówi, Leticio?
Zastanowiła się przez chwilę.
– Tata! – stwierdziła w końcu.
– Bardzo dobrze. – Usłyszałem jej krótki śmiech, śmiech jak trzepot skrzydeł kolibra. A potem dodałem: – Opiekujesz się mamą?
– Tak – powiedziała Leticia.
– Musisz dobrze się nią opiekować. Dobrze się opiekujesz?
– Tak. Daję mamę.
– Nie, poczekaj – próbowałem powiedzieć, ale już było za późno, już pozbyła się słuchawki i zostawiła mnie w rękach Aury, mój głos w rękach Aury i moja tęsknota zawieszona w powietrzu, tęsknota za tym, czego się jeszcze nie straciło.
– No, idź się pobaw.
Usłyszałem, jak Aura wypowiada te słowa swoim najśłodszym tonem, niemal szeptem, taka kołysanka na pięć sylab. Potem odezwała się do mnie i kontrast zabrzmiał brutalnie, w jej głosie był smutek, brzmiał tak blisko, było też rozczarowanie i ukryty wyrzut.
– Halo? – odezwała się Aura.
– No cześć – odpowiedziałem. – Dzięki.
– Za co?
– Że dałaś Leticie.
– Boi się korytarza – powiedziała Aura.
– Leticia?
– Mówi, że na korytarzu coś jest. Wczoraj nie chciała iść sama z kuchni do pokoju. Musiałam ją odprowadzić.
– Kwestia wieku – stwierdziłem. – Potem wszystkie te lęki miną.
– Chciała spać przy zapalonym świetle.
– Kwestia wieku.
– Tak – powiedziała Aura.
– Pediatra uprzedzał.
– Fakt.
– Taki okres, że są koszmary.
– Ja tak nie chcę – powiedziała Aura. – Nie chcę, żeby to tak wyglądało, Antonio. Tak się nie da. – Zanim zdążyłem zareagować, dodała: – To nikomu nie służy. Ani małej, ani nikomu. Czyli to tak wygląda.
– Rozumiem – powiedziałem. – Czyli wina jest moja.
– Nikt nie mówi o winie.
– To moja wina, że mała ma lęki związane z korytarzem.
– Nikt tak nie powiedział.

– Co za bzdura, błagam. Jakby lęki były dziedziczne.

– Dziedziczne nie – powiedziała Aura. – Zaraźliwe. – A potem zaraz: – Nie chciałam tego powiedzieć. – I potem: – Ty wiesz, o co mi chodzi.

Dłonie mi się pociły, głównie ta, w której trzymałem telefon, i ogarnął mnie absurdalny lęk; pomyślałem, że aparat może mi się wyslizgnąć z wilgotnej ręki i upaść na podłogę, a wtedy wbrew mojej woli przerwałaby się łączność. Wypadek, takie rzeczy się zdarzają. Aura mówi do mnie o naszej przeszłości, o planach, jakie snuliśmy nim kula, na której było wypisane nie moje imię, wtargnęła w nasze życie, a ja jej słuchałem z uwagą, przysięgam, ale w mojej głowie nie pojawiały się żadne spojrzenia. „Oczyma duszy”, jest takie wyrażenie. Oczyma duszy próbowałem zobaczyć Aurę przed śmiercią Ricarda Laverdego; i samego siebie, ale na próżno.

– Muszę kończyć – usłyszałem swój głos – korzystam grzecznościowo z telefonu. – Aura, to dobrze pamiętam, mówiła mi, że mnie kocha, że możemy wyjść z tego razem, że będziemy nad tym pracować. – Muszę kończyć – powtórzyłem.

– Kiedy wracasz?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Tu mogę znaleźć informacje, dowiedzieć się czegoś.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Antonio – odezwała się w końcu Aura. – Wrócisz?

– No ale co to jest za pytanie? – odpowiedziałem. – Oczywiście, że wrócę. Nie wiem, co ty sobie wyobrażasz, że gdzie ja niby jestem?

– Niczego sobie nie wyobrażam. Powiedz kiedy.

– Nie wiem. Jak tylko będę mógł.

– Kiedy, Antonio?

– Jak tylko dam radę. Ale nie płacz, nie ma o co.

– Nie płaczę.

– Nie ma o co. Jeszcze mała się przestraszy.

– Mała, mała – powiedziała Aura. – Wiesz co, chrzań się, Antonio.

– Auro, proszę.

– Chrzań się – powtórzyła. – Zobaczmy się, jak będziesz mógł.

Po zakończeniu rozmowy wyszedłem na taras. Tam, pod hamakiem jak zwierzę domowe, spoczywała wiklinowa skrzynka; w niej kryły się w różnych dokumentach biografie Eleny Fritts i Ricarda Laverdego, listy, które pisali do siebie albo do innych ludzi. Powietrze przestało się ruszać. Ułożyłem się w hamaku, którego poprzedniej nocy używała Maya Fritts, i z głową na poduszce w białej haftowanej poszewce wyjąłem pierwszą teczkę, położyłem ją sobie na brzuchu i wydobyłem z niej pierwszy list. Napisany był na zielonkawym, prawie przezroczystym papierze. *Dear grandpa & grandma* – głosił nagłówek. A potem pierwsza linijka, samotna i opuszczona, wisząca nad następnym akapitem niczym samobójca na gzymsie.

Nikt mnie nie uprzedził, że Bogota będzie taka.

Zapomniałem o wilgotnym skwarze, zapomniałem o soku pomarańczowym, zapomniałem o niewygodnej pozycji (i oczywiście nie przewidziałem, jakim bólem karku się to skończy). Leżąc w hamaku Mai, zapomniałem o sobie samym. Potem próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz przeżyłem coś takiego, takie absolutne wyalienowanie z rzeczywistego świata, takie całkowite zawładnięcie umysłu, i doszedłem do wniosku, że niczego porównywalnego nie przeżyłem od dzieciństwa. Ale te refleksje miały nadejść znacznie później, podczas godzin spędzonych na rozmowie z Mayą, żeby zapełnić dziury pozostawione przez listy, kiedy opowiadała mi wszystko, czego listy nie mówiły, a ledwie sugerowały, wszystko, czego nie ujawniały, tylko kryły albo przemilczały. To nastąpiło później, jak mówię, bo rozmowa mogła odbyć się dopiero wtedy, kiedy już przeszedłem przez papiery i zawarte w nich odkrycia. Tam, w

hamaku, gdy czytałem, czułem co innego, czasem było to niewytłumaczalne, a nade wszystko bardzo niejasne; czułem się niezręcznie, wiedząc, że historia, w której nie pojawia się moje nazwisko, dotyczy mnie w każdej linijce. To wszystko spłynęło na mnie, aż w końcu uczucia zaowocowały stanem straszliwej samotności, pozbawionej widocznej przyczyny, a przez to bez nadziei na zmianę. Samotności dziecka.

Historia, na ile udało mi się ją zrekonstruować i na ile ją pamiętam, zaczęła się w roku 1969 – osiem lat po tym, jak prezydent John Fitzgerald Kennedy podpisał rozporządzenie o utworzeniu Korpusu Pokoju – kiedy po pięciu tygodniach szkolenia na Florida State University Elaine Fritts, przyszła wolontariuszka numer 139372, lądowała w Bogocie zaopatrzona w zestaw obowiązkowych wyobrażeń: że czeka ją wzbogacające doświadczenie, że zostawi po sobie ślad, że dorzuci swoje ziarno piasku. Podróż nie zaczęła się zbyt pomyślnie, bo powiewy wiatru uderzające w jej samolot, stary DC-4 Avianki, zmusiły ją do zgaszenia papierosa i, czego nie robiła od piętnastego roku życia, przeżegnania się. (Ale był to szybki ruch, ledwie niestaranne dotknięcie nieumalowanej twarzy, piersi ozdobionej dwoma naszyjnikami z drewnianych paciorków. Nikt tego nie widział). Przed wylotem babcia opowiadała jej o samolocie pasażerskim z Miami, który rozbił się w zeszłym roku w Bogocie, więc kiedy jej samolot zaczynał podchodzić do lądowania nad zielonkawoszarymi górami, wynurzając się z niskich chmur, wstrząsany powiewami wichru i z oknami zalewanymi rzęsim deszczem, Elaine próbowała sobie przypomnieć, czy w tamtym samolocie przeżyli jacyś pasażerowie. Wczepiła się palcami we własne kolana – na spodniach został jej pomarszczony i przepocony ślad dłoni – i zamknęła oczy, kiedy samolot z metalicznym hukem dotknął ziemi. To, że przeżyła lądowanie, wydawało się jej cudem, pomyślała, że pierwszy list do dziadków napisze natychmiast, kiedy tylko znajdzie jakiś stolik w miejscu, gdzie ją zakwaterują. Doleciałam, wszystko dobrze, ludzie są mili. Czeka mnie mnóstwo pracy. Wszystko będzie wspaniale.

Matka Elaine zmarła przy porodzie, więc ona dorastała pod opieką dziadków, od czasu, kiedy jej ojciec podczas misji rozpoznawczej w pobliżu Old Baldy postawił stopę na minie przeciwpiechotnej i wrócił z Korei bez prawej nogi, amputowanej aż po biodro, kompletnie załamany. Nie minął rok od jego powrotu, kiedy wyszedł po papierosy i zniknął na zawsze. Nigdy nie było o nim żadnych wieści. Elaine, kiedy to się stało, była dziewczynką, tak więc nigdy tak naprawdę nie odczuła jego nieobecności, a dziadkowie zajęli się jej edukacją i zadbali o jej szczęście z takim oddaniem, z jakim wychowywali własne dzieci, a do tego ze znacznie większym doświadczeniem. Toteż w życiu Elaine najważniejszymi dorosłymi okazały się te dwie osoby z innej epoki, a ona sama miała poczucie odpowiedzialności zdecydowanie wyższe niż u reszty rówieśników. Podczas spotkań towarzyskich jej dziadek wygłaszał zdanie, które napawało Elaine dumą i smutkiem zarazem: „Taka powinna być moja córka”. Kiedy Elaine postanowiła przerwać studia dziennikarskie i wstąpić do Korpusu Pokoju, dziadek, który po zabójstwie Kennedy’ego przez dziewięć miesięcy chodził w żałobie, poparł ją pierwszy. „Pod jednym warunkiem”, powiedział. „Że tam nie zostaniesz, jak tyłu innych. Dobrze jest pomagać, ale twój kraj potrzebuje cię tutaj”. Ona się zgodziła.

Ludzie z ambasady, napisała Elaine Fritts w liście, zakwaterowali ją w piętrowym domu nieopodal Hipódromo, pół godziny na północ od Bogoty, na osiedlu z kiepsko wyasfaltowanymi drogami, które po deszczu zmieniały się w błotniste bagno. Świat, w którym miała spędzić następne dwanaście tygodni, był światem w budowie. Większość domów nie posiadała dachu, bo dach jest najdroższy i zawsze zostawiało się go na koniec, a na uliczny gwar składały się wielkie pomarańczowe betoniarki, hałasujące jak jakieś pszczoły z koszmaru, wywrotki wysypujące byle gdzie hałdy żwiru, robotnicy z bułką w jednej i butelką z napojem w drugiej ręce, pogwizdujący obscenicznie, kiedy ich mijała. Elaine Fritts – najjaśniejsze zielone oczy, jakie kiedykolwiek

widziano w okolicy, gładkie jak firanka jasne kasztanowe włosy sięgające pasa, sutki na zimnie bogotańskich poranków widoczne pod bluzką w kwiatki – przyglądała się kałużom, odbijającemu się w nich szaremu niebu, i podnosiła wzrok, dopiero gdy docierała do kawałka pustego gruntu, który oddzielał osiedle od północnej autostrady; szła tam głównie po to, żeby się upewnić, czy dwie pasące się krowy zachowują odpowiednią odległość od drogi. Potem wsiadała do żółtego busa o nieokreślonym rozkładzie jazdy i czysto uznaniowych przystankach i od razu zaczynała się przepychać łokciami przez gęsty tłum pasażerów. *Zadanie jest bardzo proste*, pisała. *Trzeba w porę wysiąść*. Przez te pół godziny jazdy Elaine musiała przedostać się od aluminiowej barierki przy wejściu (którą nauczyła się otwierać uderzeniem biodrem, bez konieczności używania rąk) do tylnych drzwi i wysiąść z pojazdu, nie strącając tych dwóch czy trzech pasażerów uczepionych karoserii i wiszących prawie w powietrzu. Wszystkiego tego trzeba się było oczywiście nauczyć i w pierwszym tygodniu nieraz zdarzało się jej przejechać właściwy przystanek o kilometr czy dwa, więc pojawiała się w CEUCA kilka minut po rozpoczęciu zajęć o ósmej, przemoczona uporczywą mżawką, która dopadła ją, gdy przemierzała nieznane ulice.

Kolumbijsko-Amerykańskie Centrum Studiów Uniwersyteckich (CEUCA), długa i pretensjonalna nazwa jak na tych kilka sal wypełnionych ludźmi, którzy Elaine Fritts wydawali się znajomi, nazbyt znajomi. Jej koledzy na tym etapie szkolenia byli biali, tak jak ona, dwudziestoletni, tak jak ona, i byli, tak jak ona, zmęczeni swoim własnym krajem, zmęczeni Wietnamem, zmęczeni Kubą, zmęczeni Dominikaną, zmęczeni zawsze takimi samymi porankami spędzonymi na banalnych rozmowach z rodzicami albo przyjaciółmi, zmęczeni tym, że wieczorem człowiek kładzie się do łóżka, wiedząc, że właśnie przeżył kolejny żalorny dzień, dzień z miejsca wpisujący się w powszechną historię nikczemności, dzień, w którym kula z krótkiej lufy zabija Malcolma X, bomba pod samochodem zabija Wharlesta Jacksona, bomba w urzędzie pocztowym zabija Freda Conlona, seria z policyjnego karabinu zabija Benjamina Browna. A jednocześnie napływają nowe trumny po każdej nowej wietnamskiej akcji o niegroźnych i wręcz malowniczych nazwach, Deckhouse Five, Cedar Falls, Junction City. Zaczynały już przeciekać sensacyjne doniesienia na temat My Lai, a niedługo miała wypłynąć sprawa Thanh Phong, jeden akt przemocy następował po drugim, jedna zgwałcona kobieta za drugą, zgwałconą wcześniej. Tak, tak to wyglądało: człowiek budził się rano we własnym kraju i nie wiedział, czego się spodziewać, z jakim okrutnym żartem wyskoczy tym razem historia, czym teraz plunie w twarz. Kiedy coś takiego przytrafiło się Stanom Zjednoczonym Ameryki? Pytanie to, które Elaine na tysiąc zagmatwanych sposobów stawiała sobie codziennie, unosiło się w salach lekcyjnych, ponad tymi wszystkimi jasnymi dwudziestoletnimi głowami, i wypełniało także wolne chwile, przerwy na kawę w kantynie, czas przejścia z CEUCA do dzielnic, w których kandydaci na wolontariuszy mieli realizować swoje działania polowe. Stany Zjednoczone Ameryki, kto skazywał je na zagładę, kto ponosi odpowiedzialność za zniszczenie marzenia? Tam, w sali zajęć, Elaine myślała: Od tego uciekliśmy. Myślała: Wszyscy jesteśmy uciekinierami.

Poranki poświęcone były na naukę hiszpańskiego. Przez cztery godziny, cztery intensywne godziny przygotowujące ją zawsze o migrenę i ból mięśni ramion, Elaine wgrzyzała się w sekrety nowego języka pod dyktando nauczycielki w jeździeckich butach i golfie, kobiety suchej i z worami pod oczami, która często przyprowadzała na zajęcia swojego trzyletniego synka, bo nie miała go z kim zostawić w domu. Na każde potknięcie w zastosowaniu trybu *subjuntivo*, na każde złe użycie rodzaju pani Amalia reagowała przemową. „Jak zamierzacie pracować z biedakami w tym kraju, jeśli ich nie będziecie rozumieć?”, mówiła opierając się zaciśniętymi pięściami o blat stołu. „I jeśli nie będzie was można zrozumieć, jak zamierzacie zjednać sobie lokalnych liderów? Za trzy, cztery miesiące niektórzy z was pojedą na wybrzeże

albo na tereny uprawy kawy. Wydaje się wam, że ludzie z Acción Comunal będą czekać, aż znajdziecie właściwe słówko w słowniku? Wydaje się wam, że wieśniacy będą siadać na ścieżce i czekać, aż ustalicie, jak się mówi «mleko jest lepsze niż woda z cukrem trzcinowym?»”. Ale popołudniami, podczas godzin po angielsku, które w oficjalnym programie nazywały się *American Studies* oraz *World Affaires*, Elaine i jej towarzysze wysłuchiwali wystąpień weteranów Korpusu Pokoju, którzy z takiego czy innego powodu zostali w Kolumbii, i od nich dowiadywali się, że ważne zdania to nie te, które dotyczą mleka i wody z cukrem, tylko zupełnie inne, takie, których kluczowym składnikiem jest słowo „nie”: „Nie jestem z Sojuszu dla Postępu”, „Nie jestem agentem CIA” i przede wszystkim „Nie mam dolarów, bardzo mi przykro”.

Pod koniec września Elaine napisała długi list z gratulacjami dla babci z okazji urodzin, dziękowała dziadkom za wycinki z „Time’a”, pytała dziadka, czy widział już nowy film z Newmanem i Redfordem, którego sława dotarła aż do Bogoty (choć film dotrzeć miał nieco później). Potem, nagle poważna, pytała, czy wiadomo coś o zbrodni z Beverly Hills. *Tu wszyscy mają jakieś zdanie na ten temat, nie można nawet zjeść w spokoju lunchu, żeby ktoś nie poruszył tematu. Zdjęcia są koszmarnie. Sharon Tate była w ciąży, nie rozumiem, jak ktoś mógł zrobić coś takiego. Strach żyć na tym świecie. Dziadku, ty widziałeś straszniejsze rzeczy. Proszę, powiedz, że świat zawsze taki był.* A potem przechodziła do innego tematu. *Chyba już Wam pisałam o naszych dzielnicach, w których działamy.* Wyjaśniała, że na wszystkich zajęciach w CEUCA wolontariusze dzielą się na grupy, każda grupa ma swoją dzielnicę, że pozostali trzej członkowie jej grupy są z Kalifornii, sami faceci, świetnie sobie radzą z murowaniem ścian i rozmowami z lokalnymi liderami (o czym wcześniej pisała), są także bardzo skuteczni w zdobywaniu marihuany, z Guajiry i Samarii, dobrej jakości i w dobrej cenie w centrum miasta (o czym nie pisała). Właśnie z nimi raz w tygodniu wyruszała w góry otaczające Bogotę, szli pełnymi błota drogami, gdzie nietrudno było trafić na zdechłego szczura, między domkami z kartonu i zbutwiałego drewna, mijając studzienki ściekowe widoczne (i wyczuwalne) przez wszystkich. *Mamy dużo do zrobienia,* pisała Elaine. *Ale nie chcę więcej pisać o pracy, to w innym liście. Muszę wam za to napisać, że miałam szczęście.*

Stało się to tak. Pewnego popołudnia, po długiej sesji z radą mieszkańców dzielnicy, podczas której rozmawiano o zanieczyszczonej wodzie, poruszono palącą kwestię budowy akweduktu, zgodzono się, że nie ma na to środków, grupa Elaine poszła na piwo do sklepiku bez okien. Potrzebowali dwóch kolejek (butelki z brązowego szkła tłoczyły się na wąskim stoliku), żeby Dale Cartwright zniżył głos i zapytał Elaine, czy potrafi zachować coś przez parę dni w sekrecie.

– Wiesz, kto to jest Antonia Drubinski? – zapytał.

Elaine, jak wszyscy, wiedziała, kim jest Antonia Drubinski; nie dość, że była to jedna z najstarszych weteranek Korpusu i że już dwukrotnie aresztowano ją za zakłócanie porządku w miejscu publicznym – „zakłócanie porządku” należy czytać jako „protesty przeciw wojnie w Wietnamie”, a „miejsce publiczne” jako „przed budynkiem Ambasady Stanów Zjednoczonych”, to jeszcze Antonia Drubinski parę dni temu zniknęła bez śladu.

– Żadne tam bez śladu – stwierdził Dale Cartwright. – Już wiadomo, gdzie jest, tyle że nie chcieli, żeby się zrobiła sensacja.

– Kto nie chciał?

– Ambasada. I CEUCA.

– No i co? Gdzie jest?

Dale Cartwright rozejrzał się na boki i pochylił.

– Uciekła w góry – powiedział niemal szeptem. – Będzie chyba robić rewolucję. Zresztą

mniejsza o to. Ważne, że jej pokój się zwolnił.

– Ten pokój? – zapytała Elaine. – *Ten jej pokój?*

– *Ten pokój*, tak. Ten, którego wszyscy jej zazdroszczą. I pomyślałem, że może miałabyś ochotę go wziąć. No wiesz, mieszkanie dziesięć minut od CEUCA, ciepła woda w łazience.

Elaine się zamyśliła.

– Nie przyjechałam tu dla wygód – powiedziała wreszcie.

– Ciepła woda w łazience – powtórzył Dale. – Bez konieczności przebijania się łokciami jak rugbysta, żeby wysiąść z busa.

– No ale moja rodzina... – wahała się Elaine.

– A jaki masz problem z rodziną?

– Płacą im siedemset pięćdziesiąt pesos za zakwaterowanie dla mnie – powiedziała Elaine. – To jedna trzecia ich dochodów.

– A co to ma do rzeczy?

– No że nie chcę ich pozbawiać tych pieniędzy.

– Ale za kogo ty się uważasz, Elaine Fritts? – zapytał Dale, wzdychając teatralnie. –

Uważasz, że jesteś jedyna i niezastępowalna, co za tupet. Elaine, kochanie, tylko dziś przyjechali do Bogoty piętnastu nowych wolontariuszy. Kolejny lot z Nowego Jorku będzie w sobotę. W całym kraju są setki, może tysiące takich jankesów jak ty czy ja, i wielu z nich przyjedzie do Bogoty. Nie obawiaj się, twój pokój będzie zajęty, zanim zdążysz spakować walizkę.

Elaine pociągnęła łyk piwa. Jakiś czas później, już po tym wszystkim, miała wspominać to piwo, mroczne wnętrze sklepienia, odbłask kończącego się zachodu słońca na szybie aluminiowej lady. Tak się wszystko zaczyna, pomyślała. Ale w tamtej chwili, wobec tak klarownej oferty Dale'a Cartwrighta, szybko policzyła w głowie. Uśmiechnęła się.

– Skąd wiesz, że się przepycham jak rugbysta? – zapytała w końcu.

– W Korpusie Pokoju wszystko się wie, kochana – odpowiedział. – Wszystko.

I tak oto trzy dni później Elaine Fritts po raz ostatni pokonywała trasę z Hipódromo, tym razem jednak dźwigając walizki. Miło by było, gdyby rodzina trochę się zasmuciła, nie mogła temu zaprzeczyć, miło by było, gdyby ją mocno przytulili na pożegnanie, może jakiś prezencik na do widzenia; ona im podarowała pozytywkę, z której, kiedy się ją otwierało, wysuwały się nuty *El golpe*. Nic z tych rzeczy, poprosili ją o klucze, odprowadzili do drzwi, bardziej z braku zaufania niż uprzejmości. Ojciec szybko wyszedł, tak więc sama matka, kobieta, która wypełniała swoją postać całą ramę drzwi, odprowadzała ją wzrokiem, kiedy schodziła po schodach i oddalała się ulicą, w ogóle nie proponując pomocy. W tej chwili pojawił się chłopczyk (ich jedynak, miał koszulę wypuszczoną na spodnie, a w dłoni drewnianą ciężarówkę pomalowaną na niebiesko i czerwono) i zapytał o coś, czego nie było za dobrze słychać. Ostatnim, co usłyszała Elaine, zanim odeszła, była odpowiedź gospodyni.

– Idzie sobie, kochanie, idzie sobie do domu jakichś bogaczy – powiedziała kobieta. – Niewdzięczna gringa.

„Dom bogaczy”. To była nieprawda, bo bogacze nie przyjmowali ochotników z Korpusu Pokoju, ale w tej chwili Elaine nie miała żadnych argumentów, żeby angażować się w dyskusję o sytuacji finansowej tej drugiej rodziny. Jej nowy dom, trzeba to przyznać, posiadał luksusy, które Elaine uznałaby za niewyobrażalne jeszcze kilka tygodni temu; był to wygodny budynek przy alei Caracas, o wąskiej fasadzie, ale bardzo głęboki, z malutkim ogródkiem i owocowym drzewem w rogu, tuż obok murowanego ogrodzenia. Fasada była biała, ramy okienne z drewna pomalowanego na zielono i żeby wejść, trzeba było otworzyć żelazną bramę oddzielającą przedni ogród od ulicy, a brama ta przy każdym ruchu wydawała z siebie zwierzęcy pisk. Główne wejście prowadziło do ciemnego, ale przyjemnego korytarza. Po lewej znajdowały się podwójne

przeszkłone drzwi prowadzące do salonu, za nim znajdowała się jadalnia, a jeszcze dalej korytarz dochodził do ciasnego wewnętrznego patia, gdzie wisiały doniczki z geranium, po prawej, od razu za wejściem, pojawiały się schody prowadzące do góry. Elaine wszystko zrozumiała, kiedy tylko rzuciła okiem na drewniane stopnie. Czerwony dywan był kiedyś bardzo elegancki, ale mocno się zużył (na niektórych stopniach prześwitywały szare włókna osnowy), miedziane pręty przytrzymujące go płasko na schodach powyrywały się z metalowych kółek albo to raczej kółka wyrwały się z drewna, i czasami, kiedy wchodziło się szybko, czuć było, że materiał się ślizga, a metalowe części podzwaniają. Elaine miała wrażenie, że schody są jakby upamiętnieniem albo świadkiem tego, czym ta rodzina była i czym już nie jest. „Porządna rodzina, która podupadła”, powiedział Elaine pracownik ambasady, kiedy Elaine poszła załatwiać papiery związane z przeniesieniem. „Podupadła, *venida a menos*”. Elaine dużo myślała nad tymi słowami, próbowała przetłumaczyć to z hiszpańskiego dosłownie, ale nie dała rady. Dopiero dywan na schodach pozwolił jej zrozumieć, ale zrozumienie było instynktowne, nie ubierała tego w spójne zdania, nie układała w głowie naukowej diagnozy. Z czasem wszystko miało nabrać sensu, bo Elaine widziała już w życiu przypadki podobnych rodzin, rodzin o solidnej przeszłości, które w pewnym momencie zdają sobie sprawę, że przeszłość pieniędzy nie daje.

Rodzina nosiła nazwisko Laverde. Pani domu była kobietą o wydepilowanych brwiach i smutnych oczach, której obfite rude włosy – w tym kraju rzecz egzotyczna, acz może po prostu rezultat farbowania – zawsze ułożone były w nienaganną fryzurę pachnącą świeżym lakierem. Doña Gloria była gospodynią domową bez fartucha. Elaine nigdy nie widziała jej z pióropuszem do kurzu, a mimo to na szafkach, stolikach nocnych, na porcelanowych popielniczkach nie było nawet śladu żółtawego pyłu, który unosił się w powietrzu wszędzie na ulicy, wszystko było obsesyjnie zadbane, co jest możliwe tylko u osoby zależnej od pozorów. Don Julio, pan domu, miał na twarzy bliznę, ale nie prostą i wąską, jak po skaleczeniu, tylko szeroką i asymetryczną (Elaine błędnie podejrzewała jakąś chorobę skóry). Tak naprawdę blizna nie obejmowała tylko policzka, uszkodzenie ciągnęło się poniżej brody, wyglądało jak plama ześlizgująca się po szczęce i zalewająca szyję, i bardzo trudno było nie gapić się na nią. Don Julio był z zawodu aktuariuszem i jedna z ich pierwszych rozmów w jadalni, w niebieskawym świetle lampy, dotyczyła ubezpieczeń, prawdopodobieństwa i statystyk.

– Skąd pani wie, jakie ubezpieczenie powinien płacić dany człowiek? – mówił pan domu. – Ubezpieczalnie chcą wiedzieć takie rzeczy, rzecz jasna, nie byłoby sprawiedliwe, gdyby zdrowy trzydziestolatek płacił tyle samo, co starzec z dwoma zawałami na koncie. Tu wkraczam ja, panno Fritts, zaglądam w przyszłość. To ja mówię, kiedy umrze ten człowiek, kiedy umrze tamten, albo jakie są szanse, że ten samochód rozbije się na szosie. Ja pracuję nad przyszłością, panno Fritts, ja wiem, co się wydarzy. To kwestia liczb, przyszłość kryje się w liczbach. Liczby mówią nam wszystko. Liczby mówią nam na przykład, czy można się spodziewać mojej śmierci przed pięćdziesiątką. A czy pani, panno Fritts, wie, kiedy pani umrze? Ja mogę to pani powiedzieć. Jeśli da mi pani trochę czasu, kartkę i ołówek oraz margines błędu, mogę pani powiedzieć, kiedy najprawdopodobniej pani umrze i jak. Nasze społeczeństwa mają obsesję przeszłości. Ale was, jankesów, przeszłość nie obchodzi, wy patrzycie do przodu, tylko przyszłość was interesuje. Rozumiecie to lepiej niż my, lepiej niż Europejczycy: to przyszłością należy się zajmować. I ja to właśnie robię, panno Fritts, ja zarabiam na życie sięganiem w przyszłość, utrzymuję rodzinę, mówiąc ludziom, co im się przytrafi. Dziś mówią to ubezpieczyciele, jasne, ale w przyszłości pojawią się inni także zainteresowani tą umiejętnością, inaczej być nie może. W Stanach rozumiecie to lepiej niż gdziekolwiek indziej. Dlatego tak idziecie naprzód, panno Fritts, i dlatego my tak bardzo się cofamy. No niech sama pani powie, czy się myłę.

Elaine nie odpowiedziała. Z drugiego końca stołu patrzył na nią syn gospodarzy, z tym swoim krzywym, kpiarskim uśmieszkiem i długimi gęstymi rzęsami nadającymi jego czarnym oczom lekko kobiecy wygląd. Gapił się tak na nią od początku, z bezczelnością, która jej z jakiegoś powodu schlebiała. Nikt tak w Kolumbii na nią nie patrzył; choć od przyjazdu upłynęły już miesiące, Elaine wciąż nie poszła do łóżka z nikim, kto by nie był Amerykaninem, kto by nie miał orgazmów po angielsku.

– Ricardo nie wierzy w przyszłość – powiedział don Julio.

– Pewnie, że wierzę – odpowiedział syn. – Ale w mojej przyszłości nie trzeba pożyczać forsy.

– No dobra, może dajcie sobie z tym spokój – powiedziała z uśmiechem doña Gloria. – Co sobie nasz gość pomyśli, dopiero co tu zamieszkała.

Ricardo Laverde: za dużo „r” jak na problematyczną wymowę Elaine.

– No, Eleno, powiedz, jak się nazywam – polecił jej Ricardo, kiedy pokazywał jej łazienkę i pokój, w którym miała zamieszkać: nocny stolik w pastelowych kolorach, komoda z trzema szufladami i łoże z baldachimem, należące do starszej siostry, dopóki nie wyszła za mąż (wisało tam jej pozowane zdjęcie z dzieciństwa, równy przedziałek pośrodku głowy, wzrok zagubiony gdzieś w przestrzeni, barokowy podpis fotografa). Pokój gości, tabuny jankesów mieszkały tu przed nią.

– Jak pani trzy razy wymówi moje imię i nazwisko, dam pani dodatkowy koc – powiedział Ricardo Laverde. To była zabawa, ale trochę złośliwa. Elaine niechętnie na nią przystała.

– Ricardo – powiedziała i język jej się plątał. – Laverde.

– Nie, nie, fatalnie – odpowiedział Ricardo. – Ale mniejsza o to, Eleno, i tak buzię ma pani śliczną.

– Nie nazywam się Elena – wyjaśniła Elaine.

– Nie rozumiem, Eleno – odparł. – Musi pani więcej ćwiczyć, chętnie pomogę.

Ricardo był od niej o kilka lat młodszy, ale zachowywał się tak, jakby miał niebotycznie więcej doświadczeń życiowych. Z początku widywali się o zmierzchu, kiedy Elaine wracała z zajęć w CEUCA, i wymieniali pojedyncze zdania w saloniku na drugim piętrze, prawie bezpośrednio pod klatką kanarka Paco: i jak tam, jak minął dzień, czego się dziś pani nauczyła, proszę powtórzyć moje imię i nazwisko trzy razy bez błędu. *Bogotanie doskonale potrafią dużo mówić i nic nie powiedzieć*, pisała Elaine do swoich dziadków. *I'm drowning in small talk*. Ale pewnego popołudnia spotkali się na środku Siódmej Alei i wydało im się zabawnym zbiegiem okoliczności, że oboje spędzili przedpołudnie na wykrzykiwaniu hasła pod amerykańską ambasadą, nazywając Nixona zbrodniarzem i śpiewając *End it Now, End it Now, End it Now!* Znacznie później Elaine dowiedziała się, że spotkanie to nie miało w sobie nic z przypadku. Ricardo Laverde zaczął się na nią przy wejściu do CEUCA, godzinami za nią chodził, śledził, kryjąc się za ludźmi na ulicy i za transparentami z napisami *CALLEY = MURDERER* i *PROUD TO BE A DRAFT DODGER*, i *WHY ARE WE THERE, ANYWAY?* oraz intonując pieśni kilka metrów od miejsca, gdzie umiejscowiła się Elaine, a przez cały czas ćwiczył różne wersje i różne intonacje tego, co w końcu jej powiedział:

– O rany, ale zbieg okoliczności, co? Chodźmy, zapraszam na coś do picia, będzie okazja, żeby mi pani przedstawiła wszystkie skargi na moich rodziców.

Poza domem rodziny Laverde, daleko od wymuskanej porcelany, daleko od spojrzenia przodka w mundurze z olejnego portretu i irytującego pogwizdywania kanarka, jej relacja z synem gospodarzy uległa zmianie albo zaczęła się od nowa. Tam w knajpie, z filiżanką ciepłej czekolady w dłoniach, Elaine opowiadała i słuchała opowieści Ricarda. Tak dowiedziała się, że

Ricardo skończył jezuickie liceum, że zaczął studia ekonomiczne – coś w rodzaju ojcowskiego spadku albo narzuconej przez niego decyzji – i że kilka miesięcy temu rzucił studia, żeby zająć się jedyną rzeczą, jaka go interesowała: pilotowaniem samolotów. „Tacie się to oczywiście nie podoba”, powiedział jej Ricardo znacznie później, kiedy już mogli się sobie zwierzać z takich rzeczy. „Zawsze był przeciwny. Ale mam wsparcie dziadka, jest po mojej stronie. I tata nie może nic zrobić. Nie jest łatwo sprzeciwić się bohaterowi wojennemu. Nawet jeśli była to malutka wojna, wojna dla amatorów, jeśli się ją porówna z tymi światowymi, wcześniejszą i późniejszą, taka wojna międzywojenna. No ale w końcu wojna to wojna, i wszystkie wojny mają swoich bohaterów, prawda? Wartości aktora nie ocenia się po rozmiarze teatru, mawiał mój dziadek. I jasne, dla mnie to było akurat szczęście. Dziadek popierał mnie w sprawie samolotów. Kiedy zacząłem interesować się lataniem, tylko mój dziadek nie nazywał mnie wariatem, niedojrzałym czy stukniętym. Poparł mnie, poparł z całego serca, nawet stawił czoło mojemu ojcu, a bohaterowi wojennemu trudno jest powiedzieć: nie. Ojciec próbował, dobrze pamiętam, ale bez skutku. To było już parę lat temu, ale pamiętam jakby to było wczoraj. Siedzieliśmy tutaj, dziadek tam, gdzie pani, pod klatką, a mój tata tu, gdzie ja. Dziadek przyłożył dłoń do blizny na twarzy taty i powiedział mi, żebym nie przejmował po nim jego lęków. Dziadek musiał umrzeć, żebym tak naprawdę zrozumiał, jak okrutny był ten gest: mężczyzna, stary i zmęczony, choć na to nie wygląda, poklepuje po twarzy drugiego, który jest młody i silny, choć na to nie wygląda. Oczywiście nie tylko o to chodziło, jeszcze o bliznę, bo to blizna była poklepywana... Pewnie pani powie, że ciężko poklepać mojego ojca po twarzy, nie dotykając blizny, i tak, to prawda, tak, tym bardziej że dziadek był praworęczny. I oczywiście prawą ręką poklepuje się lewy policzek, a lewy policzek mojego ojca jest właśnie najbardziej uszkodzony”.

Rozmowa o pochodzeniu tej blizny odbyła się znacznie później, kiedy już byli kochankami i do ciekawości ciał dołączyła ciekawość życiorysów. Seks pojawił się bez zaskoczenia, jak mebel, który zawsze tu stał, tylko go nikt nie zauważał. Każdego wieczoru po kolacji gość i gospodarz rozmawiali jeszcze przez chwilę, potem życzyli sobie dobrej nocy i razem wchodzili po schodach, a na drugim piętrze Elaine szła na koniec korytarza, wchodziła do łazienki, zamykała się na zasuwkę i kilka minut później wychodziła w białej koszuli i z włosami zebranymi w długi koński ogon. Pewnego deszczowego piątku – woda bębniła o daszek nad oknem, zagłuszając wszystkie hałasy – Elaine jak zawsze wyszła z łazienki, ale zamiast ciemnego korytarza i blasku ulicznych latarni przesączającego się przez świetliki od strony wewnętrznego patia dostrzegła czyjąś sylwetkę i zobaczyła Ricarda Laverdego opartego o barierkę. Pod światło jego twarzy nie było zbyt dobrze widać, ale Elaine wyczuła pożądanie w samej jego pozie i głosie.

– Idzie pani spać? – zapytał Ricardo.

– Jeszcze nie – odpowiedziała. – Proszę wejść i opowiedzieć mi o samolotach.

Było zimno, deski w łóżku skrzypiały przy każdym ruchu ciała, a poza tym to było łóżko dla panienki, zbyt wąskie i krótkie na takie igraszki, więc w końcu Elaine jednym ruchem ściągnęła narzutę i rozłożyła na dywanie obok swoich pluszowych pantofli. Tam, na wełnianej narzucie, dygocząc z zimna, zwarli się ze sobą szybko i intensywnie. Elaine miała wrażenie, że jej piersi w dłoniach Ricarda Laverdego robią się mniejsze, ale nie powiedziała mu tego. Włożyła znów koszulę nocną, żeby wyjść do łazienki, i tam, siedząc na klozecie, dała Ricardowi czas, żeby wrócił do siebie do pokoju. Myślała też, że chętnie by to powtórzyła, że jeśli nadarzy się okazja, to ją wykorzysta, i że to, co właśnie się zdarzyło, pewnie było zakazane przez regulamin Korpusu Pokoju. Podmyła się na bidencie, spojrzała w lustro, uśmiechnęła się, przed wyjściem zgasła światło w łazience, stąpając powoli, żeby się nie potknąć, wróciła do pokoju i odkryła, że Ricardo wcale sobie nie poszedł, tylko że znów zaścielił łóżko i czekał w nim, leżąc na boku z

głową opartą na dłoni, jak jakiś amant z kiepskiego hollywoodzkiego filmu.

– Chcę spać sama – powiedziała Elaine.

– Ja nie chcę spać, chcę pogadać.

– Dobra. A o czym?

– O czym pani sobie życzy, Eleno Fritts. Pani proponuje temat, ja podejmuję.

Rozmawiali o wszystkim, tylko nie o sobie. Leżeli nago, Ricardo gładził dłonią brzuch Elaine, jego palce głaskały jej proste włosy, i rozmawiali o zamiarach i planach, przekonani, w sposób typowy dla nowych kochanków, że mówienie o tym, czego się chce, jest mówieniem o tym, kim się jest. Elaine opowiadała o swojej misji dla świata, o młodości jako broni postępu, o obowiązku sprzeciwiania się ziemskiej władzy. I zadawała Ricardowi pytania. Czy podoba mu się bycie Kolumbijczykiem? Chciałby mieszkać gdzieś indziej? Też nienawidzi Stanów Zjednoczonych? Czytuje nowe dziennikarstwo? Potrzebowali jednak jeszcze siedmiu stosunków seksualnych w ciągu dwóch tygodni, żeby Elaine odważyła się zadać pytanie intrygujące ją od pierwszego dnia: „Co się stało ojcu w twarz?”. „Ależ pani jest ostrożna”, odpowiedział Ricardo. „Nikt aż tyle nie zwlekał z zadaniem tego pytania”. Wjeżdżali kolejką linową na Monserrate, kiedy Elaine je zadała. Ricardo czekał na nią przy wyjściu z CEUCA i oświadczył, że czas na trochę turystyki, że nie można przyjeżdżać do Kolumbii tylko dla pracy, żeby wreszcie przestała, na miłość boską, zachowywać się jak jakaś ewangeliczka. I teraz Elaine przytulała się do Ricarda (przyciskała głowę do jego piersi, zaciskała dłonie na łatach na jego łokciach) za każdym razem, kiedy mocniej zawiąło, kabina chwiała się na linie, a turyści zgodnie wydawali okrzyki. W ciągu tego popołudnia, kiedy byli zawieszani w próżni albo siedzieli w kościelnej ławce, albo zataczali kręgi po ogrodach sanktuarium, albo patrzyli na Bogotę z wysokości trzech tysięcy metrów, Elaine wysłuchiwała opowieści o pokazie lotniczym z jakże odległego roku 1938, o pilotach, akrobacjach i wypadku oraz pół setce zabitych. I kiedy następnego dnia się zbudziła, przy śniadaniu czekała na nią paczuszka. Elaine zerwała prezentowy papier i odkryła czasopismo po hiszpańsku ze skórzaną zakładką wsuniętą między strony. Pomyślała, że prezentem jest pewnie ta zakładka, ale wtedy otworzyła pismo i trafiła na nazwisko swoich gospodarzy i liścik od Ricarda: *Żeby wszystko było jasne.*

Elaine postanowiła wszystko zrozumieć. Zadawała pytania i Ricardo na nie odpowiadał. Spalona twarz ojca, wyjaśnił Ricardo w trakcie kilku rozmów, mapa na skórze o ciemniejszej barwie, jakby chropawa i szorstka jak pustynia przy Villa de Leyva, stanowiła część pejzażu znanego mu przez całe życie; ale nawet jako dziecko, kiedy człowiek o wszystko pyta i niczego nie przyjmuje ot tak, Laverde nie zainteresował się, dlaczego twarz ojca różni się od twarzy wszystkich innych. Choć było też możliwe (zdaniem Laverdego), że rodzina nawet nie dała mu czasu, żeby zdążył poczuć ciekawość, bo opowieść o wypadku w Santa Ana unosiła się między nimi i nawet na chwilę nie znikala, powracając w najróżniejszych sytuacjach i z ust najróżniejszych narratorów; Laverde pamiętał wersje opowiadane przy okazji świątecznych spotkań, wersje z piątkowych podwieczorków przy herbatce oraz te z niedzielnych stadionów piłkarskich, wersje zasłyszane, kiedy szło się do łóżka spać i kiedy szło się rano do szkoły. Opowiadało się o wypadku, owszem, i robiło się to w różnym tonie i w różnych intencjach, żeby wykazać, że samoloty są bardzo niebezpieczne i nieprzewidywalne, jak wściekłe psy (zdaniem jego ojca), albo że samoloty są jak greckie bóstwa, zawsze ustawiają człowieka tam, gdzie jest jego miejsce, i nie tolerują ludzkiej arogancji (zdaniem jego dziadka). I wiele lat później także on, Ricardo Laverde, miał opowiadać o tym wypadku, urozmaicając i zmieniając tę relację, aż w końcu zdał sobie sprawę, że nie jest to już potrzebne. W szkole na przykład nie było lepszej metody na przykucie uwagi kolegów niż opowieść o pochodzeniu blizny ojca.

– Próbowałem z wyczynami wojennymi mojego dziadka – mówił Laverde. – Potem

zdałem sobie sprawę, że nikt nie chce słuchać historii o bohaterstwie, natomiast wszyscy uwielbiają słuchać o cudzym nieszczęściu.

I to miał zapamiętać, twarze kolegów, kiedy opowiadał o wypadku w Santa Ana, a potem pokazywał zdjęcia swojego ojca i jego spaloną twarz, żeby się przekonali, że nie kłamie.

– Dziś mam pewność – powiedział Laverde – że jeśli chcę zostać pilotem, jeśli nic innego mnie nie interesuje, to przez Santa Anę. Jeśli kiedyś roztrzaskam się samolotem, to będzie wina Santa Any.

Wszystko wynikało z tej historii, powtarzał Laverde. To przez nią przyjął pierwsze zaproszenie dziadka. To przez nią zaczął pojawiać się na terenie aeroklubu w Guaymaral, żeby latać u boku bohatera weterana i czuć, że naprawdę żyje. Przechadzał się między kanadyjskimi sabre'ami i bywał zapraszany do kabin (jego nazwisko otwierało każde drzwi), a potem (znów dzięki nazwisku) najlepsi nauczyciele latania z aeroklubu poświęcali mu więcej godzin, niż opłacił; za tym wszystkim stała historia z Santa Any. Nigdy później, tak jak wtedy, nie miał okazji przekonać się, jak to jest poczuć się następcą tronu, jak to jest posmakować nieco odziedziczonej władzy.

– Wykorzystałem to, Eleno, słowo – mówił. – Sporo się nauczyłem, byłem dobrym uczniem.

Dziadek zawsze mu powtarzał, że się nadaje. Jego nauczycielami byli także weterani z wojny z Peru, przede wszystkim, ale zdarzył się i taki, który latał w Korei i dostał order od jankesów, a w każdym razie tak mówiono. I wszyscy zgadzali się, że chłopak jest niezły, że ma rzadko spotykane wyczucie i złote ręce i, co najważniejsze, samoloty go słuchają. A samoloty nigdy się nie mylą.

– I tak jest do dziś – powiedział Laverde. – Mój ojciec jest załamany, ale jestem już panem swojego życia. Jak się ma sto godzin przelatanych, to się jest panem samego siebie. On spędza dni na odgadywaniu przyszłości, ale to jest przyszłość innych, Eleno, mój ojciec nie wie, co przydarzy się mnie, ani jego formułki, ani statystyki nie mogą mu tego powiedzieć. Sporo czasu straciłem, próbując to ustalić, i dopiero teraz, w ciągu ostatnich dni, zdołałem zrozumieć, jaka zachodzi relacja między moim życiem i twarzą mojego ojca, między wypadkiem z Santa Ana i tą osobą, która tu stoi, która dokona wielkich czynów w życiu, która jest wnukiem bohatera. Ja się wyrwę z tego szarego życia, Eleno Fritts. Ja się nie boję, ja przywrócę lotnictwu nazwisko Laverde. Stanę się lepszy niż kapitan Abadía i moja rodzina będzie ze mnie dumna. Ja się wyrwę z tego szarego życia, wyniosę się z tego domu, gdzie cierpimy za każdym razem, kiedy ktoś nas zaprosi na obiad, bo potem musimy się zrewanżować tym samym. Ja przestanę liczyć każdy grosz jak moja mama każdego ranka. Ja nie będę musiał wynajmować pokoju jakiemuś gringo, żeby rodzina miała co do garnka włożyć, przepraszam, jeśli to zabrzmiało obraźliwie, nie chciałem tego, to nie miało tak zabrzmieć. No ale co, Eleno Fritts, ja jestem wnukiem bohatera, ja jestem przeznaczony do innych celów. Wielkich, tak jest, tak twierdzą i nie zmienię zdania. I nic mnie nie obchodzi.

Zjeżdżali kolejką, tak samo jak wjechali. Zmierzchało, a niebo nad Bogotą zmieniło się w gigantyczną fioletową płachtę. Pod nimi, w wątłym świetle, pielgrzymi, którzy weszli pieszo i pieszo schodzili, wyglądali jak kolorowe pinezki na kamiennych schodach.

– Ale w tym mieście jest dziwne światło – powiedziała Elaine Fritts. – Człowiek na moment zamyka oczy i już jest noc.

Zawiało mocniej, zakołysało wagonikiem, ale tym razem turyści nie krzyczeli. Było zimno. Wiatr zasyczał, przelatując przez kabinę. Elaine wtulona w Ricarda Laverdego, oparta o poprzeczną poręcz chroniącą okno, nagle zdała sobie sprawę, że zapadły ciemności. Głowy pasażerów odcinały się na niebie, czerń na czerni. Oddech Ricarda docierał do niej falami,

zapach tytoniu i czystej wody, i tam, unosząc się nad wschodnimi wzgórzami i patrząc na miasto zapalające się w ciemnościach, Elaine zapragnęła, żeby wagonik nigdy nie dojechał na dół. Być może po raz pierwszy pomyślała, że ktoś taki jak ona mógłby zamieszkać w kraju jak ten. Ten kraj, i to na różne sposoby, tak naprawdę zaczynał, dopiero odkrywał swoje miejsce w świecie, i ona chciała stać się częścią tych poszukiwań.

Wicedyrektor Korpusu Pokoju w Kolumbii był szczupłym i trzymającym wobec ludzi dystans człowiekiem, w okularach z grubymi oprawkami à la Kissinger i płóciennym krawacie. Przyjął Elaine bez marynarki, co nie byłoby niczym dziwnym, ale nosił koszulę z krótkim rękawkiem, jak gdyby przebywali w nieznośnym upale Baranquilli czy Girardot, a nie dygotali z zimna na tych pustkowiach. Kładł tyle brylantyny na swoje czarne włosy, że odbłask rzucany przez świetlówkę mógł dawać wrażenie przedwczesnej siwizny na skroniach albo białych odrostów wzdłuż przedziałka wytycznego z wojskowym rygorem. Nie sposób było określić, czy jest Amerykaninem, czy krajowcem, czy może Amerykaninem pochodzącym stąd albo mieszkającym tu Amerykaninem; nie było żadnych śladów, żadnych plakatów na ścianie, żadnej dochodzącej skądś muzyki ani książek na półkach pozwalających snuć jakieś domysły na temat jego życia czy pochodzenia. Mówił perfekcyjnym angielskim, ale jego nazwisko – długie nazwisko, które spoglądało na Elaine z biurka, wyryte na solidnej brązowej tabliczce – było latynoskie, a w każdym razie hiszpańskie, Elaine nie wiedziała, czy jest jakaś różnica. Rozmowa przebiegała rutynowo, wszyscy ochotnicy z Korpusu Pokoju przewinęli się albo przewiną przez to mroczne biuro, przez to niewygodne krzesło, na którym w tej chwili Elaine starała się rozprostować swoją długą granatową spódnicę. Tutaj, naprzeciwko szczupłego i zdystansowanego Mr. Valenzuela, wszyscy, którzy przeszli szkolenie w CEUCA, musieli zasiąść prędzej czy później i wysłuchać krótkiej przemowy o tym, jak to nadciąga koniec ich szkolenia, jak to niedługo ochotnicy rozjadą się do różnych miejsc, by wykonywać swoje zadania, przemowy o hojności, odpowiedzialności i wielkiej szansie na dokonanie czegoś. Słyszeli słowa *permanent site placement* i od razu pytanie: „Czy ma pan/pani jakieś preferencje?”. I ochotnicy wymawiali niedawno poznane nazwy o niejasnym sensie: Bolívar, Valledupar, Magdalena, Guajira. Albo Quindío (wymawiane jako „Kuindio”). Albo Cauca (wymawiana jako „Kohka”). Potem wysyłano ich gdzieś w pobliże miejsca przeznaczenia, coś w rodzaju etapu pośredniego, gdzie spędzali trzy tygodnie razem z doświadczonym już wolontariuszem. To się nazywało *field training*. Wszystko to rozstrzygano w ciągu półgodzinnej rozmowy.

– No, *what's it gonna be?* – zapytał Valenzuela. – Cartagena nie wchodzi w grę, tak samo Santa Marta, mamy komplet. Wszyscy chcą jechać nad Morze Karaibskie.

– Ja nie chcę miast – powiedziała Elaine Fritts.

– Nie?

– Myślę, że więcej nauczę się na wsi. Duch narodu jest na prowincji.

– Duch – powtórzył Valenzuela.

– I można też więcej pomóc – dodała Elaine.

– No, to też. Dobra, ciepłe czy chłodne rejony?

– Gdzie będę bardziej potrzebna.

– Pomoc potrzebna jest wszędzie. Ten kraj jest dopiero w budowie. Proszę pomyśleć też o tym, co pani umie, co pani dobrze idzie.

– Co umiem?

– No tak. Nie pojedzie pani sadzić ziemniaków, jeśli pani w życiu motyczki w rękę nie miała. – Valenzuela otworzył brązową teczkę, którą miał cały czas pod ręką, obrócił kartkę, podniósł głowę. – Uniwersytet George Washington. Studia dziennikarskie, tak?

Elaine przytaknęła.

– Ale motyczkę widziałam. I uczę się szybko.

Valenzuela zrobił grymas zniecierpliwienia.

– No to ma pani trzy tygodnie – odrzekł. – Albo stanie się pani ciężarem i zrobi z siebie pośmiewisko.

– Nie będę ciężarem – powiedziała Elaine. – Nie...

Valenzuela pogrzebał między papierami, wyjął nową teczkę.

– Widzi pani, za trzy dni spotykam się z liderami regionalnymi. Tam się dowiem, kto czego potrzebuje, i dowiem się, gdzie może pani pojechać na *field training*. Natomiast z pewnością wiem, że jest takie miejsce niedaleko La Dorady, wie pani, gdzie to jest? Dolina Magdaleny, panno Fritts. Daleko, ale to nie jest koniec świata. Nie jest tam tak gorąco jak w La Doradzie, bo to kawałek wyżej w górach. Jedzie się z Bogoty pociągiem, łatwo tam trafić i się zorientować, sama pani wie, że tutaj busy są zagrożeniem dla zdrowia i życia ludzi. W każdym razie to dobra lokalizacja, a mało kto o nią wnieskuje. Dobrze by było umieć jeździć konno. Dobrze mieć odporny żołądek. Trzeba sporo pracować z ludźmi z *Acción Comunal*, rozwój wspólnot lokalnych, wie pani, walka z analfabetyzmem, kwestie odżywiania, takie rzeczy. To tylko trzy tygodnie. Jeśli się pani nie spodoba, można się jeszcze wycofać.

Elaine pomyślała o Ricardzie Laverdem. Nagle to, że Ricardo będzie od niej o kilka godzin jazdy pociągiem, wydało się jej dobrym pomysłem. Pomyślała o nazwie tej miejscowości, La Dorada, i przetłumaczyła to sobie w głowie: *The Golden One*, Złota.

– La Dorada – powiedziała Elaine Fritts – to brzmi dobrze.

– Najpierw inna miejscowość, potem La Dorada.

– Tak, ta inna też. Dziękuję.

– No dobrze – powiedział Valenzuela. Otworzył metalową szufladę i wyjął kartkę papieru. – Proszę, żebym nie zapomniał. To trzeba wypełnić i oddać do sekretariatu.

Był to kwestionariusz, a ściślej – kopia kwestionariusza zrobiona przez kalkę. Nagłówek stanowiło pojedyncze pytanie, napisane na maszynie dużymi literami: *Czym różni się Twoje miejsce zamieszkania w Bogocie od Twojego miejsca pochodzenia?* Poniżej pytania znajdowało się kilka pustych linijek z hojnymi odstępami, ewidentnie po to, żeby wolontariusze mogli rozpisać się do woli. Elaine wypełniła ankietę w motelu na Chapinero, leżąc na brzuchu w rozgrzebanym i pachnącym łóżku, używając jako podkładki książki telefonicznej i zakrywając pośladki prześcieradłem, żeby osłonić się przed ręką Ricarda, jego śmiałymi wędrówkami i obscenicznymi szturmami. W rubryce *Niedogodności i naruszenia fizycznej prywatności* napisała: „Mężcy członkowie rodziny nie podnoszą deski sedesowej przed sikaniem”. Ricardo powiedział jej, że jest rozpuszczoną panienką, która ma przewrócone w głowie. Pod *Ograniczenia wolności lokatorów* napisała: „Po dziewiątej zamykają drzwi na zasuwę i zawsze muszę budzić moją señoře”. Ricardo odpowiedział, że prowadzi zbyt nocny tryb życia. Pod *Kłopotami komunikacyjnymi* napisała: „Nie rozumiem, dlaczego zwracają się do dzieci *per usted*, czyli pan/pani”. Ricardo skomentował, że sporo się jeszcze musi nauczyć. Pod *Zachowanie członków rodziny* napisała: „Syn lubi kąsać moje sutki, kiedy dochodzi”. Ricardo nic nie powiedział.

Cała rodzina odprowadziła ją na pociąg na dworzec La Sabana. Był to wielki i poważny budynek z rowkowanymi kolumnami i kamiennym kondorem z rozpostartymi skrzydłami w najwyższej części fasady, ptak wyglądał tak, jakby wzbijał się właśnie do lotu i zamierzał unieść dach w swoich szponach. Doña Gloria podarowała Elaine bukiet białych róż i teraz, kiedy szła z walizką w ręku i przekrzywioną torbą na piersi, kwiaty te strasznie jej przeszkadzały, działały jak jakiś pióropusz rozpląszczający się o innych pasażerów i pozostawiający na ziemi smutny ślad białych płatków, a kolce wbijały się jej w palce za każdym razem, kiedy próbowała go lepiej

chwycić i chronić przed niezyczliwym tłumem. Ojciec z kolei odczekał aż do wejścia na peron z wyjęciem swojego prezentu i oto, w tym całym zamieszaniu przewalających się ludzi i narzucających się pucybutów oraz błagających żebraków, wyjaśniał, że jest to książka pewnego dziennikarza, która wyszła ładnych parę lat temu, ale wciąż się sprzedawała, autor jest typem raczej szemranym, ale książka podobno niezła. Elaine rozdarła papier prezentowy i zobaczyła okładkę z dziewięcioma niebieskimi ramkami o poobcinanych rogach, a w tych ramkach widać było dzwonki, słoneczka, czapki frygijskie, wzorki roślinne, księżyce o kobiecych twarzach, czaszki ze skrzyżowanymi pieszczelami i tańczące diabełki, wszystko to wydało się jej absurdalne i nonsensowne, a tytuł – *Sto lat samotności* – przesadzony i melodramatyczny. Don Julio przytknął długi paznokciec do literki „e” w ostatnim słowie „soledad”, która była wydrukowana na odwrot.

– Zdałem sobie sprawę już po tym, jak ją kupiłem – tłumaczył się. – Jeśli pani chce, możemy to wymienić.

Elaine powiedziała, że to nie ma znaczenia, że z powodu jakiejś błahej literówki nie chce zostać bez lektury do pociągu. I kilka dni później w liście do dziadków napisała:

Przyslijcie mi coś do czytania, proszę, bo wieczorami się nudzę. Jedyne, co tu mam, to książka, którą mi podarował mój señor, i próbowałam ją czytać, przysięgam, że próbowałam, ale jej hiszpański jest strasznie trudny i wszyscy nazywają się tak samo. To najbardziej nużąca rzecz, jaką czytałam od dłuższego czasu, nawet na okładce są błędy. Niesamowite, to miało już czternaście wznowień, i wciąż tego nie poprawili. Kiedy sobie pomyślę, że pewnie czytacie teraz najnowsze Grahama Greene 'a... No nie ma sprawiedliwości.

A potem:

Może opowiem wam trochę więcej o tym, gdzie jestem i gdzie spędzę najbliższe dwa tygodnie. W Kolumbii są trzy łańcuchy górskie: Kordyliera Wschodnia, Centralna i (tak, zgadliście) Zachodnia. Bogota znajduje się na wysokości 8500 stóp w tym pierwszym paśmie. Mój pociąg zjechał z tej wysokości do poziomu rzeki Magdaleny, najważniejszej w kraju. Rzeka płynie piękną doliną, to jeden z najwspanialszych widoków, jakie w życiu widziałam, naprawdę istny raj. Podróż do samego celu też robiła wrażenie. Nigdy nie widziałam tylu ptaków i kwiatów. Ależ pozazdrościłam wujowi Philipowi! Zazdrościłam mu jego wiedzy, jasne, ale przede wszystkim lornetki. Ależ by skorzystał! Przekażcie mu moje pozdrowienia.

No ale pisałam o rzece. Kiedyś pływały tu parowce pasażerskie z Missisipi, nawet z Londynu, tak ważna była ta rzeka. I wciąż widać tu statki, wyglądają jak wyjęte żywcem z Przygód Hucka, wcale nie przesadzam. Pociąg dojechał do miejscowości o nazwie La Dorada, gdzie mam się docelowo zatrzymać. Ale zgodnie z zasadami Korpusu Pokoju ochotnicy muszą odbyć trzytygodniowy site training w miejscu innym niż permanent site i w towarzystwie innego ochotnika. Teoretycznie ta przejściowa lokalizacja powinna leżeć blisko miejsca docelowego, ale nie zawsze tak się dzieje. Teoretycznie ten drugi ochotnik powinien mieć więcej doświadczenia, ale nie zawsze tak jest. Ja miałam szczęście. Zainstalowali mnie w miasteczku kilka kilometrów od rzeki, u stóp gór. Nazywa się Caparrapí, nazwa ewidentnie wymyślona po to, żebym się czuła śmieszna, kiedy próbuję ją wymówić. Panują tu upały i wilgoć, ale da się przeżyć. A ochotnik, który mi przypadł, to szalenie sympatyczny chłopak, który dużo wie, przede wszystkim o tym, o czym ja nie mam pojęcia. Nazywa się Mike Barbieri, jest drop-out z uniwersytetu z Chicago. Jeden z tych, co to od razu sprawiają dobre wrażenie, dwie sekundy i wydaje ci się, że znasz go całe życie. Są tacy ludzie, z charyzmą. Życie w innych krajach zawsze okazuje się dla nich łatwiejsze, z tego od razu zdałam sobie sprawę. Tacy ludzie mają świat u stóp i nie mają żadnych problemów z przetrwaniem. Obym też taka była.

Barbieri był już w kolumbijskim Korpusie Pokoju od dwóch lat, ale wcześniej spędził

dwa w Meksyku, pracował z wieśniakami gdzieś między Ixtapa i Puerto Vallarta, a jeszcze przed Meksykiem pracował kilka miesięcy w jednej z ubogich dzielnic Managui. Był wysoki, jasnowłosy, ale opalony, i często występował bez koszuli (na jego piersi zawsze wisiał drewniany krzyżyk), za cały strój służyły mu bermudy i skórzane sandały. Powitał Elaine z piwem w ręku i talerzykiem z kukurydzianymi *arepas* o konsystencji, z jaką ona się dotąd nie spotkała. Elaine nigdy dotąd nie spotkała kogoś tak wygadanego i jednocześnie tak szczerego, i w kilka minut dowiedziała się, że on niedługo kończy dwadzieścia siedem lat, że kibicuje drużynie Cubs, że nienawidzi wódki, a to jest tu akurat problemem, że się boi, nie, wręcz czuje paniczny strach przed skorpionami i radzi Elaine, żeby kupiła sobie luźne buty i zawsze sprawdzała je przed założeniem.

– Dużo tu jest skorpionów? – zapytała Elaine.

– Może być sporo, Elaine – odpowiedział Barbieri głosem wieszczki. – Sporo.

Mieszkanie składało się z dwóch sypialni i salonu niemal pozbawionego mebli, a znajdowało się na piętrze domu o ścianach pomalowanych jasnoniebieską farbą. Na parterze działał sklepik z dwoma aluminiowymi stołami i ladą – słodycze, takie jak *panelitas de leche* czy *mantecadas*, papierosy Pielroja – a za sklepem świat jakby za sprawą magii zmieniał się w domowy i mieszkała tam para prowadząca sklep. Nazywali się Villamil; mieli nie mniej niż sześćdziesiąt lat.

– *My señores* – powiedział Barbieri, przedstawiając ich Elaine, a kiedy zdał sobie sprawę, że jego *señores* nie bardzo zrozumieli, jak brzmi imię nowej lokatorki, dodał dobrą hiszpańszczyznę: – Ona jest gringą, tak jak ja, ale nazywa się Elena.

I tak państwo Villamil zwracali się do niej, tak ją nazywali, kiedy pytali, czy ma wystarczająco dużo wody, albo kiedy prosili, żeby zajrzała na dół przywitać się z wstawionymi klientami. Elaine znosiła to ze stoickim spokojem, tęskniła za domem rodziny Laverde, wstydziła się tych myśli rozpieszczonej dziewczynki. Mimo to unikała Villamilów, kiedy tylko było to możliwe. Betonowe schody wychodzące z zewnętrznej ściany budynku pozwalały jej wchodzić, nie zostając zauważona. Barbieri, serdeczny aż do przesady, nigdy z nich nie korzystał, nie było dnia, żeby nie zajrzał do sklepu i nie opowiedział, co mu się tego dnia zdarzyło, o swoich sukcesach i porażkach, zawsze wysłuchiwał opowieści Villamilów i ich klientów, a potem z zapalem wyjaśniał tym wiekowym wieśniakom sytuację czarnoskórych w Stanach Zjednoczonych albo sens tekstu piosenki *The Mamas & The Papas*. Elaine mimo woli obserwowała go i podziwiała. Dłużej niż należało zajęło jej zrozumienie, dlaczego ten na swój sposób ekstrawertyczny i ciekawski człowiek, który gapił się na nią bezczelnie i gadał tak, jakby świat był mu coś dłużny, przypominał jej Ricarda Laverdego.

Przez dwadzieścia dni, dwadzieścia dni upałów, bo tyle trwało wiejskie szkolenie, Elaine pracowała ramię w ramię z Mikiem Barbierim, ale także z przywódcą lokalnej komórki *Acción Comunal*, niziutkim i małomównym człowieczkiem, któremu wąż zaślaniał zajęczą wargę. Dla odmiany jego imię było proste, nazywał się Carlos, po prostu Carlos; było coś hermetycznego albo groźnego w tej jego prostocie, w tym braku nazwiska, w tej aurze widmowości, w jakiej zjawiał się każdego ranka, żeby ich ze sobą zabrać, a potem wieczorem odwoził i zaraz zniknął. Elaine i Barbieri, na podstawie czegoś w rodzaju wcześniejszej umowy, jedli lunch w domu Carlosa, w przerwie między dwiema turami intensywnej pracy z wieśniakami na pobliskich drogach, rozmowami z lokalnymi politykami, zawsze bezowocnymi negocjacjami z właścicielami ziemskimi. Elaine odkryła, że cała ta praca w terenie polegała na gadaniu, uczyło się wieśniaków, jak hodować kurczaki o miękkim mięsie (trzymać w zamknięciu i nie pozwalać biegać luzem), przekonywało się polityków, że trzeba zbudować szkołę z lokalnych środków (bo na centralny rząd już nikt nie liczył), albo starało się przekonać bogatych, że to nie jest żadna

kruczata antykomunistyczna – i do tego wszystkiego trzeba było najpierw się do stołu i się napić, pić, aż słowa przestaną być zrozumiałe. *Tak więc dni spędzam, siedząc na grzbiecie zdychającego konia albo gadając z półpijanymi ludźmi*, napisała Elaine do swoich dziadków. *Ale chyba się uczyć, acz nie bardzo to czuję. Mike wyjaśnił mi, że na to jest kolumbijski idiom cogerle el tiro a algo, załapać, chwycić klimat. Zrozumieć, jak wszystko działa, umieć robić te rzeczy i tak dalej. Powiedzmy chłonąć to. Tym się zajmuję. A, jedna sprawa: nie piszcie więcej na ten adres, następny list wyślijcie do Bogoty. Stąd jadę do Bogoty i spędzę tam miesiąc, kończąc szkolenie. A potem La Dorada. Tam się zacznie na serio.*

W ostatni weekend przyjechał Ricardo Laverde. Zrobił to z zaskoczenia, wszystko sam załatwił, sam wsiadł do pociągu do La Dorady i stamtąd dostał się do Caparrapí autobusem, a potem pytał, szukał, opisywał gringos, o których obecności wszyscy oczywiście w okolicy wiedzieli. Dla Elaine nie było żadnym zaskoczeniem, że Laverde i Mike Barbieri przypadli sobie do gustu. Barbieri dał Elaine wolny dzień, żeby pokazała okolicę swojemu bogotańskiemu narzeczonemu (tak się wyraził: „bogotański narzeczony”), i powiedział, że spotkają się wieczorem na kolacji. I tego wieczoru, w kilka godzin – spędzonych, to owszem, na pastwisku, przy ognisku i w towarzystwie flaszki słabego rumu – Ricardo i Barbieri odkryli, jak wiele ich łączy, bo ojciec Barbieriego był pilotem pocztowym, a Ricardo nie lubił wódki, i ciągle się obejmowali, dyskutowali o samolotach, a Ricardowi aż jaśniała twarz, kiedy opowiadał o swoich kursach i nauczycielach, i wtedy wtrącała się Elaine, żeby pochwalić Ricarda i powtarzać pochwały wygłaszane przez innych na cześć jego lotniczego talentu, a potem Ricardo i Mike rozmawiali o Elaine, oczywiście w jej obecności, jaka to z niej fajna dziewczyna, jaka ładna, tak, bardzo ładna, te jej oczy, mówił Mike, tak, oczy przede wszystkim, przytakiwał Ricardo i śmiał się, i zwierzała się sobie z tajemnic, jakby wcale nie poznali się dopiero co, tylko byli starymi kumplami z *frat house*, i śpiewali *For she's a jolly good fellow*, i wspólnie biadolili, że Elaine musi się przenieść do innego *site*, *this site should be your site, fuck La Dorada, fuck The Golden One, fuck her all the way*, i wznosili toasty za Elaine i za *Peace Corps, for we're all jolly good fellows, which nobody can deny*. I następnego dnia, choć głowy pękały im po wczorajszym rumie, Mike Barbieri zaprowadził ich osobiście na przystanek autobusowy. Wszyscy troje dotarli konno na centralny plac w miasteczku, jak ziemianie w dawnych czasach (choć ich wierzchowce były jakimiś wychudzonymi chabetami, jakich nie dosiadłby żaden ziemianin z dawnych czasów), i na twarzy Ricarda, który uprzejmie niósł jej bagaż, Elaine dostrzegła coś, czego wcześniej nigdy nie widziała: podziw. Podziw dla niej, dla swobody, z jaką poruszała się po miejscowości, dla sympatii, jaką wzbudzała w ludziach już po trzech tygodniach, dla naturalności i zarazem bezdyskusyjnego autorytetu, z jakim porozumiewała się z tubylcami. Elaine dostrzegła ten podziw na jego twarzy i poczuła, że go kocha, że nieoczekiwanie zaczyna odczuwać nowe i intensywniejsze emocje względem tego mężczyzny, który także najwyraźniej ją kochał, i jednocześnie myślała, że dotarła do tego szczęśliwego punktu, kiedy to miejsce nie było w stanie zbytnio jej zaskoczyć. Pewnie, zawsze zdarzają się rzeczy nieprzewidziane, w Kolumbii ludzie zawsze potrafią z czymś wypalić (swoim zachowaniem, swoimi zwyczajami: nigdy się nie wie, co tak naprawdę myślą). Ale Elaine czuła się panią sytuacji.

– Zapytaj mnie, czy już chwyciłam klimat – powiedziała do Ricarda, kiedy wsiedli do autobusu.

– Chwyciłaś klimat, Elaine Fritts? – zapytał.

A ona odpowiedziała:

– Tak. Chwyciłam klimat.

Nie domyślała się, jak bardzo się myli.

V. *What's there to live for?*

Elaine będzie pamiętać te trzy ostatnie tygodnie w Bogocie w towarzystwie Ricarda Laverdego, tak jak pamięta się dni z dzieciństwa, mgłą obrazów zniekształconych przez emocje, pogmatwaną mieszaninę ważnych dat bez wyraźnej chronologii. Rutyna zajęć w CEUCA – niewiele ich już zostało, kwestia doszlifowania pewnych umiejętności, a może dopełnienia jakichś wymogów biurokratycznych – została zakłócona chaosem spotkań z Ricardem, który był w stanie zacząć się na nią za eukaliptusem, kiedy wracała do domu, albo wsunąć liścik do zeszytu, wyznaczając jej spotkanie w jakiejś podejrzanej knajpie na rogu Siedemnastej i Ósmej. Elaine zawsze stawiała się na te spotkania i we względnej samotności usytuowanych w centrum miasta kawiarni obrzucali się półlubieżnymi spojrzeniami, a potem szli do kina i siadali w ostatnim rzędzie, żeby móc się dotykać zasłonięci długim czarnym płaszczem należącym kiedyś do dziadka, bohatera wojny z Peru. Natomiast w domu, w wąskim budynku w dzielnicy Chapinero, na terytorium dona Julia i señory Glorii, ciągnęli tę fikcję, że on jest członkiem rodziny udzielającej gościny, a ona niewinną uczestniczką kursów; kontynuowali oczywiście nocne wizyty członka rodziny u uczestniczki kursów i nocne ciche orgazmy. Tak zaczęli prowadzić podwójne życie, życie sekretnych kochanków, które nie wzbudziło niczyich podejrzeń, życie, w którym Ricardo Laverde był Dustinem Hoffmanem z *Absolwenta*, a panna Fritts panią Robinson i jednocześnie jej córką, też przecież Elaine – to musiało coś oznaczać, czyż to nie zbyt wielki zbieg okoliczności? Przez te krótkie bogotańskie dni Elaine i Ricardo protestowali przy każdej okazji przeciwko wojnie w Wietnamie i jednocześnie pojawiali się jako para na imprezach organizowanych przez amerykańską kolonię w Bogocie, brali udział w wydarzeniach towarzyskich przygotowywanych najwyraźniej po to, żeby Amerykanie mogli porozmawiać w swoim języku, pytać głośno, co u kogo słyhać, albo wyciągać gitarę i śpiewać, chórem i wokół kominka, podając sobie jointa, którego starczało na dwie kolejki, piosenkę Franka Zappy:

What's there to live for?

Who needs the Peace Corps?

Te trzy tygodnie skończyły się 1 listopada, kiedy o wpół do dziewiątej rano nowe stadko ochotników ślubowało wierność statutowi Korpusu Pokoju i po tych wszystkich obietnicach i luźnych deklaracjach dobrej woli otrzymali oficjalne nominacje. Poranek był deszczowy i zimny, Ricardo włożył skórzaną kurtkę, która zmoczona deszczem zaczęła wydawać intensywną woń. *Przyszli wszyscy*, pisała Elaine do dziadków. *Wśród absolwentów pojawił się Dale Cartwright i córka Wallace'ów (ta starsza, pamiętacie). Wśród publiczności żona ambasadora i wysoki pan w krawacie, który, jeśli dobrze zrozumiałam, jest jakimś ważnym politykiem od demokratów z Bostonu.* Elaine wymieniała też wicedyrektora Korpusu Pokoju w Kolumbii (okulary à la Kissinger, płócienny krawat), władze CEUCA i nawet jakiegoś znużonego urzędnika z władz miasta, ale w żadnym momencie nie pojawiał się w liście Ricardo Laverde. Co, jak się na to spojrzy z czasowego dystansu, okazuje się dość ironiczne, bo jeszcze tego samego wieczoru, pod pretekstem złożenia gratulacji i zarazem pożegnania w imieniu całej rodziny Laverde, Ricardo zaprosił ją na kolację do restauracji El Gato Negro i w świetle marnej jakości świeczek, sprawiających wrażenie, jakby miały zaraz spaść na talerze, wykorzystując chwilę ciszy, kiedy trio smyczkowe przestało grać *Pueblito viejo*, ukląkł na środku przejścia, którym chodzili kelnerzy z muszkami, i używając zdecydowanie więcej zdań niż to konieczne, poprosił, żeby za niego wyszła. Elaine nagle pomyślała o dziadkach, żalowała, że są tak daleko i że ich wiek i zdrowie czynią podróż zupełnie niemożliwą, poczuła nagle taki smutek, który tolerujemy, bo

pojawia się w chwilach szczęścia, a kiedy smutek minął, zaczęła energicznie całować Ricarda. W trakcie całowania poczuła woń jego zmoczonej skórzanej kurtki, a usta Ricarda miały smak sosu *meunière*.

– Czy to znaczy tak? – zapytał Ricardo po pocałunku, wciąż na kolanach i wciąż przeszkadzając kelnerowi.

Elaine popłakała się w odpowiedzi, ale popłakała z uśmiechem.

– No pewnie – powiedziała. – Co to za niemądre pytanie.

Tak więc Elaine musiała odroczyć swój wyjazd do La Dorady o piętnaście dni i w tym okrutnie krótkim czasie przygotowała, z pomocą swojej przyszłej teściowej (i kiedy już ją przekonała, że nie, nie jest w ciąży), skromny i niemal tajny ślub w kościele Świętego Franciszka. Elaine bardzo spodobał się ten kościół już od początku pobytu w Bogocie, podobały się jej grube ściany z wilgotnego kamienia, i lubiła też wchodzić przez bramę od ulicy, a potem znowu wychodzić, kiedy światło gwałtownie zderzało się z mrokiem, a gwar z ciszą. Dzień przed ślubem Elaine przespacerowała się po centrum miasta (rekonesans, jak wyraziłby się Ricardo); przekraczając próg kościoła, pomyślała o ciszy, hałasie, świetle i ciemności, i jej spojrzenie padło na oświetlony ołtarz. Miejsce to wydało się jej tego dnia bardzo dobrze znane, i to nie tak, jak poznaje się wnętrze często odwiedzane, tylko w znacznie głębszy, znacznie intymniejszy sposób, jakby przeczytała niedawno jego opis w jakiejś powieści. Przyjrzała się nieśmiałym płomykom świeczek i gromnic, słabym i żółtym lampkom umocowanym na kolumnach na podobieństwo pochodni. Światło padające przez witraże oświetlało dwóch żebraków śpiących ze skrzyżowanymi nogami, z rękami złożonymi na brzuchu, jak marmurowy nagrobek jakiegoś papieża. Po prawej Chrystus naturalnych rozmiarów na czworakach, zupełnie jakby próbował tak iść; dzień, który wdzierał się na siłę przez drugie drzwi, uderzał go w twarz, i w tym świetle błyszczały ciernie korony i szmaragdowe krople potu bądź łzy Chrystusa. Elaine szła dalej, kroczyła w stronę murowanego ołtarza w głębi lewej nawy i wtedy zobaczyła klatkę. W środku, zamknięty jak zwierzę na wystawie, znajdował się drugi Chrystus, z dłuższymi włosami, bardziej żółtą skórą, ciemniejszą krwią. – To jest najlepsza rzecz w Bogocie – powiedział jej kiedyś Ricardo. – Słowo, takie Monserrate w ogóle się nie umywa. – Elaine pochyliła się, przysunęła twarz do tabliczki: „Chrystus w agonii”. Podeszła kilka kroków w stronę ołtarza, zobaczyła metalową puszkę i przeczytała: „Wrzuć ofiarę, postać się rozświetli”. Wsadziła dłoń do kieszeni, znalazła monetę i uniosła ją dwoma palcami, niczym opłatek, żeby padło na nią światło, było to jedno peso, z ciemnym rysunkiem, jakby ktoś wsadził tę monetę do ognia. Wsunęła ją w otwór. Chrystus ożył w świetle reflektorów. Elaine poczuła, a raczej zrozumiała, że będzie zawsze szczęśliwa.

Potem było wesele, które Elaine pamiętała jak przez mgłę, jakby wszystko to przytrafiło się komuś innemu. Rodzina Laverde przygotowała wszystko u siebie w domu: doña Gloria wyjaśniła Elaine, że w tak krótkim czasie nie sposób znaleźć salę w jakimś klubie czy innym przyzwoitym miejscu, ale Ricardo, który był świadkiem tych szczegółowych wyjaśnień, przytakiwał bez słowa, potem odczekał, aż jego matka się oddali, i w końcu powiedział Elaine prawdę.

– Kompletnie nie mają kasy – wyjaśnił. – Rodzina Laverde jest zadłużona po uszy.

Ta sensacja zaskoczyła Elaine znacznie mniej, niżby się spodziewała, tysiące drobnych sygnałów wyłapywanych w ciągu ostatnich miesięcy przygotowało ją na to. Ale zwróciła uwagę, że Ricardo mówi o swoich rodzicach w trzeciej osobie, jakby to bankructwo go nie dotyczyło.

– A my?

– Co my?

– Jak my sobie poradzimy? – zapytała Elaine. – Moja pensja na wiele nie starczy.

Ricardo spojrział jej w oczy, przyłożył jej dłoń do czoła, jakby sprawdzał, czy ma temperaturę.

– Na razie wystarczy – powiedział – a potem się zobaczy. Ja bym się na twoim miejscu nie przejmował.

Elaine pomyślała, że nie, że wcale się nie przejmuje. I zaczęła się zastanawiać dlaczego. I potem zapytała jego.

– Dlaczego byś się na moim miejscu nie przejmował?

– Bo pilot, taki jak ja, zawsze znajdzie pracę, Elaine Fritts. Tak to jest i nic tego nie zmieni.

Później, kiedy goście już wyszli, Ricardo zaprowadził ją do pokoju, gdzie po raz pierwszy poszli ze sobą do łóżka, posadził ją na nim (rękami szybko odsunął nieliczne prezenty ślubne) i wtedy Elaine pomyślała, że teraz będzie mówił o pieniądzach, że nie stać ich na żaden miesiąc miodowy. Ale tak się nie stało. Zawiązał jej oczy grubym i zalatującym naftaliną pasem materiału, który mógł być starym szalikiem, i powiedział:

– Od tej chwili nic nie widzisz.

I tak, na ślepo, Elaine dała się zaprowadzić najpierw po schodach w dół, usłyszała słowa pożegnania członków rodziny (wydawało się jej, że doña Gloria płacze) i nic nie widząc, wyszła na chłód nocy, wsiadła do samochodu prowadzonego przez kogoś trzeciego, przyszło jej do głowy, że to taksówka, i kiedy ruszyli, nie wiadomo dokąd, zapytała, co to wszystko znaczy, na co Ricardo odpowiedział, że ma być cicho i nie psuć niespodzianki. Elaine czuła, że taksówka się zatrzymuje i że otwiera się okno, słyszała, że Ricardo się przedstawia i ktoś pozdrawia go z szacunkiem, a potem otwiera się jakaś duża brama wydająca metaliczne odgłosy. Wysiadając kilka sekund później z taksówki, poczuła pod stopami wyboisty grunt, a podmuch chłodnego wiatru rozczochrał jej włosy.

– Będą schody – powiedział Ricardo. – Teraz powoli, żebyś nie spadła.

Ricardo przytrzymał jej głowę, tak jak się robi, żeby ktoś nie uderzył się w niski sufit, tak policjanci chronią aresztantów, żeby nie uderzyli się w ramę drzwi podczas wsiadania do radiowozu. Elaine pozwalała się prowadzić, dłonią dotknęła jakiegoś nowego materiału, który szybko okazał się obiciem fotela, i poczuła coś twardego przy kolanie, i kiedy siadała, w jej głowie pojawiła się pewna myśl, pierwsza wyraźna myśl dotycząca tego, gdzie jest i co się zaraz stanie. I utwierdziła się w tych podejrzeniach, kiedy Ricardo zaczął rozmawiać z wieżą kontrolną, a awionetka zaczęła kołowanie, ale Ricardo pozwolił jej zdjąć zasłonę z oczu dopiero później, kiedy już wystartowali, i wtedy Elaine znalazła się twarzą w twarz z horyzontem, światem, którego nigdy wcześniej nie widziała, skąpanym w świetle, jakiego też nigdy wcześniej nie widziała, to samo światło zalewało twarz Ricarda, który poruszał rękami nad urządzeniami sterowniczymi i sprawdzał wszystkie przyrządy (kręcące się wskazówki, kolorowe światełka), z czego ona nic nie rozumiała. Lecieli do bazy Palanquero, w Puerto Salgar, kilka kilometrów od La Dorady. To był jego ślubny prezent, te minuty spędzone na pokładzie wynajętej awionetki, cenny skylark, którą załatwił mu dziadek, żeby pan młody mógł zaimponować pannie młodej. Elaine pomyślała, że to chyba najlepszy możliwy prezent i że nigdy żaden ochotnik z Korpusu Pokoju nie dotarł na miejsce swojego przeznaczenia samolotem. Powiew wiatru potrząsnął awionetką. Potem wylądowali.

To moje nowe życie, pomyślała Elaine. Właśnie wylądowałam w nowym życiu.

I tak rzeczywiście było. Miesiąc miodowy zlał się z początkiem pracy w *permanent site*, pierwszy małżeński seks nałożył się na pierwsze zadania nowej wolontariuszki: pierwsze starania, by skanalizować dotąd zaniedbane osiedla, pierwsze spotkania z przedstawicielami Acción Comunal. Elaine i Ricardo pozwolili sobie na luksus, na koszt CEUCA, spędzenia kilku

nocy w zajeździe turystycznym w La Doradzie, otoczeni rodzinami z Bogoty albo hodowcami bydła z Antioquii, i tych kilka dni wystarczyło im, żeby znaleźć jednopiętrowy dom za rozsądną cenę. Dom – ewidentna poprawa, teraz, kiedy byli małżeństwem, w porównaniu z klitką w Caparrapí – był łososiowej barwy i miał ziemne patio, dziewięć metrów kwadratowych, którym nikt się od dawna nie zajmował, więc Elaine od razu się do niego wzięła. Odkryła, że teraz, w jej nowym życiu, poranki nabrały innego sensu, i budziła się o pierwszym brzasku tylko po to, żeby poczuć świeży powiew porannej bryzy, zanim jeszcze najgorszy skwar zaatakuje dzień. *Kąpię się wcześniej i w zimnej wodzie*, napisała do dziadków, *i to ja, która tak narzekałam na brak ciepłej wody w Bogocie. Do kąpieli używa się tu totuma, takich naczyń ze skorupy owocu. Przesyłam zdjęcie*. Jednego z pierwszych dni załatwiła sobie coś, co miało okazać się sprawą kluczową: konia, żeby móc jeździć do sąsiednich wiosek. Nazywał się Tapahueco, ale wypowiedzenie tego imienia kosztowało Elaine tyle wysiłku, że przechrzciała go w końcu i wołała Truman. Zwierzę poruszało się w trzech prędkościach: bardzo powoli, truchtem i wyścigowym galopem. *Za pięćdziesiąt pesos na miesiąc*, pisała Elaine, *jeden wieśniak opiekuje się nim, karmi go i codziennie przyprowadza o ósmej rano. Mam odciski na tyłku i bolą mnie wszystkie mięśnie ciała, ale jeżdżę coraz lepiej. Truman umie więcej ode mnie i bardzo mi pomaga. Dobrze się rozumiemy i to jest ważne. Z koniem człowiek uczy się lepiej zarządzać czasem. Nie trzeba na nikim innym polegać i taniej wychodzi. Nie jestem może jeszcze jedną z Siedmiu Wspaniałych, ale zapalu mi nie brak*.

Zadbała także o nawiązywanie kontaktów; z pomocą opuszczającego placówkę ochotnika, chłopaczka z Ohio, którym Elaine od pierwszej chwili pogardzała (miał brodę jak filmowy apostoł, ale pozbawiony był jakiegokolwiek inicjatywy), ułożyła listę trzydziestu osób: pojawił się tam ksiądz, głowy najbardziej wpływowych rodzin, burmistrz, właściciele ziemscy z Bogoty i Medellín, coś w rodzaju nieobecnej władzy, bo mieli tu ziemię, ale nigdy się nie pojawiali, utrzymywali się z nich, ale nigdy nie płacili podatków. Elaine narzekała na to wieczorami, w małżeńskim łóżu, a potem narzekała, że w Kolumbii wszyscy obywatele politykują, ale żaden polityk nie robi nic dla obywateli. Ricardo, który zachowywał się jak ktoś, kto wszystko już wie i przeżył, jawnie się z niej naśmiewał i nazywał ją naiwną, łatwowierną i nierozważną gringą, a kiedy już nacieszył się tymi jej społecznikowskimi i misjonarskimi zapędami, ambicjami dobrej samarytanki w Trzecim Świecie, przybierał niezdolnie paternalistyczną minę i nucił z fatalnym akcentem: *What's there to live for? Who needs the Peace Corps?* I im bardziej Elaine się oburzała, bo sarkazm tej piosenki przestał ją dawno bawić, z tym większym zapałem śpiewał on:

I'm completely stoned,

I'm hippy and I'm trippy,

I'm a gypsy on my own.

Go fuck yourself, odpowiadała mu, a on doskonale rozumiał.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem, po długim i absurdalnym spotkaniu z miejscowym lekarzem, Elaine dotarła do domu, marząc o kąpieli i zmyciu z siebie tego kurzu i potu, i okazało się, że mają gościa. Zmierzchało, słabe światła w oknach sąsiednich domów zaczynały się zapalać. Przywiązała Trumana do najbliższego słupka i obchodząc dom dookoła, weszła do środka od ogrodu, przez kuchnię, i kiedy szukała puszki z coca-colą w styropianowej lodówce, usłyszała pierwsze głosy. Jako że dobiegały z salonu, a nie z pokoju, i jako że były to głosy męskie, domyślała się, że to pewnie jakiś znajomy, który wpadł niezapowiedziany, żeby o coś poprosić gringę. Zdarzało się tak już wcześniej: Kolumbijczykom, narzekała Elaine, wydaje się, że zadanie Korpusu Pokoju polega na tym, żeby robić to wszystko, czego tubylcom się nie chce albo uznają to za trudne. „To jest kolonialna mentalność”, mawiał zwykle Ricardo, kiedy

poruszali ten temat. „Tyle lat przyzwyczajenia, że ktoś inny za nas wszystko robi, tak łatwo się nie zaciera”. Nagle myśl, że trzeba będzie się z tym kimś przywitać, że trzeba będzie wymienić kilka banalnych zdań, pytać o rodzinę i dzieci, wyciągnąć rum albo piwo (bo nigdy się nie wiedziało, kiedy dana osoba może okazać się przydatna, a w Kolumbii sprawy załatwia się nie pracą, tylko przez przyjaźń, prawdziwą bądź udawaną), sprawiła, że poczuła ogromne zmęczenie. Ale wtedy w jednym z głosów usłyszała specyficzny akcent, ton, który wydawał się jej jakby znajomy, i kiedy zajrzała do salonu, wciąż się jeszcze nie ujawniając, rozpoznała najpierw Mike’a Barbieriego, a potem, niemal od razu, Carlosa, człowieka z zajęczą wargą, który tak im pomógł w Caparrapí. Wtedy mężczyźni najwyraźniej usłyszeli ją, bo wszyscy odwrócili jednocześnie głowy.

– No, wreszcie – zawołał Ricardo. – Chodź, chodź, nie stój tam. Oni tu przyjechali do ciebie.

Znacznie później, wspominając ten dzień, Elaine nie przestawała się dziwić, skąd miała tę pewność, choć przecież nie było na to żadnego dowodu czy powodu, że Ricardo nie powiedział prawdy. Nie, wcale nie przyjechali do niej. Elaine pojęła to w tej samej chwili, w której wypowiedziane zostały te słowa. To przez ten dreszcz, przez tę niezręczność, z jaką Carlos podał jej rękę, nie patrząc w oczy, przez niepokój i nieufność, z jakimi przywitał się z nią Mike Barbieri, z jakimi pytał, jak się ma, jak tam leci, dlaczego nie pojawiła się na ostatnim zebraniu regionalnym. Ricardo siedział w wiklinowym fotelu bujanym, który kupili po dobrej cenie na targu z rękodziełem; dwaj goście wybrali drewnianą ławkę. Pośrodku, na szklanym blacie, leżały papiery, które Ricardo zebrał szybkim ruchem ręki, ale Elaine dostrzegła na jednym z nich chaotyczny rysunek, coś jakby dużą ektoplazmę w kształcie kontynentu południowoamerykańskiego, tak jakby kontynent ów narysowało dziecko.

– No cześć, co robicie? – zapytała Elaine.

– Mike spędzi z nami święta – powiedział Ricardo.

– O ile nie masz nic przeciwko – dodał Mike.

– Nie, jasne, że nie – odparła Elaine. – Sam będziesz?

– Tak, sam – potwierdził. – Mając was dwoje, nikogo więcej nie potrzebuję.

Wtedy Carlos wstał i wskazał palcem na swoją ławkę, jakby ustępując Elaine miejsca, i wymamrotał coś, co mogło, ale nie musiało, być pożegnaniem, pomachał dłonią z grubymi palcami i ruszył w stronę drzwi. Na plecach wykwitła mu wielka plama potu. Elaine zmierzyła go wzrokiem z góry na dół i zauważyła, że pasek miał nierówno zapięty, zobaczyła jego starannie wyprasowane spodnie i zwróciła uwagę na hałas, jaki robiły jego sandały, oraz na szarawy odcień skóry na jego piętach. Mike Barbieri został chwilę dłużej, tyle, ile zajęło mu wypicie dwóch rumów z colą i opowiadanie o tym, jak to pewien wolontariusz z Sacramento przyjechał spędzić z nim *Thanksgiving* i nauczył go dzwonić do Stanów za pomocą *ham radio*. To czary, istne czary. Trzeba było znaleźć jakiegoś radioamatora na miejscu i drugiego w Stanach, zaprzyjaźnionych na tyle, żeby się zgodzili pożyczyć aparat i połączyć się, i tak można było od razu porozmawiać z rodziną, nie płacąc nawet dolara, ale spokojnie, wszystko jest legalne, żadnych przekrętów, a nawet jeśli jednak troszkę tak, to tyle, co nic, co to ma za znaczenie, on sam rozmawiał ze swoją młodszą siostrą, z kumplem, któremu wisiał pieniądze, i nawet ze swoją dziewczyną z czasów uniwersyteckich, która kiedyś wyrzuciła go ze swojego życia, a teraz, z dystansu czasowego i geograficznego, wybaczyła mu nawet najgorsze grzechy. I wszystko za darmo, czy to nie jest niesamowite?

Mike Barbieri spędził z nimi Wigilię i także resztę świąt, a potem jeszcze cały tydzień, sylwestra i Nowy Rok, a drugiego stycznia pożegnał się z nimi jak z rodziną, ze łzami w oczach, obściskując ich ze wzruszeniem i wygłaszając długie frazy dziękczynne o gościnności,

towarzystwie, serdeczności i rumie z coca-colą. Dla Elaine dni te wyraźnie się dłużyły, bo jakoś nie mogła się przekonać do świąt bez ozdób i skarpet wiszących nad kominkiem i cały czas nie mogła do końca pojąć, jak to się stało, że ten szalony jankes tak wrósł w ich życie. Jednak Ricardo sprawiał wrażenie wniebowziętego: „To mój zaginiony brat”, powtarzał, obejmując Mike’a. Wieczorami, już po kilku kolejkach, Barbieri wyciągał trawkę i skręcał jointa, Ricardo włączał wentylator i w trójkę dyskutowali o polityce, o Nixonie i Rojasie Pinilli, o Misaelu Pastranie i Edwardzie Kennedym, którego samochód przebił się przez barierkę i wpadł z mostu do wody, i o Mary Jo Kopechne, biednej dziewczynie, która mu towarzyszyła i utonęła w tym wypadku. W końcu Elaine, wyczerpana, szła się położyć. Dla niej, tak samo jak dla wieśniaków z jej terenu, ostatni tydzień roku wcale nie był wolny, więc w ciągu tych dni wychodziła z domu wcześniej, żeby dotrzeć w porę na spotkania. Kiedy wracała wieczorem, brudna i sfrustrowana brakiem postępów, z obolałymi łydkami po tych godzinach spędzonych na grzbiecie Trumana, Ricardo i Mike czekali na nią z już prawie gotowym jedzeniem. A po posiłku znów to samo: okna otwarte na oścież, rum, marihuana, Nixon, Rojas Pinilla, Mare Tranquillitatis i jak się zmieni życie, śmierć Ho Szi Mina i jak się zmieni wojna.

W pierwszy roboczy poniedziałek 1970 roku – był to dzień suchy, ciężki i upalny, tak bardzo słoneczny, że niebo wydawało się białe, a nie niebieskie – Elaine wyjechała na grzbiecie Trumana w stronę Guarinocito, gdzie budowano szkołę i miała tam odbyć rozmowę na temat programu wykorzeniania analfabetyzmu, który regionalni wolontariusze zaczęli koordynować; kiedy skręcała za rogiem, wydało się jej, że dostrzega z oddali Carlosa i Mike’a Barbieriego. Kiedy wróciła wieczorem, Ricardo miał dla niej nowinę: załatwili mu pracę, będzie musiał wyjechać na kilka dni. Chodziło o przetransportowanie jakichś telewizorów z San Andrés, łatwizna, ale będzie musiał przenocować u celu. Tak się wyraził, „u celu”. Elaine ucieszyła się, że wreszcie zaczęły pojawiać się jakieś zlecenia dla Ricarda, może rzeczywiście nie będzie tak ciężko zarobić na życie jako pilot. *Wszystko u mnie dobrze*, pisała Elaine na początku lutego. *Pewnie sto razy łatwiej jest pilotować samolot, niż doprowadzić do współpracy lokalnych polityków*. I dodała: *I to jeszcze jak się jest kobietą*.

A dalej:

Nauczyłam się jednej rzeczy: ponieważ ludzie ze wsi przyzwyczajeni są do tego, że im się wydaje polecenia, zaczęłam zachowywać się jak patrón. Z przykrością stwierdzam, że to daje efekty. Tym sposobem udało mi się doprowadzić do tego, że kobiety z Victorii (to jedna z tutejszych wiosek) zażądały od lekarzy rozpoczęcia kampanii na rzecz żywienia i higieny dentystrycznej. Tak, to dziwnie tak razem wygląda, ale odżywianie się wyłącznie wodą z cukrem trzcinowym każdemu może zniszczyć zęby. Więc tyle mi się przynajmniej udało. Nie jest to wiele, ale zawsze coś na początek.

Ricardo za to jest cały szczęśliwy. Jak dziecko w sklepie z zabawkami. Zaczęły mu spływać zlecenia, nie za dużo, ale wystarczająco. Nie ma jeszcze wylatanych godzin na pilota zawodowego, ale to nawet lepiej, bo mniej bierze, więc go chętniej wybierają (w Kolumbii wszystko, co poniżej kosztów, jest lepsze). Pewnie, mniej się widujemy. Wstaje skoro świt, leci z Bogoty i ta robota zabiera mu cały dzień. Czasami nawet musi nocować w swoim starym domu, u rodziców, w drodze w tamtą stronę albo powrotnej, albo i wtedy, i wtedy. A ja tu sama. Czasami to strasznie przygnębiające, ale nie mam prawa się skarżyć.

Ricardo dostawał zlecenia sporadycznie, więc między dniami roboczymi miał całe tygodnie wolnego, toteż popołudniami, kiedy Elaine wracała sfrustrowana jałowymi próbami naprawy świata, Ricardo zdążył już się wynudzić, i to wynudzić fest, że aż łapał swoją skrzynkę z narzędziami i dom nabierał wyglądu, jakby był dopiero w budowie. W marcu Ricardo zbudował dla Elaine łazienkę na ziemnym patio, które zdążyło się już zmienić w mały ogród,

było to drewniane pomieszczenie przytulone do zewnętrznej ściany budynku, w którym Elaine mogła wziąć kąpiel w wodzie z ogrodowego węża pod nocnym niebem. W maju zbudował szafę na narzędzia i założył w niej potężną kłódkę, żeby zniechęcić ewentualnego złodzieja. W lipcu niczego nie zbudował, bo nie było go częściej niż normalnie; po rozmowie z Elaine postanowił wrócić do aeroklubu, żeby zdobyć licencję pilota zawodowego, co pozwoliłoby mu na przewożenie towaru oraz, co najważniejsze, pasażerów.

– To będzie dla nas ważny krok – powiedział.

Żeby dostać licencję, musiał wylatać jeszcze prawie sto godzin, nie licząc dziesięciu godzin szkolenia u boku doświadczonego pilota, więc w poniedziałki wyjeżdżał do Bogoty (spał w domu u rodziców, wysłuchiwał wieści od rodziców, opowiadał o swoim życiu nowożeńca, wszyscy wznosili toasty i się cieszyli) i wracał do La Dorady w piątek wieczorem, pociągiem, autobusem, a raz wynajętą taksówką.

– Przecież to tyle kosztuje – powiedziała Elaine.

– Nieważne – odpowiedział – chciałem cię zobaczyć. Chciałem zobaczyć moją żonę.

Pewnego piątku wrócił po północy, i to nie autobusem czy pociągiem, ani nawet nie taksówką, tylko białą terenówką, która zaburzyła spokój ulicy rykiem silnika i mocnym światłem z reflektorów.

– Już myślałam, że nie przyjedziesz – powiedziała Elaine. – Późno już, martwiłam się. – Kiwnęła głową w stronę auta. – A czyje to?

– Podoba ci się? – zapytał Ricardo.

– To terenówka.

– No tak – odpowiedział. – Ale czy ci się podoba?

– Jest duża – stwierdziła Elaine. – Biała. I hałaśliwa.

– No więc to jest prezent dla ciebie – oświadczył Ricardo. – Wesołych świąt.

– Przecież mamy czerwiec.

– Nie, nie, jest grudzień. Nie widać, bo pogoda się nie zmienia. Powinnaś wiedzieć, skoro taka już z ciebie Kolumbijka.

– Ale skąd to masz? – zapytała Elaine, akcentując spółgłoski. – Przecież nie możemy sobie...

– Zbyt wiele pytań. To jest koń, Eleno Fritts, tyle że szybciej jeździ i jeśli pada, nie zmokniesz. No chodź, przejedziemy się.

Był to nissan patrol model 68, jak dowiedziała się Elaine, i oficjalnie kolor nie był biały, tylko – uwaga, uwaga – kość słoniowa. To jednak interesowało ją mniej niż boczne drzwi i miejsce dla pasażerów, tak duże, że można by tam materac położyć na podłodze. Tyle że nie było to konieczne, ponieważ dwa siedzenia były składane, z beżową tapicerką, tak że można by na tym położyć bardzo wygodnie dziecko. Przedni fotel przypominał coś w rodzaju wielkiej kanapy, Elaine rozsiadła się w nim i zobaczyła długi drążek do zmiany biegów wychodzący z podłogi, z czarną gałką z zaznaczonymi trzema biegami, zobaczyła białą deskę rozdzielczą i pomyślała, że przecież nie jest biała, tylko w kolorze kości słoniowej, zobaczyła czarną kierownicę, którą Ricardo zaczął kręcić, i złapała za uchwyt na wewnętrznej części drzwi. Nissan ruszył ulicami La Dorady i szybko wyjechał na szosę. Ricardo skręcił na Medellín.

– Sprawy dobrze się układają – powiedział wtedy.

Nissan zostawił w tyle światła miasteczka i wjechał z ciemną noc. W świetle reflektorów wyłaniały się bujne drzewa rosnące przy drodze, pies z błyszczącymi oczami przebiegający trwożliwie przez asfalt, kałuża błyszczącej wody, od której odbijał się blask. Noc była wilgotna i Ricardo uchylił szyby, żeby powiew ciepłego wiatru dostał się do wnętrza.

– Sprawy dobrze się układają – powtórzył.

Elaine patrzyła na jego profil, widziała skupienie na jego twarzy. Ricardo próbował jednocześnie patrzeć na nią i nie tracić panowania nad kierownicą na tej drodze pełnej niespodzianek (mogły się pojawić jakieś nieuważne zwierzęta, dziury w nawierzchni przypominające małe kratery, jakiś pijak na rowerze).

– Sprawy dobrze się układają – powtórzył po raz drugi.

I właśnie kiedy Elaine pomyślała: Chce mi coś dać do zrozumienia. Właśnie kiedy miała się wystraszyć tej deklaracji jakby wynurzającej się z mroku, właśnie kiedy miała zmienić temat, z obawy czy strachu, Ricardo przemówił głosem, w którym nie było miejsca na wątpliwości:

– Chcę mieć dziecko.

– Czyś ty zwariował? – wykrzyknęła Elaine.

– Dlaczego?

Elaine zaczęła gestykulować.

– Bo dziecko oznacza wydatki. Bo jestem ochotniczką w Korpusie Pokoju i pieniędzy starcza mi ledwie na przeżycie. Bo najpierw muszę wywiązać się z obowiązków wolontariatu. – „Wolontariat”: wymówienie tego słowa kosztowało ją dużo wysiłku, jakby jechała krętą szosą, i przez chwilę miała wrażenie, że się pomyliła. – A ja to lubię – powiedziała w końcu – lubię to, co robię.

– Ale możesz robić to dalej – odparł Ricardo. – Potem.

– A gdzie będziemy mieszkać? Nie możemy mieć dziecka w tym domu.

– No to się przeprowadzimy.

– Ale za co? – pytała Elaine, a w jej głosie pobrzmiwało coś bliskiego irytacji.

Przemawiała do Ricarda tak, jak się przemawia do upartego dziecka: – Nie wiem, na jakim żyjesz świecie, *dear*, ale takich decyzji nie można podejmować bez namysłu. – Chwyciła swoje długie włosy. Potem poszperała w kieszeni, wyjęła gumkę i spięła włosy w kucyk, żeby ochłodzić sobie spocony kark. – Na dziecko nie można się decydować bez namysłu. *You just don't, you don't.*

Ricardo nie odpowiedział. W kabinie zapadła gęsta cisza, słychać było tylko nissana, ryk jego silnika, szum opon toczących się po wyboistej nawierzchni. Po boku pojawiła się nagle szeroka łąka. Elaine miała wrażenie, że dostrzega kilka krów leżących pod drzewem, biel ich rogów odcinała się na jednolitej czerni trawy. W oddali z niskiej mgły wynurzały się skały. Nissan sunął po nierównej drodze, świat poza oświetlonym skrawkiem był szary i granatowy, i wtedy nagle droga wpadła w coś w rodzaju brunatnozielonego tunelu, korytarza z drzew, których gałęzie stykały się na górze jak dach gigantycznej świątyni. Elaine miała na zawsze zapamiętać ten widok, tę tropikalną roślinność całkowicie ich otaczającą i zakrywającą niebo, bo to w tej chwili Ricardo opowiedział jej – tym razem ze spojrzeniem utkwionym w szosie, ani razu nie oglądając się na Elaine, wręcz unikając jej wzroku – o interesach, jakie prowadzili z Mikiem Barbierim, o przyszłości, jaka czeka ich biznes, i o planach, jakie na tej podstawie snuje.

– Ja nie improwizuję, Elaine Fritts – powiedział. – O tym wszystkim myślałem naprawdę długo. Wszystko jest zaplanowane do ostatniego szczegółu. Inna sprawa, że ty aż do dziś nie wiedziałas o tych planach, no ale jeszcze nie była twoja kolej. Teraz jest. Wszystko ci wytłumaczę. I potem mi odpowiesz, czy możemy sobie pozwolić na dziecko, czy nie. Umowa stoi?

– Tak – odpowiedziała Elaine. – Stoi.

– No dobra. Opowiem ci, o co chodzi z marihuaną.

I opowiedział. Opowiedział o zamknięciu w zeszłym roku granicy meksykańskiej (dążenia Nixona do ochrony Stanów Zjednoczonych przed zalewem trawką); opowiedział o dystrybutorach, których interesy zostały zagrożone, o setkach pośredników, których klienci nie zamierzają czekać i zaczynają rozglądać się za czymś innym; opowiedział o Jamajce, najbliższej

alternatywie dla konsumentów, ale przede wszystkim o Sierra Nevada w regionie La Guajira, w dolinie Magdaleny. Opowiadał o ludziach, którzy przyjechali w ciągu ostatnich miesięcy z San Francisco, z Miami, z Bostonu w poszukiwaniu wiarygodnych współników w interesie o pewnym zysku – i mieli szczęście: znaleźli Mike’a Barbieriego. Elaine pomyślała przez chwilę o kierowniku ochotników z Caldas, członku jednego z kościołów episkopalnych z South Bend, stan Indiana, który już zbojkotował szkolenia z wychowania seksualnego w terenach wiejskich, ciekawe, co by na to powiedział? Ale Ricardo przemawiał dalej. Mike Barbieri, tłumaczył, to ktoś znacznie więcej niż współnik, to autentyczny pionier. Nauczył wieśniaków wielu rzeczy. Razem z innymi wolontariuszami mającymi pojęcie o rolnictwie uczył miejscowych różnych technik, gdzie zasiać, żeby góry chroniły uprawy, jakich używać nawozów, jak rozdzielić pędy żeńskie od męskich. I teraz, no teraz miał pod kontrolą jakieś dziesięć czy piętnaście hektarów nawadnianych gruntów pod Medellín i był w stanie wyprodukować jakieś czterysta kilo z każdego zbioru. Kompletnie odmienił życie wieśniaków, co do tego nie ma cienia wątpliwości, zarabiali lepiej niż kiedykolwiek, i to przy mniejszym wysiłku, a wszystko to dzięki ziołu, dzięki temu, co z ziołem się dzieje.

– Pakują to do plastikowych woreczków, worki ładuje się do samolotu, powiedzmy dla przykładu, do dwusilnikowej cessny. Ja przejmuję samolot, wylatuję nim, kiedy jest załadowany jednym towarem, i wracam załadowany innym. Mike płaci, powiedzmy, jakieś dwadzieścia pięć dolarów za kilo. W sumie dziesięć tysięcy, i to tylko jeśli towar jest pierwszej jakości. Żeby nie wiem jak źle poszło, z każdej podróży wraca się z sześćdziesięcioma, siedemdziesięcioma tysiącami, czasem więcej. Ile można zaliczyć lotów? Sama policz. W każdym razie chcę przez to powiedzieć, że jestem im potrzebny. Ja po prostu okazałem się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu we właściwym czasie, taki łut szczęścia. Ale teraz to już nie jest kwestia szczęścia. Potrzebują mnie, stałem się nieodzowny, to się dopiero zaczyna. Bo to ja wiem, gdzie można lądować i skąd startować. Ja wiem, jak ładować te samoloty, ile uniosą, jak rozłożyć ładunek, jak ukryć zbiorniki z paliwem w kadłubie, żeby móc dłużej latać. I nie wyobrażasz sobie, Eleno Fritts, nie wyobrażasz sobie, jak to jest, kiedy się startuje nocą, jaka to jest dawka adrenaliny, kiedy startuje się nocą nad górami, z rzeką w dole błyszczącą jak aluminiowa blacha, jak strumień roztopionego srebra. Rzeką Magdalena w księżycową noc to najbardziej niesamowity widok, jaki można zobaczyć. I nie masz pojęcia, jak to wygląda z góry, kiedy się nad tym leci, potem znajdujesz się nad morzem, nad bezkresną powierzchnią morza, jeszcze przed świtem, i oglądasz wschód nad morzem, horyzont, który rozpala się jak ogień, światło tak jasne, że blaskiem z miejsca człowieka oślepia. Na razie leciałem tak tylko kilka razy, ale znam już drogę, znam wiatry i odległości, znam zwyczaje samolotu tak dobrze, jakby to był ten samochód, który prowadzę. I tamci zdają sobie z tego sprawę. Że mogę wystartować samolotem skąd chcę i wylądować gdzie chcę, wystartować na dwóch metrach nadbrzeża i posadzić go na kamienistej pustyni w Kalifornii. Potrafię przemknąć tam, gdzie radary nie łapią, bez względu na to, jakie to będzie trudne, moim samolotem dam radę. Cessna czy jaki tam chcesz beechcraft, jakkolwiek. Jeśli jest jakaś pusta przestrzeń, którą można się prześlizgnąć, znajdę ją i poprowadzę samolot. Jestem dobry, Eleno Fritts, bardzo dobry. I będę coraz lepszy, z każdym lotem. Aż strach pomyśleć.

Pewnego dnia pod koniec września, w ciągu tygodnia przedwczesnych deszczy, w których wyniku wezbrały potoki i część gospodarstw domowych była zagrożona, Elaine wzięła udział w regionalnym spotkaniu ochotników, w siedzibie Korpusu Pokoju w Manizales, i właśnie uczestniczyła w dość ożywionej debacie na temat warunków funkcjonowania spółdzielni lokalnych rzemieślników, kiedy poczuła coś w brzuchu. Nie zdążyła nawet dojść do drzwi, pozostali wolontariusze zobaczyli, jak kuca, podpierając się ręką o oparcie krzesła, i wymiotuje

galaretowatą i żółtawą masą na czerwone płytki podłogi. Koledzy chcieli zaprowadzić ją do lekarza, ale ona się nie zgodziła („nic mi nie jest, babskie sprawy, dajcie spokój”), a kilka godzin później pojawiła się incognito w pokoju 225 hotelu Escorial i zadzwoniła do Ricarda, żeby po nią przyjechał, bo nie ma siły, by wsiąść do autobusu. Czekać na niego, wyszła na spacer w okolice katedry i usiadła na ławce na placu Bolívara, a potem patrzyła na przechodzące dzieci w mundurkach, starszych ludzi w ponchach, sprzedawców z wózkami. Podszedł do niej młody chłopak ze skrzynką pod pachą i zaproponował, że jej wypastuje buty, a ona skinęła potakująco, żeby nie zdradzić się swoim akcentem. Omiotła spojrzeniem plac i zastanawiała się, ile osób rozpoznałoby ją po wyglądzie, że jest gringą, kto by powiedział, że dopiero od roku mieszka w Kolumbii, że wyszła za Kolumbijczyka, że jest w ciąży. Potem, z butami tak błyszczącymi, że niebo nad Manizales odbijało się w ich czubkach, wróciła do hotelu, napisała list na hotelowej papeterii i położyła się, żeby przemyśleć możliwe imiona. Nic jej nie przyszło do głowy: zanim się zorientowała, zapadła w sen. Nigdy nie czuła takiego zmęczenia jak tego popołudnia.

Kiedy się obudziła, Ricardo leżał obok, spał rozebrany. Nie słyszała, jak przyszedł. Była trzecia nad ranem, co to za portierzy i strażnicy pracują w tym hotelu? Jakim prawem wpuścili kogoś do jej pokoju, nie pytając jej o zgodę? Jak Ricardo udowodnił, że to jego żona, że ma prawo wejść do jej łóżka? Elaine wstała i utkwiała spojrzenie w jakimś punkcie na ścianie, żeby nie wróciły mdłości. Wychyliła się przez okno, zobaczyła opustoszały róg placu, przyłożyła dłoń do brzucha i rozplakała się cicho. Pomyślała, że pierwsze, czym musi zająć się po powrocie, będzie znalezienie jakiegoś domu dla Trumana, bo przez najbliższe miesiące, a może nawet cały rok, nie będzie jej wolno jeździć konno. Tak, najpierw to, a potem trzeba będzie rozejrzeć się za innym domem, takim rodzinnym. Zastanawiała się, czy musi uprzedzić kierownika ochotników, a może nawet zadzwonić do Bogoty. Uznała, że to nie jest konieczne, będzie pracować, póki siły pozwolą, a potem się okaże. Popatrzyła na Ricarda śpiącego z otwartymi ustami. Podeszła do łóżka i palcami uniosła prześcieradło. Zobaczyła jego uśpiony penis, kręcone włosy (jej były gładkie). Przyłożyła dłoń do krocza, potem do brzucha, jakby w odruchu ochronnym. *What's there to live for?*, pomyślała nagle i zanuciła w myślach: *Who needs the Peace Corps?* I potem znów zasnęła.

Elaine pracowała tak długo, jak dała radę. Jej brzuch urósł w ciągu pierwszych miesięcy więcej, niż się można było spodziewać, ale nie licząc nagłego zmęczenia, które zmuszało ją do odsypiania długich sjeś w południe, ciąża nie odmieniła specjalnie jej nawyków. Jednak inne rzeczy uległy zmianom. Elaine zaczęła odczuwać upał i wilgoć jak nigdy wcześniej; właściwie to zaczęła mieć świadomość swojego ciała, które przestało być ciche i dyskretne i z dnia na dzień zaczęło rozpaczliwie zwracać na siebie uwagę, jak jakiś nastolatek z kłopotami, jak pijak. Elaine nie cierpiała tego nacisku, który wywierała jej własna masa na jej łydki, nie cierpiała tego napięcia w udach za każdym razem, kiedy wspinała się po byle schodkach, nie cierpiała swoich sutków, niegdyś małych, które tak lubiła, a które teraz powiększyły się i nagle pociemniały. Zawstydzona, z poczuciem winy, zaczęła unikać zebrań, tłumacząc, że nie czuje się dobrze, i szła do hotelu dla bogaczy, żeby spędzić popołudnie na basenie dla samej przyjemności oszukiwania grawitacji choćby na kilka godzin, żeby poczuć w chłodnej wodzie, jak jej ciało znów staje się tak lekkie, jak zawsze było wcześniej.

Ricardo troskliwie się nią zajmował; przez całą ciążę poleciał tylko raz, ale musiał być to spory ładunek, bo wrócił ze sportową torbą – syntetyczna skóra ciemnoniebieskiej barwy z białą pumą skaczącą ku górze – wypełnioną plikami tak czystych i błyszczących dolarów, że wyglądały na fałszywe, jak jakieś wydrukowane podróbki służące do gry planszowej. Nie tylko torbę miał wypchaną, ale jeszcze pokrowiec na raketę, ten model miał doszytą dodatkową kieszeń. Ricardo schował to do szafy zamykanej na kłódkę, tej, którą sam zbudował, i kilka razy

w miesiącu jeździł do Bogoty, żeby wymieniać dolary na pesos. Elaine wprost nadskakiwał. Zawoził i odwoził ją nissanem, towarzyszył jej podczas wizyt u lekarzy, przyglądał się, jak wchodzi na wagę, i obserwował niepewną wskazówkę, a potem notował w kajeciku nowy wynik, jakby ten zapisany przez lekarza był mniej precyzyjny albo niewiarygodny. Towarzyszył jej także przy obowiązkach służbowych; jeśli trzeba było budować szkołę, ochoczo łapał za kielnię i brał się do murowania ścian albo woził żwir taczkami, albo własnoręcznie naprawiał uszkodzone sito; jeśli trzeba było porozmawiać z ludźmi z Acción Comunal, on siadał gdzieś z tyłu i przysłuchiwał się coraz lepszej hiszpańszczyźnie swojej żony, i czasami podpowiadał jakieś słówko, które jej umknęło. Kiedyś Elaine musiała odwiedzić lokalnego działacza z Doradla, mężczyznę o obfitym wąsie i w koszuli rozpiętej aż po pępek, któremu mimo potoczystej mowy wioskowego gaduły nie udawało się uzyskać zgody na kampanię szczepień przeciw polio. Kwestia biurokracji, sprawy toczyły się powoli, a dzieci nie mogą czekać. Rozstali się z poczuciem, że nic z tego nie będzie. Elaine z wysiłkiem wspięła się do terenówki, opierając się o uchwyt po wewnętrznej stronie drzwi, i już wygodnie się usadziła, kiedy usłyszała, jak Ricardo mówi:

- Poczekaj chwileczkę, zaraz wracam.
- A dokąd idziesz?
- No... zaraz wracam, poczekaj sekundkę.

I zobaczyła, że wraca, mówi coś do mężczyzny w rozpiętej koszuli i obaj znikają za drzwiami. Cztery dni później, kiedy do Elaine doszła informacja, że kampania zyskała aprobatę w rekordowym czasie, wyobraziła sobie tę scenę: Ricardo sięga do kieszeni i wydobywa mały zadatek dla urzędników publicznych, obiecując, że będzie więcej. Mogła sprawdzić swoje podejrzenia, zapytać Ricarda i domagać się prawdy, ale ostatecznie zrezygnowała. W końcu cel został osiągnięty. Dzieci, trzeba myśleć o dzieciach. Dzieci są najważniejsze.

Od trzydziestego tygodnia ciąży, kiedy rozmiar brzucha okazał się realną przeszkodą w pracy, Elaine otrzymała specjalną zgodę od kierownika ochotników, a potem zwolnienie wydane przez zarząd Korpusu Pokoju z Bogoty, na którego potrzeby musiała przesłać raport medyczny zredagowany kiepsko i pośpiesznie przez młodzieniaszka, który odbębniał rok pracy w terenie właśnie w La Doradzie i który chciał, choć nie miał pojęcia o położnictwie i nie było żadnego medycznego powodu, zbadać jej krocze. Elaine, która na tym etapie wizyty była już półnaga, odmówiła i nawet się zezłościła, ale pierwsze, co pomyślała, to że nie może powiedzieć nic Ricardowi, bo jego reakcje bywają nieprzewidywalne. Ale potem, kiedy wracała nissanem do domu i patrzyła na profil swojego męża, na jego dłonie o długich palcach porośnięte ciemnymi włoskami, poczuła przyplływ pożądania. Prawa ręka Ricarda spoczywała na drążku zmiany biegów; Elaine złapała go za nadgarstek, rozchyliła nogi i ręka zrozumiała, ręka Ricarda zrozumiała. Do domu dojechali bez słowa, wślizgnęli się do środka jak złodzieje, spuścili żaluzje, zamknęli drzwi na zasuwę. Ricardo zdjął ubranie, rzucając je byle jak na podłogę, nie martwiąc się, że obleżą je mrówki. Elaine tymczasem położyła się na boku na łóżku, twarzą w stronę białej zasłony i widocznego na niej prostokąta światła. Światło dnia było tak silne, że nawet spuszczone żaluzje przepuszczały blask; Elaine spojrzała na swój brzuch wielki jak półksiężyc, na gładką i letnią skórę, na fioletową biegnącą od góry do dołu linię, jakby narysowaną pisakiem, i na niewyraźne cienie rzucane przez jej nabrzmiałe piersi na prześcieradło. Pomyślała, że nigdy wcześniej jej piersi nie rzucały na nic cienia, i wtedy nagle zniknęły pod dłońmi Ricarda. Elaine poczuła, że jej pociemniałe sutki twardnieją pod dotykiem jego palców, a potem poczuła usta Ricarda na ramieniu, a jeszcze chwilę później, że wchodzi w nią od tyłu. I tak, przywierając do siebie jak dwa klocki lego, uprawiali seks ostatni raz przed porodem.

Maya Laverde przyszła na świat w klinice Palermo w Bogocie w czerwcu 1971 roku,

mniej więcej w tym samym czasie, kiedy prezydent Nixon w publicznym wystąpieniu po raz pierwszy użył sformułowania „wojna z narkotykami”. Elaine i Ricardo wprowadzili się trzy tygodnie wcześniej do domu państwa Laverde, mimo protestów Elaine.

– Jeśli klinika w La Doradzie jest dobra dla ubogich matek – mówiła – nie wiem, dlaczego nie ma być dobra dla mnie.

– Ech, Eleno Fritts – odpowiadał Ricardo – mogłabyś wyświadczyć mi przysługę i przestać zmieniać świat choć na chwilę?

Potem okazało się, że miał rację. Dziewczynka urodziła się z jakimiś problemami jelitowymi i trzeba było szybko operować, no i wszyscy się zgadzali, że w wiejskiej klinice nie byłoby ani chirurgów, ani urzędzeń medycznych, które gwarantowałyby dziecku przeżycie. Maya pozostawała pod obserwacją przez kilka dni, była w inkubatorze, którego ściany, kiedyś przezroczyste, teraz zrobiły się matowe i porysowane jak zbyt często używane szklanki; kiedy trzeba było nakarmić małą piersią, Elaine siadała na krześle przy inkubatorze, pielęgniarka wyciągała dziecko i podawała je matce. Pielęgniarka była dojrzałą kobietą o obfitych biodrach, wydawało się, że celowo przedłuża ten moment, żeby potrzymać Mayę na rękach. Uśmiechała się do niej z taką słodyczą, że Elaine po raz pierwszy poczuła zazdrość, i zdumiało ją, że coś takiego – groźna obecność innej matki, dzika reakcja krwi – jest możliwe.

Krótko po tym, jak małą wypisano ze szpitala, Ricardo musiał wylecieć w trasę. Było jednak za wcześnie na powrót do La Dorady, myślał, że Elaine i jego córka miałyby zostać same, napawała go przerażeniem, toteż Ricardo zaproponował, żeby zatrzymały się w Bogocie, w domu rodziców, pod opieką dońi Glorii oraz kobiety o ciemnej skórze i długim warkoczem, która przemieszczała się po domu jak duch, sprząając i porządkując wszystko na swojej drodze.

– Gdyby pytali, powiedz, że przewożę kwiaty – powiedział jej Ricardo. – Goździki, róże, nawet storczyki. Tak, storczyki, to brzmi dobrze, storczyki się eksportuje, wszyscy o tym wiedzą. Wy, jankesi, uwielbiacie storczyki.

Elaine się uśmiechnęła. Leżeli w tym samym ciasnym łóżku, w którym po raz pierwszy się kochali. Była pierwsza albo druga nad ranem; zbudziła ich Maya, płakała o mleko, krzyczała tym swoim nosowym i cienkim głosikiem, uspokoiła się dopiero, kiedy sterczący sutek matki znalazł się w jej malutkiej buzi. Chwilę possała, a potem zasnęła między nimi, zmuszając ich tym samym do balansowania na krawędzi; i tak siedzieli, połową ciała poza łóżkiem, twarzą w twarz, ale po ciemku, tak że ledwie mogli dostrzec swoje sylwetki w mroku. Kompletnie odechciało im się spać. Dziecko spało. Elaine wdychała słodki zapach talku, mydła, wełny. Podniosła rękę i przesunęła po twarzy Ricarda, jak niewidoma, a potem zaczęli rozmawiać szeptem.

– Chcę z tobą polecieć – powiedziała Elaine.

– Kiedyś – odparł Ricardo.

– Chcę zobaczyć, co robisz. Czy to nie jest niebezpieczne. Powiedziałbyś mi, gdyby było?

– Pewnie.

– Mogę o coś zapytać?

– Pytaj.

– Co się stanie, jeśli cię złapią?

– Nie złapią mnie.

– Ale gdyby złapali?

Głos Ricarda się zmienił, zabrzmiał w nim falset, coś sztucznego.

– Ludzie chcą tego towaru. Inni ludzie go produkują. Mike daje, ja zawożę samolotem, ktoś przejmuję, i koniec. Dajemy ludziom to, czego chcą. – Zamilkł na chwilę i dodał: – Poza tym to zostanie zalegalizowane prędzej czy później.

– Ale ja lubię sobie ciebie wyobrażać – powiedziała Elaine. – Kiedy cię nie ma, próbuję

sobie wyobrazić, co robisz, gdzie, i nie mogę. I to mi się nie podoba.

Maya westchnęła, tak krótko i cicho, że przez chwilę nie wiedzieli, co to.

– Coś się jej śni – stwierdziła Elaine. Patrzyła, jak Ricardo przysuwa swoją szeroką twarz – twardy podbródek, mocne usta – do małej główki dziecka, patrzyła, jak całuje ją bezgłośnie raz i drugi.

– Moja dziewczynka – powiedział. – Nasza dziewczynka.

I wtedy, nagle, bez żadnego przejścia, zaczął opowiadać o tych lotach, o fermie z bydlęm nad Magdaleną, na której terenach będzie można zbudować lotnisko, o cessenie 310 skynight, która od jakiegoś czasu była ulubionym wehikułem Ricarda. Tak mówił:

– Mój ulubiony wehikuł. Takich modeli już nie robią, Eleno Fritts, to coś stanie się relikwią, zanim się zdążymy zorientować. – Opowiadał też o samotności, jaką czuje w trakcie lotu, i jaka to wielka różnica, kiedy się leci samolotem załadowanym i pustym. – Robi się zimniej, jest więcej hałasu, człowiek czuje się bardziej samotny. Nawet jeśli ktoś tam jest. Nawet wtedy. – Opowiadał o tym, jak wielkie jest Morze Karaibskie, i o strachu, że się człowiek może zgubić, o strachu przed samą świadomością, że można zgubić się nad czymś tak wielkim jak morze, nawet u kogoś, kto, jak on, nigdy się nie gubi. Opowiadał o tym, że nadlatując nad Kubę, musi zmienić trasę. – Żeby mnie nie zestrzelili, biorąc za jakiegoś jankesa – wyjaśnił. I o tym, jak znajome, jak zaskakująco znajome wydaje mu się od tego momentu wszystko, zupełnie jakby wracał do domu, a nie miał zaraz lądować w Nassau.

– W Nassau? – zapytała Elaine. – Na Bahamach?

– Tak – odpowiedział Ricardo – jest tylko jedno Nassau.

I mówił dalej, że tam na lotnisku, gdzie znajdowali się kontrolerzy, którzy obserwowali, ale nic nie widzieli (ich wzrok i pamięć ulegały stosownej korekcie pod wpływem kilku tysięcy dolarów), czekał na niego oliwkowy pick-up chevrolet i przypakowany gringo, wykapany Joe Frazier, zawoził go do hotelu, którego jedynym luksusem było to, że nikt nie zadawał pytań. Przylatywał zawsze w piątek. Spędzał tam dwie noce – ich sens polegał na tym, żeby nie budzić podejrzeń, żeby Ricardo udawał jednego z tych milionerów, którzy przylatują tu spędzić weekend z przyjaciółmi albo kochankami, a po dwóch nocach spędzonych w zamknięciu w tym nudnym hotelu na popijaniu rumu i jedzeniu ryżu z rybami Ricardo wracał na lotnisko, znów zdumiewała go ślepotą kontrolerów, prosił o zgodę na start w stronę Miami, jak każdy milioner wracający do domu z kochanką, i po kilku minutach leciał przez przestworza, tyle że nie w kierunku Miami, tylko zawracając od strony plaż Beaufort, przelatując nad siatką rzek przypominających układ krwionośny z jakiejś anatomicznej ryciny. Potem pozostawała wymiana towaru na dolary, a następnie leciał dalej, biorąc kurs na południe, na karaibskie wybrzeże Kolumbii, na Baranquillę i szare wody Bocas de Ceniza, i tego brunatnego węża, który wije się na zielonym tle, w głąb lądu, w stronę miasta, tego miasteczka położonego między dwoma łańcuchami gór, spoczywającego w szerokiej dolinie. Miasteczko wygląda jak kostka, która wypadła graczowi, to miasteczko o nieznosnym klimacie, gdzie gorące powietrze wypala człowiekowi nozdrza, gdzie owady potrafią przegryźć się przez moskitierę i gdzie Ricardo leci z sercem na dłoni, bo tu czekają na niego dwie najukochańsze osoby na świecie.

– Ale tych dwóch osób nie ma w tym miasteczku – powiedziała Elaine. – Są tutaj, w Bogocie.

– Ale nie na długo.

– One tu umierają z zimna. Mieszkają w nie swoim domu.

– Ale nie na długo – powtórzył Ricardo.

Cztery dni później przyjechał po nie. Zaparkował nissana przed bramą i ceglanym murkiem, wysiadł pośpiesznie, jakby tym parkowaniem zakłócał ruch, i otworzył przed Elaine

drzwiczki terenówki. Ona, z Mayą owiniętą w białe pieluszki i z twarzą zasłoniętą, żeby jej nie zawiało, zatrzymała się.

– Nie, z przodu nie – powiedziała. – My, kobiety, jedziemy z tyłu.

Usiadła na jednym z rozkładanych tylnych siedzeń, z małą na rękach i nogami opartymi o drugie siedzenie, i patrząc na Ricarda od tyłu (włoski na jego karku, pod linią równo wystrzyżonych włosów, wyglądały jak trójkątne nóżki stołu), przejechała tak drogę do La Dorady. Zatrzymali się tylko raz, w połowie trasy, w restauracji przy szosie, gdzie na tarasie z gładkiego betonu stały trzy wolne stoliki. Elaine weszła do łazienki i zastała tam owalną dziurę w podłodze oraz zagłębienia w kształcie stóp wskazujące, gdzie należy stanąć; wysikała się, kucając, podkasując oburącz spódnice i czując woń własnego moczu; i tam zdała sobie sprawę, nie bez lekkiego poczucia strachu, że to pierwszy raz od porodu, kiedy nie ma wokół siebie żadnych kobiet. Znalazła się sama w męskim świecie, ona i Maya, same, nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy, mieszkała w Kolumbii ponad dwa lata i nigdy o tym nie pomyślała.

Kiedy zjechali do doliny Magdaleny i zrobiło się upalnie, Ricardo otworzył oba okna; teraz nie dało się rozmawiać, tak więc prosty odcinek drogi do La Dorady przejechali w milczeniu. Po obu stronach grunt zrobił się płaski, pojawiły się skały przypominające leżące hipopotamy, pasące się krowy, sępy zataczające kręgi w powietrzu, które widziały i czuły coś, czego Elaine nie czuła ani nie widziała. Poczula, że najpierw jedna, a potem druga kropla potu spływa jej po boku i zatrzymuje się na biodrze, wciąż dość obfitym; Maya też się zaczęła pocić, Elaine odchyliła więc pieluszki i pogłaskała ją palcem po tłusciutkich udkach, fałdkach bladej skóry i przez chwilę zapatrzyła się w te szare oczy, które na nią nie patrzyły, a może raczej patrzyły, tyle że z taką samą czujną nieuwagą jak na wszystko inne. Kiedy podniosła wzrok, ujrzała pejzaż, którego nie знаła. Wjechali do miasteczka i przegapiła ten moment? Czy Ricardo chciał coś załatwić po drodze? Zawołała z tyłu:

– Gdzie jesteśmy, co się dzieje?

Ale on nie odpowiedział, może hałas zagłuszył jej pytanie. Zjechali z głównej szosy i teraz poruszali się między pastwiskami po trasie wyjeżdżonej przez inne samochody, pod drzewami nieprzepuszczającymi światła, obok terenów zagrodzonych płotem: drewniane paliki – niektóre tak się przechylały, że prawie dotykały ziemi – drut kolczasty, który czasami służył kolorowym ptakom za miejsce do siadania.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Elaine. – Małej jest gorąco, chcę ją wykapać. – Wtedy nissan się zatrzymał, przestało wiać przez okna i tropikalny upał uderzył z całej siły. – Ricardo?

On nie patrząc na nią, obszedł samochód i otworzył jej drzwi.

– Wsiadaj – powiedział.

– Dlaczego? Gdzie jesteśmy, Ricardo? Musimy jechać do domu, chce mi się pić, małej też.

– Wsiadź na sekundę.

– I chce mi się sikać.

– To będzie moment – powiedział. – Wsiadź, proszę.

Usłuchała. Ricardo podał jej rękę, ale wtedy zdał sobie sprawę, że Elaine ma przecież ręce zajęte. W tej sytuacji położył dłoń na jej plecach (Elaine poczuła pot, którym przesiąkła jej koszula) i zaprowadził ją do krawędzi ścieżki, gdzie płot zmieniał się w drewnianą bramę, prostokąt zbudowany z cienkich pni. Ricardo z dużym wysiłkiem otworzył tę konstrukcję.

– Wejdz – powiedział do Elaine.

– Gdzie? – zapytała. – Na to pastwisko?

– To nie jest pastwisko, tylko dom. Nasz dom. Tyle, żeśmy go jeszcze nie zbudowali.

– Nie rozumiem.

– Sześć hektarów, z dojściem do rzeki. Zapłaciłem połowę, druga za sześć miesięcy. Zaczynamy budowę, jak się zdecydujesz.

– Zdecyduję na co?

– Jak ma wyglądać twój dom.

Elaine spojrzała jak najdalej się dało i zdała sobie sprawę, że tylko mroczny cień gór ogranicza widoczność. Ziemia, ich ziemia, opadała lekko, a dalej, za drzewami, robiła się pochyła i schodziła z boczem w dół doliny, do koryta Magdaleny.

– Niemożliwe – powiedziała.

Poczuła gorąco na czole i na policzkach, wiedziała, że wyszły jej rumieńce na twarz. Spojrzała na bezchmurne niebo. Zamknęła oczy, nabrała powietrza w płuca; poczuła, albo tak się jej wydawało, powiew wiatru na twarzy. Podeszła do Ricarda i go pocałowała. Krótka, bo Maya zaczęła płakać.

Nowy dom miał ściany białe jak niebo w południe, a taras wyłożony był gładkimi i jasnymi płytkami, tak czystymi, że można było na nich dostrzec rządki mrówek wspinających się po ścianie. Budowa przeciągnęła się ponad miarę, częściowo dlatego, że Ricardo chciał w niej aktywnie brać udział, częściowo dlatego, że teren nie miał doprowadzonych instalacji i nawet hojne łapówki wręczane na lewo i prawo przez Ricarda nie były w stanie przyspieszyć prac nad doprowadzeniem prądu i wody (odpływ ścieków nie wchodził w grę, ale ze względu na bliskość rzeki łatwo było zrobić tam porządne szambo). Ricardo zbudował stajnię na dwa konie, gdyby Elaine miała w przyszłości ochotę wrócić do jazdy konnej; zbudował basen i kazał przygotować brodzik dla Mai, choć mała jeszcze nawet nie chodziła; kazał posadzić rodzime drzewa tam, gdzie nie było cienia, i spokojnie przyglądał się, jak mimo protestów Elaine robotnicy malują dolną część pni palm na biało. Zbudował też dwanaście metrów od domu szopę, a w każdym razie on tak to nazywał, bo ściany budowli też były z betonu, równie wytrzymałe jak ściany domu, i tam, w czymś na kształt lochu bez okien, w trzech szafach zamykanych na kłódkę, miał trzymać szczelne torby wypchane banknotami po pięćdziesiąt i sto dolarów, mocno ściągniętymi gumkami. W 1973 roku, krótko przed powstaniem Drug Enforcement Agency, Ricardo kazał wypalić na szerokiej desce nazwę posesji: Villa Elena. Kiedy Elaine skomentowała, że to piękne, ale nie ma gdzie zamontować tak wielkiej tablicy, Ricardo zlecił budowę murowanej bramy, dwie kolumny pokryte stiukiem i wapnem oraz daszek z ceramicznymi dachówkami, i tam kazał powiesić napis na dwóch żelaznych łańcuchach, sprawiających wrażenie, jakby je wydobyto z zatopionego wraku. Potem kazał wstawić drewniane drzwi malowane na zielono, wielkości człowieka, z dobrze naoliwioną zasuwą. Był to dodatek zbyteczny, bo można było łatwo prześlizgnąć się między drutami, żeby dostać się na posesję, ale dzięki temu Ricardo mógł wylatywać w trasę z poczuciem – nieuzasadnionym i nawet śmiesznym – że jego rodzina jest chroniona.

– Chroniona przed czym? – spytała Elaine. – Co nam się tu może przytrafić, skoro wszyscy nas tu kochają?

Ricardo spojrział na nią z tym jego paternalizmem, którego nie znosiła, i powiedział:

– Nie zawsze tak będzie.

Ale Elaine zdała sobie sprawę, że tak naprawdę chciał powiedzieć coś innego, że mówi jej coś innego.

Znacznie później, wspominając te czasy z córką albo i na własny użytek, Elaine musiała się zgodzić, że te trzy monotonne i rutynowe lata, które nastąpiły po budowie domu Villa Elena, były jej najszcześniejszymi latami w Kolumbii. Zawładnięcie tą ziemią, którą kupił Ricardo, przyzwyczajenie się do myśli, że należy do nich, nie było łatwe: Elaine często wychodziła na spacer między palmy, siadała w altance i popijała zimny sok, rozmyślając jednocześnie nad tym,

jak potoczyło się jej życie, o olbrzymiej czeluści, jaka otwierała się między jej korzeniami a aktualnym losem. Potem szła dalej – nawet w pełnym słońcu, nie przejmowała się tym – w stronę rzeki i patrzyła na sąsiednie hacjendy, na wieśniaków w klapkach zrobionych ze starych opon, którzy okrzykami przeganiali bydło, ich osobiste i niemożliwe do pomylenia głosy jak najprawdziwsze linie papilarne. Para, która teraz dla niej pracowała, wcześniej utrzymywała się z wypasania cudzego bydła. Teraz czyścili jej basen, utrzymywali całą parcelę w dobrym stanie (oliwili zawiasy w drzwiach, likwidowali jakieś gniazda w pokoju małej), przygotowywali potrawy z ryb albo zupę *sancocho* na weekendy. Idąc przez pastwiska, stawiając mocno kroki, bo słyszała, że tak się odstrasza węże, Elaine cieszyła się, że może pracować na rzecz tych wieśniaków, choć zajmowała się tym przez mniej czasu, niż planowała, i wtedy, niczym cień, niczym cień sępa lecącego zbyt nisko, przychodziła jej do głowy myśl, że zmieniła się w to, z czym jako wolontariuszka Korpusu Pokoju walczyła do upadłego.

Korpus Pokoju. Elaine odnowiła kontakt z biurem w Bogocie, kiedy uznała, że może już zostawiać Mayę w dobrych rękach i wrócić do pracy; wicedyrektor Valenzuela wysłuchał przez telefon jej wyjaśnień, pogratulował nowej rodziny i poprosił o telefon za kilka dni, bo musi się skontaktować ze Stanami, żeby nie naruszyć protokołu. Kiedy Elaine zadzwoniła ponownie, sekretarka poinformowała ją, że wicedyrektor musiał nagle wyjechać, że zadzwoni po powrocie, ale mijały dni i nikt nie dzwonił. Elaine nie dawała się jednak zbić z tropu i pewnego dnia osobiście odszukała ludzi z Acción Comunal, którzy przyjęli ją tak, jakby od ostatniego spotkania nie minął nawet dzień, i w parę godzin wciągnęła się w dwa nowe projekty: spółdzielni rybackiej i budowy latryn. Podczas godzin spędzanych z przywódcami lokalnymi – albo z rybakami, albo na popijaniu piwa na tarasach w La Doradzie, bo tak tu się załatwiało interesy – zostawiała Mayę z synkiem swojej kucharki albo zabierała ją do pracy, żeby pobawiła się z miejscowymi dziećmi, ale nie mówiła tego Ricardowi, który miał bardzo wyraźne zdanie na temat swobodnego mieszania się klas społecznych. Zaczęła mówić po angielsku, żeby jej córka załapała ten język, i Maya z całkowitą naturalnością porzucała hiszpański, kiedy zwracała się do niej, wchodząc w każdy ze swoich dwóch języków z łatwością, z jaką się przechodzi z zabawy do zabawy. Wyrosła na żwawą, bystrą i śmiałą dziewczynkę; miała długie i wąskie brwi, cechowała ją bezpośredniość, która rozbrajała każdego, ale miała też swój własny świat i często znikwała gdzieś w krzakach, żeby wrócić z jaszczurką złapaną do słoika albo kompletnie naga, bo solidarnie zostawiła swoje ubranie na jakimś jajku. Mniej więcej wtedy Ricardo wracając z jednego z wypadów na Bahamy, przywiózł jej pancernika w klatce wypełnionej świeżymi odchodami. Nigdy nie powiedział, jak go zdobył, ale przez kilka dni opowiadał Mai to, co najwyraźniej opowiadano i jemu: pancernik mieszka w norach, które wygrzebuje własnymi łapami, pancernik zwija się w kulkę, kiedy się boi, pancernik jest w stanie wytrzymać ponad pięć minut pod wodą. Maya przyglądała się zwierzęciu z taką samą fascynacją – uchylone usta, ściągnięte brwi – z jaką słuchała ojca. Po kilku dniach, w które dziewczynka zrywała się z łóżka o świcie, żeby nakarmić zwierzaka, spędzała długie godziny przy nim, trzymając rączkę na jego chropowatym pancerzu, Elaine zapytała:

– No a jak się nazywa twój pancernik?

– Nie ma imienia – odpowiedziała Maya.

– Jak to nie? Jest twój. Musisz go jakoś nazwać.

Maya podniosła głowę, spojrzała na Elaine i zamrugła dwa razy.

– Mike – powiedziała. – Mój pancernik nazywa się Mike.

I tak Elaine dowiedziała się, że Barbieri wpadł do nich z wizytą kilka tygodni wcześniej, wtedy gdy ona razem z szefem regionalnym zajmowała się projektami bez szans na powodzenie. Ricardo niczego jej nie powiedział. Dlaczego? Zapytała go przy pierwszej okazji, a on zakończył

temat czterema prostymi słowami:

– Bo mi się zapomniało.

Elaine nie odpuszczała.

– Ale po co przyjechał? – pytała.

– Przywitać się, Eleno Fritts – odparł Ricardo. – I możliwe, że jeszcze wpadnie, więc się nie zdziw. Przecież to nasz przyjaciel.

– To wcale nie jest nasz przyjaciel.

– Mój tak – odpowiedział Ricardo. – Moim przyjacielem jest.

Tak jak Ricardo zapowiadał, Mike Barbieri objawił się ponownie. Ale okoliczności wizyty wcale nie były lepsze. W kwietniu 1976 roku intensywne opady deszczu doprowadziły do katastrofy: w ubogich dzielnicach wszystkich miast waliły się domy, grzebiąc mieszkańców, na górskich drogach osuwający się grunt blokował ruch i odcinał miejscowości od świata, w jednym przypadku doszło do okrutnego paradoksu: osada, bez kanalizacji, pozbawiona wody, doświadczyła wprost biblijnego potopu. Rzeka La Miel wylała i Elaine z Ricardem pracowali przy kopaniu rowów, które miały odprowadzić wodę z zalanych domów. Na ekranach telewizorów prezenterki prognozy pogody mówiły o pasatach, o zamieszaniu z prądami morskimi Pacyfiku, o huraganach z idiotycznymi imionami, które już zaczynały tworzyć się nad Morzem Karaibskim, i o tym, jaki to wszystko ma związek z ulewami spadającymi na Villa Elena, zaburzającymi rytm domu oraz ich codziennego życia, bo wilgoć była taka, że pranie nigdy nie wysychało, a studzienki ściekowe zatykały się liśćmi i utopionymi owadami, taras trzy czy cztery razy zalewała woda i Elaine z Ricardem musieli zrywać się w środku nocy i przystępować do obrony – uzbrojeni raptem w szmaty i miotły – przed wodą, która zaczynała wdzierać się do jadalni. Pod koniec miesiąca Ricardo poleciał w trasę i Elaine sama musiała walczyć w żywiołem. Potem wracała do łóżka, próbowała się chwilę przespać, ale bez powodzenia, więc włączała znów telewizor, żeby gapić się jak zahipnotyzowana w ekran, na którym padał inny deszcz, deszcz elektryczny w bieli i czerni, bo szum odbiornika działał na nią wyjątkowo kojąco.

Dzień, w którym Ricardo miał wrócić, minął, ale Ricarda nie było. Nie pierwszy raz się to zdarzało – dwu-, a nawet trzydniowe opóźnienia były częścią układu, w pracy Ricarda normalną były nieprzewidziane zdarzenia – więc nie było się czym przejmować. Elaine zjadła ryż z rybą i kilka plasterków smażonego banana, a potem położyła Mayę, przeczytała jej parę stron *Małego Księcia* (te o narysowanym baranku. Maya zaśmiewała się przy nich do rozpuku), a kiedy dziewczynka obróciła się na bok i zasnęła, Elaine z rozpędu czytała dalej. Lubiła ilustracje Saint-Exupéry’ego i lubiła, bo przypominał jej Ricarda, ten fragment, kiedy Mały Książę pyta pilota, co to za przedmiot, na co pilot odpowiada: „To nie przedmiot. To lata. To samolot. To mój samolot”. I czytała właśnie o tym, jak Mały Książę zareagował, jak pyta pilota, czy on też spadł z nieba, kiedy nagle usłyszała hałas silnika i męski głos, powitanie, sygnał. Jednak kiedy wyszła, zamiast na Ricarda natknęła się na Mike’a Barbieriego, który przyjechał na motorze, ubłocony od stóp do głów, włosy przyklejone do czoła, koszula przyklejona do piersi, nogi, plecy i ramiona pokryte grubymi plackami świeżego błota.

– Czy ty wiesz, która jest godzina? – spytała Elaine.

Mike Barbieri stał na tarasie, ociekając wodą, i pocierał ręce. Ciemnozielony wojskowy płaszcz rzucił na bok, jak zdechłego psa, i patrzył na Elaine zupełnie bez wyrazu, tak jak wieśniacy, pomyślała Elaine, którzy patrzą niewidzącym spojrzeniem. Po kilku długich sekundach jakby się przebudził, wyszedł ze snu, w który zapadł podczas jazdy.

– Jadę z Medellín. Nie spodziewałem się, że tak mnie zleje. Zaraz mi ręce z zimna odpadną. Nie wiem, jakim cudem w tak ciepłym kraju może być tak zimno, świat się kończy.

– Z Medellín – powiedziała Elaine i to wcale nie zabrzmiało jak pytanie. – Widziałeś się z Ricardem.

Mike Barbieri miał coś powiedzieć (ona doskonale wyczuwała, że coś zamierza powiedzieć), ale się powstrzymał. Przestał się w nią wpatrywać, tylko prześlizgnął się wzrokiem, jak papierowy samolot, nad nią; Elaine obróciła się, żeby zobaczyć, o co chodzi, i natknęła się na Mayę, małą zjawę w szydełkowanej koszuli nocnej. W jednym ręku trzymała pluszaka – długouchego królika w baletowej sukience, która kiedyś była biała – a drugą ręką odsuwała mahoniowe włosy z twarzy.

– *Hello, beautiful* – odezwała się Elaine. – Co się stało? Zbudziliśmy cię? Nie możesz zasnąć?

– Pić mi się chce – powiedziała Maya. – Dlaczego przyszedł wujek Mike?

– Mike się widział z tatą. Idź do pokoju, zaraz ci przyniosę wody.

– A tata przyjechał?

– Nie, nie przyjechał. Ale Mike nas wszystkich odwiedził.

– Mnie też?

– Tak, też. Ale musisz iść spać, pożegnaj się, zobaczycie się kiedy indziej.

– Dobranoc, wujku Mike.

– Dobranoc, kochanie – odpowiedział Mike.

– Śpij spokojnie – dodała Elaine.

– Strasznie wyrosła – stwierdził Mike. – Ile ona ma lat?

– Pięć. Zaraz skończy pięć.

– O kurczę. Ale ten czas leci.

Ta banalna uwaga zirytowała Elaine. Zirytowała bardziej, niż powinna, prawie ją uraziła, to zabrzmiało jak zniewaga, ale natychmiast ta irytacja zmieniła się w zaskoczenie: zaskoczenie nieproporcjonalną reakcją, dziwnością tej sceny z Mikiem Barbierim, tym, że jej córka nazwała go wujkiem. Poprosiła Mike'a, żeby poczekał, bo podłoga w domu była zbyt śliska, żeby wchodzić w mokrych butach, można sobie zrobić krzywdę; przyniosła mu ręcznik z łazienki dla służby i poszła po szklankę do kuchni. Wujek Mike, myślała, *what's he doing here?* i pomyślała to też po hiszpańsku: Co on, *carajo*, tu robi?, i nagle znów wróciła ta piosenka, *What's there to live for? Who needs the Peace Corps?*. Kiedy weszła do pokoju Mai i wciągnęła powietrze przesycone tym jedynym w swoim rodzaju zapachem, poczuła niewyjaśnioną chęć spędzenia nocy z małą i pomyślała, że później, jak Mike już sobie pójdzie, zanieśie ją do swojego łóżka i będą razem czekać na Ricarda. Maya znów zasnęła. Elaine pochyliła się nad łóżkiem, spojrzała na nią, prawie przytknęła nos i wciągnęła wydechane przez małą powietrze.

– Mam tu wodę. Chcesz wody?

Jednak dziewczynka nie odpowiedziała. Elaine odstawiła szklankę na stoliku nocnym, obok nakręcanej karuzeli, na której konik z urwaną głową powoli, ale niestrudzenie ścigał klauna. A potem wróciła na korytarz.

Mike energicznie wycierał się ręcznikiem, tarł sobie kostki i łydki.

– Całkiem to ubłocę – powiedział na widok Elaine. – To znaczy ręcznik.

– Po to jest – odparła Elaine. A potem dodała: – Czyli przyjechałeś zobaczyć się z Ricardem?

– Tak – odpowiedział. Popatrzył na nią tym samym nieobecny wzrokiem. – Tak – powtórzył. Znów na nią spojrzął. Elaine widziała krople ściekające mu po karku, brodę, z której lało się jak z zepsutego kranu, błoto. – Chciałem zobaczyć się z Ricardem. Widzę, że go nie ma, nie?

– Miał dziś wrócić. Czasami tak bywa.

– Czasami się spóźnia.

– Tak, bywa. W końcu nie lata według harmonogramu. Wiedział, że wpadniesz?

Mike nie odpowiedział od razu. Skupiał się na sobie, na ubłoconym ręczniku. Na zewnątrz, w ciemności nocy, w mroku, który zlewał się ze skałami i zdawał się nie mieć końca, znowu zaczęło lać.

– No chyba tak – odpowiedział Mike. – Może to mnie się coś pomyliło. – Ale mówiąc, nie patrzył na nią, wycierał sobie ciało ręcznikiem i miał wciąż ten nieobecny wyraz twarzy, jak kot myjący się językiem. I wtedy Elaine pomyślała, że Mike może tak się wycierać do końca świata, jeśli ona czegoś nie zrobi.

– No dobra, wejdź, siądź, napijesz się czegoś? – zapytała więc. – Rumu?

– Tak, ale bez lodu – odpowiedział. – Może się rozgrzeję, wierzyć się nie chce, że tak zimno.

– Chcesz jakąś koszulę Ricarda?

– No to nie jest zły pomysł, Eleno Fritts. Tak do ciebie mówi, nie? Elena Fritts. Tak, koszula to zdecydowanie dobry pomysł.

I tak, w koszuli, która nie była jego (z krótkimi rękawkami i w niebieskie kwadraty na białym tle, na piersi kieszonka z oderwanym guzikiem), Mike Barbieri wypił nie jeden, a cztery rumy. Elaine tylko mu się przyglądała. Czowała się przy nim swobodnie: tak, to trafne określenie, swobodnie. Może to przez język, powrót do języka, a może wspólne odniesienia i brak konieczności tłumaczenia sobie pewnych rzeczy, tak typowej w relacjach z Kolumbijczykami. Przebywanie w jego towarzystwie miało w sobie coś wyraźnie rodzinnego, jakby powrót do domu. Elaine także piła i czuła, że ma towarzystwo, czuła też, że Mike Barbieri towarzyszy jej córce. Rozmawiali o swoim kraju i o jego polityce, tak jak przed laty, kiedy Mai jeszcze nie było i nie było też posesji Villa Elena, i opowiadali sobie o losach swoich rodzin, a także o najnowszych wiadomościach, i było to przyjemne i swobodne, tak jak włożenie wełnianego swetra w zimowy wieczór. Choć trudno określić, dlaczego przyjemna jest rozmowa o dwudolarowym banknocie, który właśnie wypuszczono w kraju, o obchodach dwustu lat niepodległości, o Sarze Jane Moore, rozkojarzonej kobiecie, która chciała zabić prezydenta. Przystało padać i na zewnątrz, w ciemności, powiewał rześki wiatr niosący zapach hibiskusów. Elaine poczuła się lekko, poczuła się jak w rodzinie, więc nawet przez chwilę się nie zastanawiała, kiedy Mike Barbieri zapytał, czy ma tu gdzieś gitarę, a po kilku sekundach już ją stroił i zabierał się do śpiewania piosenek Dylana i Simona i Garfunkela.

Musiała być druga albo trzecia nad ranem, kiedy zdarzyło się coś, co nie uderzyło Elaine (jak stwierdziła później) tak, jak powinno. Mike śpiewał tę część *America*, w której para wsiada do autobusu Greyhound, kiedy na zewnątrz rozległ się jakiś hałas, gdzieś w oddali, w tej nocnej ciszy, i psy zaczęły ujadać. Elaine otworzyła oczy i Mike przestał grać, oboje zamilkli, nasłuchując ciszy.

– Spokojnie, tu się nigdy nic złego nie dzieje – powiedziała Elaine, ale Mike już wstał, odnalazł swój zielony wojskowy płaszcz i wydobyl z niego duży srebrny pistolet, a w każdym razie Elaine wydawało się, że jest duży i srebrny, wyszedł na zewnątrz, podniósł rękę i wystrzelił w niebo raz, dwa, dwa strzały. W pierwszym odruchu Elaine chciała chronić sen Mai albo zneutralizować swój strach czy niepokój, ale kiedy szybkimi krokami dotarła do jej pokoju, przekonała się, że mała jest pogrążona w głębokim śnie, obojętna na wszystkie hałasy i niepokoje, wierzyć się nie chce. Ale kiedy wróciła do salonu, atmosfera wyraźnie się zepsuła. Mike tłumaczył się niewyraźnie:

– Nawet jeśli to nic nie było, to teraz jest jeszcze mniej.

Elaine nie chciała jednak słuchać już piosenki o autobusie Greyhound i New Jersey

Turnpike, poczuła się zmęczona, to był długi dzień. Powiedziała Mike'owi dobranoc i zaproponowała, żeby się przespał w pokoju gościnnym, łóżko jest posłane, rano mogą razem zjeść śniadanie.

– Kto wie, może nawet z Ricardem.

– Tak – przytaknął Mike Barbieri. – Przy odrobinie szczęścia.

Ale kiedy się obudziła, Mike'a Barbieriego już nie było. Liścik to było wszystko, co zostawił, liścik na serwetce, wiadomość składającą się z trzech słów w trzech liniijkach: *Thanks, Love, Mike*. Później, wspominając tę dziwną i niespokojną noc, Elaine czuła dwie rzeczy: po pierwsze, głęboką nienawiść do Mike'a Barbieriego, nienawiść tak silną, jakiej nigdy wcześniej nie zaznała, a po drugie, coś w rodzaju mimowolnego podziwu dla swobody, z jaką ten człowiek spędził tę noc, dla gigantycznego fałszu, jaki potrafił utrzymać przez tyle tak intymnych godzin, ani na chwilę się nie zdradzając, dla niewzruszonego spokoju, z jakim wypowiedział ostatnie słowa. Przy odrobinie szczęścia, pomyślała Elaine, albo raczej te słowa powtarzały się w jej umyśle bez przerwy, „przy odrobinie szczęścia”, tak powiedział Mike Barbieri i nawet jeden mięsień na twarzy mu nie drgnął, wyczyn godny pokerzysty albo amatora rosyjskiej ruletki, bo Mike Barbieri doskonale wiedział, że Ricardo nie wróci do Villa Elena tej nocy, i wiedział o tym od początku, od momentu, kiedy podjechał motorem pod dom Elaine Fritts. Tak naprawdę właśnie po to przyjechał, żeby powiedzieć o tym Elaine. Przyjechał przecież po to, żeby jej powiedzieć, że Ricardo nie przyjedzie.

Doskonale o tym wiedział.

Doskonale o tym wiedział, bo parę dni wcześniej pojechał zobaczyć się z Ricardem i opowiedzieć o nowym interesie, którego nie mogą przegapić, żeby go przekonać, że pieniądze wyciągane z przewozu marihuany to grosze w porównaniu z tym, co teraz mogą zarobić, żeby mu wyjaśnić, o co chodzi z tą masą z koki, która dociera z Boliwii i Peru i w kilku miejscach za sprawą magii zmienia się w biały i błyszczący proszek, za który całe Hollywood, nie, cała Kalifornia, nie, całe Stany, od Los Angeles po Nowy Jork, od Chicago po Miami, gotowe są zapłacić każdą sumę. Doskonale o tym wiedział, bo miał bezpośrednie kontakty z tymi miejscami, w których weterani z Korpusu Pokoju z kilkuletnim doświadczeniem w Cauca czy Putumayo z dnia na dzień zmienili się w ekspertów od eteru, acetonu i kwasu chlorowodorowego i gdzie formowano towar w cegiełki tak fosforyzujące, że mogły rozświetlić ciemne pomieszczenie. Doskonale o tym wiedział, bo rozpiął liczby na papierze razem z Ricardem i wyliczyli, że byle jaka cessna, jeśli usunie się siedzenia dla pasażerów, może zabrać dwanaście worków wypełnionych tymi cegiełkami, w sumie jakieś trzysta kilo, co, po sto dolarów za gram, daje z jednego tylko przelotu trzydzieści milionów dolarów, z których pilot, tak bardzo się narażający i tak kluczowy dla tej operacji, może sobie zatrzymać dwa. Doskonale o tym wiedział, bo słyszał entuzjazm Ricarda, jego plany, jak przygotować się do przelotu, jednego jedynego przelotu, a potem się wycofać, wycofać na zawsze, zrezygnować z pilotowania samolotów towarowych i pasażerskich, latać już tylko dla przyjemności, wycofać się ze wszystkiego prócz rodziny, zostać milionerem przed trzydziestką.

Doskonale o tym wiedział.

Doskonale o tym wiedział, bo zawiózł Ricarda nissanem na hacjendę bez widocznych granic w Doradal, niedaleko przed Medellín, i tam przedstawił mu kolumbijskich współników, dwóch wąsatych facetów z kręconymi czarnymi włosami, którzy rozmawiali spokojnymi głosami i sprawiali wrażenie, że czują się w jego towarzystwie bardzo swobodnie; kiedy już się przywitali z Ricardem, przyjęli go i skakali wokół niego, jak nikt go wcześniej nigdy nie przyjmował i mu nie nadskakiwał. Doskonale o tym wiedział, bo był przecież z Ricardem, kiedy tamci faceci pokazali mu swoje ziemie, rącze konie w luksusowych boksach, wybieg do treningów oraz

stajnie, basen wyglądający jak wyrżnięty w szmaragdzie, łąki, których nie dało się objąć spojrzeniem. Doskonale o tym wiedział, bo własnymi rękami pomógł ładować towar na cessenę 310-R, własnymi rękami wypakowywał worki z czarnego land rovera i ładował do samolotu, bo nie mogąc się powstrzymać, mocno uściśnął Ricarda, tak po przyjacielsku, bo poczuł, że nigdy dotąd nie kochał tak żadnego Kolumbijczyka. Doskonale o tym wiedział, bo patrzył na startującą cessenę i odprowadził ją wzrokiem, jej biały kształt na szarawym tle chmur zapowiadających deszcz, a potem patrzył, jak robi się mniejsza i mniejsza, aż całkowicie znika w oddali, a potem wsiadł do land rovera i gospodarze podrzucili go do pierwszego autobusu jadącego w stronę La Dorady.

Doskonale o tym wiedział.

Doskonale o tym wiedział, bo dwanaście godzin przed tym, jak pojawił się w Villa Elena, odebrał telefon i usłyszał wiadomość, a potem nagłym i w końcu groźnym głosem domagał się wyjaśnień. Ale ich nie otrzymał, rzecz jasna, bo nikt nie mógł wyjaśnić, dlaczego na Ricarda w miejscu lądowania czekali agenci DEA ani dlaczego dwaj dystrybutorzy – jeden z Miami Beach, a drugi z miasteczka uniwersyteckiego w Massachusetts – czekający w półciężarówce ford na przejęcie towaru nie zdali sobie wcześniej sprawy z obecności agentów. Podobno to Ricardo pierwszy się domyślił, że coś jest nie tak. Podobno próbował wrócić do kabiny, ale musiał szybko zrozumieć, że to nie ma sensu, bo nie ma szans na tak szybkie uruchomienie cesseny. Toteż rzucił się biegiem przez pas startowy do lasu, który rósł w okolicy, ścigali go dwaj agenci i trzy owczarki niemieckie; dopadli go po trzydziestu metrach w lesie. Już w chwili, kiedy rzucał się do ucieczki, nie miał szans, było jasne, że nie ma, dlatego nikt nie rozumiał, dlaczego stało się to, co się stało. Można zakładać, że to ze strachu, chwilowa paniczna reakcja na krzyki agentów, na wymierzoną w siebie broń, a może to była rozpacz, wściekłość albo niemoc. W każdym razie Ricardo nie mógł sądzić, że pojedynczy strzał w czymś mu pomoże, niemniej jednak tak postąpił, sięgnął po swój taurus kaliber .22, który zaczął nosić w styczniu, to był strzał na chybił trafił i tylko jeden, oddany do tyłu, bez jakiegoś celowania czy chęci zranienia kogoś, ale pech polegał na tym, że kula przeszła przez prawą rękę jednego z agentów, i ta jedna zagipsowana ręka wystarczyła później, podczas procesu o handel narkotykami, żeby zwiększyć karę, choć Ricardo nie był nigdy wcześniej karany. Ricardo rzucił taurusa, wbiegając do lasu, i krzyknął, podobno krzyknął, ale ci, którzy tam byli, nie zrozumieli, co mówi. Kiedy dopadły go psy i dyszący ciężko drugi agent, Ricardo leżał w świeżej kałuży ze zwichniętą kostką, rękami upapranymi ziemią, ubraniem ubrudzonym sosnową żywicą i twarzą wykrzywioną grymasem rozpacz.

VI. Do góry, do góry, do góry

Dojrzały wiek przynosi szkodliwe poczucie kontroli i być może to ono właśnie oznacza dojrzałość. Chodzi mi o to, że to właśnie złudzenie panowania nad naszym życiem sprawia, że czujemy się dorośli, bo kojarzymy dorosłość z niezależnością, niepodważalnym prawem do decydowania o tym, co się z nami wydarzy. Rozczarowanie przychodzi prędzej czy później, ale przychodzi zawsze, nigdy nie zawiedzie, to się nie zdarza. Kiedy się pojawia, przyjmujemy je bez przesadnego zaskoczenia, bo nikt, kto żyje już jakiś czas, nie jest zaskoczony tym, że na jego biografii wpływają odległe wydarzenia, czyjaś wola, z niewielkim albo i żadnym udziałem naszych własnych decyzji. Te długie procesy, które przekształcają nasze życie – czasami dając nam potrzebny impuls, czasami rozbijając w drobny mak nasze wspaniałe plany – zwykle pozostają ukryte, jak podziemne ciekły wodne, jak powolne ruchy warstw tektonicznych, i kiedy w końcu dochodzi do trzęsienia ziemi, przywołujemy słowa, których się nauczyliśmy, żeby zachować spokój: „wypadek”, „zbieg okoliczności”, czasami „przeznaczenie”. W tej właśnie chwili otacza mnie cały splot okoliczności, fatalnych błędów albo zbawiennych decyzji, których konsekwencje czekają za rogiem; i choć o tym wiem, choć mam niewygodną pewność, że to wszystko się dzieje i będzie miało na mnie wpływ, nie jestem w stanie w żaden sposób ich przewidzieć. Mogę tylko walczyć z ich skutkami, naprawiać szkody, wyciągać jak najwięcej z sytuacji pomyślnych. Wiemy o tym, dobrze wiemy, a jednak zawsze trochę strach bierze, kiedy ktoś pokazuje nam splot wydarzeń, który zmienił nas w to, czym jesteśmy; zawsze wytrąca z równowagi uzmysłowienie sobie, kiedy ktoś inny objawia nam tę prawdę, że nad naszymi doświadczeniami mamy niewielką kontrolę, a właściwie nie mamy żadnej.

To właśnie przytrafiło mi się podczas drugiego wieczoru w Las Acacias, majątku znanym wcześniej jako Villa Elena, ale ta nazwa pewnego dnia przestała pasować i trzeba ją było szybko zmienić. To właśnie przytrafiło mi się tego sobotniego wieczoru, podczas którego rozmawialiśmy z Mayą o dokumentach z wiklinowej skrzynki, o każdym liście i każdej fotografii, o każdym telegramie i każdej fakturze. Ta rozmowa wyjawiała mi wszystko, czego nie wyjaśniały dokumenty, albo raczej pomogła ułożyć treść wyczytaną z dokumentów, nadała im ład i sens i uzupełniła niektóre białe plamy, choć nie wszystkie, historiami, które Maya odziedziczyła po matce przez te lata, kiedy razem mieszkały. I oczywiście także historiami, które jej matka wymyśliła.

– Wymyśliła? – zapytałem.

– No pewnie – odpowiedziała Maya. – Zaczynając od taty. Ona wymyśliła go od początku do końca, był jej kreacją. Taką powieścią, rozumie pan? Powieścią z krwi i kości, napisaną przez moją mamę. Oczywiście dla mnie to zrobiła, dla mnie.

– Chce pani przez to powiedzieć, że nie знаła pani prawdy? – zapytałem. – Elaine pani nie powiedziała?

– Pewnie uznała, że tak będzie lepiej. I może miała rację, Antonio. Nie mam dzieci, nie wyobrażam sobie, jak to jest. Nie wiem, jak wiele człowiek jest w stanie dla nich zrobić. Nie umiem sobie wyobrazić. Ma pan dzieci, Antonio?

Tak mnie zapytała Maya. Był niedzielny poranek, dzień nazywany przez chrześcijan Wielkanocą, w którym świętuje się zmartwychwstanie Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego dwa dni wcześniej (mniej więcej o tej porze, kiedy zaczynałem pierwszą rozmowę z córką Ricarda Laverdego) i od tej chwili objawiającego się żywym: matce, apostołom i kobietom wybranym przez wzgląd na ich przynioły.

– Ma pan dzieci, Antonio? – Śniadanie zjedliśmy wcześniej: dużo kawy, dużo soku ze

świeżych pomarańczy, dużo plasterów papai, ananasa i *zapote*, i ciepła tortilla, którą zbyt szybko wpakowałem do ust i oparzyłem podniebienie, a oparzenie to przypominało potem o sobie za każdym razem, kiedy dotykałem zębów językiem. Nie było jeszcze gorąco, ale cały świat pachniał roślinnością, wilgocią i barwami; i tam, przy stole na tarasie, kiedy otoczeni wiszącymi paprociami rozmawialiśmy nieopodal pnia porośniętego kwiatami bromelii, poczułem się dobrze, pomyślałem sobie, że w tę Niedzielę Wielkanocną jest mi po prostu dobrze. – Ma pan dzieci, Antonio? – Pomyślałem o Aurze i o Leticii, a właściwie to o Aurze prowadzącej Leticję do najbliższego kościoła, żeby pokazać jej świecę symbolizującą Chrystusa. Skorzysta z mojej nieobecności, mimo kilku prób nigdy nie udało mi się odzyskać wiary, jaką miałem w dzieciństwie, ani tym bardziej zaangażowania, z jakim w mojej rodzinie celebrowało się rytuały tych świątecznych dni, od popiołu na czole w pierwszy dzień Wielkiego Postu aż do Wniebowstąpienia (które ja zawsze wyobrażałem sobie tak jak na ilustracji z encyklopedii: był tam obraz pełen aniołów, ale nigdy później na niego nie trafiłem). I przez to nigdy nie chciałem, żeby moja córka dorastała w tej tradycji tak dla mnie dziwnej. Gdzie teraz jesteś, Auro?, pomyślałem. Gdzie jest teraz moja rodzina? Podniosłem wzrok, oślepiła mnie jasność bijąca z nieba, poczułem ukłucie w oczy. Maya patrzyła na mnie, czekała, nie zapomniała pytania.

– Nie – odpowiedziałem – nie mam. To musi być dziwne, posiadać dzieci. Też sobie tego nie wyobrażam.

Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. Być może było już za późno, żeby wprowadzać temat rodziny czekającej na mnie w Bogocie, takie rzeczy mówi się na samym początku znajomości, kiedy człowiek się przedstawia i dostarcza dwóch czy trzech skrawków informacji, żeby stworzyć pozór intymności. „Kiedy człowiek się przedstawia”, to właśnie o to chodzi, nie o wypowiedzenie własnego nazwiska i wysłuchanie nazwiska drugiej osoby oraz uściśnięcie jej dłoni, nie o ucałowanie policzka bądź obu albo wykonanie ukłonu, tylko o te pierwsze minuty, kiedy pewne przypadkowe informacje, pewne nieistotne ogólniki dają tej drugiej osobie wrażenie, że nas zna, że nie jesteśmy już sobie obcy. Człowiek mówi o swojej narodowości, o swoim zawodzie, czym się zajmuje, żeby zarobić pieniądze, bo sposób, w jaki zarabiamy, jest wymowny, określa nas, ustawia; człowiek mówi o swojej rodzinie. No więc ten moment w rozmowie z Mayą już minął i gdybym zaczął opowiadać o mojej żonie i córce, dwa dni po przyjeździe do Las Acacias, to by wzbudziło niepotrzebne podejrzenia i wymagało długich wyjaśnień bądź idiotycznych usprawiedliwień albo po prostu zabrzmiałoby dziwnie i wszystko ostatecznie skończyłoby się bez żadnych konsekwencji. Maya straciłaby dotychczasowe zaufanie, a ja straciłbym to, co udało mi się uzyskać, ona przestałaby opowiadać i przeszłość Ricarda Laverdego znów stałaby się przeszłością, ukryłaby się w cudzej pamięci. Nie mogłem na to pozwolić.

A może i był inny powód.

Bo trzymanie Aury i Leticii z daleka od Las Acacias, z daleka od Mai Fritts i jej opowieści, od tych dokumentów, jednym słowem, z daleka od prawdy o Ricardzie Laverdem, oznaczało ochronę ich czystości albo raczej niedopuszczenie do tego, żeby się tym skaziły, tak jak ja skaziłem się pewnego popołudnia 1996 roku, a powody tego dopiero teraz zaczynałem pojmywać, a niespodziewana intensywność tego doznania zaczęła mi się objawiać tak, jak objawia się jakiś przedmiot spadający z nieba. Moje skażone życie należało tylko do mnie, moja rodzina była jeszcze bezpieczna, nie groziła jej zaraza mojego kraju, jego pokręcona historia najnowsza, nie groziło jej to wszystko, co osaczało mnie, tak jak wielu innych ludzi mojego pokolenia (innych też, owszem, ale mojego przede wszystkim, pokolenia, któremu od urodzenia towarzyszyły samoloty, loty pełne worków z marihuaną, pokolenia, które urodziło się razem z wojną z narkotykami i potem poznało jej konsekwencje). Ten świat, który wrócił do życia dzięki

słowom i dokumentom Mai Fritts, może niech lepiej zostanie tutaj, myślałem, niech zostanie w Las Acacias, w La Doradzie, niech zostanie w dolinie Magdaleny, cztery godziny jazdy od Bogoty, daleko od mieszkania, w którym moja żona i moja córka czekają na mnie, może trochę niespokojne, tak, może z niepokojem widocznym na twarzy, ale czyste, nieskażone, wolne od naszej osobistej kolumbijskiej historii; nie byłbym dobrym ojcem ni dobrym mężem, gdybym zabrał tę historię ze sobą, do nich, albo gdybym pozwolił im w nią wejść, w jakikolwiek sposób wejść do Las Acacias i w życie Mai Fritts, wejść w kontakt z Ricardem Laverdem. Aura miała dziwne szczęście, bo nie było jej tu podczas trudnych lat, dorastała w Santo Domingo, Meksyku i Santiago de Chile. Czyż nie było moim obowiązkiem utrzymać ten szczęśliwy zbieg okoliczności, czuwać, żeby nic nie zaburzyło specyficznego wyłączenia, które zawdzięczała niespokojnemu życiorysowi swoich rodziców? Będę ją chronił, myślałem, ją i moją małą, ja je ochronię. Tak trzeba, pomyślałem, i naprawdę byłem co do tego absolutnie przekonany, z wiarą niemal religijną.

– To trudne, prawda? – przyznała Maya. – To jedna z tych rzeczy, które trzeba przeżyć samemu, wszyscy tak mi mówili. No nic. W każdym razie ona zrobiła to dla mnie. Wymyśliła mi tatę, od początku do końca.

– Na przykład?

– No – odparła Maya – na przykład jego śmierć.

I tak, podczas gdy białe światło nad doliną Magdaleny padało mi na twarz, dowiedziałem się, jak to pewnego dnia Elaine albo Elena Fritts wyjaśniła córce, co się stało z jej tatą. Podczas minionego roku ojciec i córka często rozmawiali o śmierci; pewnego popołudnia Maya była świadkiem zabicia krowy i niemal natychmiast zaczęła zadawać pytania. Ricardo rozstrzygnął temat czterema słowami: „Skończyły się jej lata”. Wszystkim kiedyś kończą się lata, wyjaśnił, zwierzętom, ludziom, wszystkim. A pancernikom?, zapytała Maya. Też, odpowiedział Ricardo, pancernikom też. A dziadkowi Juliowi?, pytała Maya. Też, dziadkowi Juliowi też, odpowiedział Ricardo. Toteż któregoś popołudnia 1976 roku, kiedy pytania dziewczynki o nieobecnego ojca zrobiły się trudne do wytrzymania, Elena Fritts posadziła sobie Mayę na kolanach i powiedziała: „Tatusiowi skończyły się lata”.

– Nie wiem, czemu wybrała akurat tę chwilę, nie wiem, czy miała już dość czekania na coś, nie wiem – opowiadała Maya. – Może dostała jakąś wiadomość ze Stanów. Od prawników taty.

– Nic nie wiadomo?

– Nie ma listów z tego okresu, matka wszystko spaliła. Mogę powiedzieć tylko to, czego się domyślałam: dostała jakąś wiadomość. Od taty. Od adwokatów. I uznała, że to jest ten moment, kiedy jej życie się zmienia, że się kończy życie z moim tatą i zaczyna inne.

Wyjaśniła jej, że Ricardo zaginął na niebie. Pilotom raz na jakiś czas się to zdarza, tłumaczyła, nieczęsto, ale jednak. Niebo jest wielkie i morze też, samolot z kolei jest malutki, a samoloty, jakimi latał tatuś, były najmniejsze ze wszystkich, w świecie pełno jest takich samolotów, malutkich i białych, które startowały i latały chwilę nad ziemią, a potem znowu latały nad morzem, i oddalały się bardzo, coraz bardziej, leciały zupełnie same, i nikt nie potrafił im powiedzieć, którędy można wrócić nad ziemię. Czasami działo się coś złego i się gubiły. Zapominały gdzie przód, gdzie tył albo traciły orientację i zaczynały zataczać koła, nie wiedząc gdzie lewa strona, gdzie prawa, aż w samolocie kończyła się benzyna i spadał do morza, spadał z nieba jak dziewczynka skacząca do basenu. I zatapiał się bez huku i bez hałasu, tonął i nikt tego nie widział, bo w tamtych okolicach nie ma żadnego życia, i tam, na dnie morza, pilotom kończyły się lata.

– Dlaczego nie pływają? – zapytała Maya.

Na to Elena Fritts:

– Bo morze jest zbyt głębokie.

A Maya:

– I tam jest tata?

I Elena Fritts:

– Tak, tam jest tata. Jest na dnie morza. Samolot spadł, tata zasnął i skończyły mu się lata.

Maya Fritts nigdy nie podawała w wątpliwość tej wersji wydarzeń. To były ostatnie święta, jakie spędziły w Villa Elena, ostatni raz, kiedy Elaine kazała wyciąć żółtawy krzew, żeby go przyozdobić kruchymi kolorowymi bombkami, które tak fascynowały małą, reniferami, sankami i sztucznymi cukrowymi laskami, od których ciężaru ugięły się gałęzie. W styczniu 1977 wydarzyły się trzy rzeczy: Elaine dostała list od swoich dziadków, w którym pisali, że po raz pierwszy w historii w Miami spadł śnieg; prezydent Jimmy Carter wybaczył deztererom z Wietnamu; Mike Barbieri – którego Elaine zawsze w głębi duszy uznawała za jednego z deztererów – został znaleziony martwy, z kulą w karku w rzece La Miel, nagie ciało leżące na brzuchu w nadbrzeżnym błocie; prąd rzeki poruszał jego długimi włosami i mokrą brodą nasiąkniętą krwią. Wieśniacy, którzy go znaleźli, przybiegli po Elaine wcześniej niż po jakiejś władze, była w końcu drugą gringą w regionie. Elaine musiała uczestniczyć w pierwszych etapach dochodzenia, musiała iść do lokalnej prokuratury z otwartymi oknami i wentylatorami, od których fruwały dokumenty, żeby zeznać, że tak, zna go, i że nie, nie wie, kto go mógł zabić. Następnego dnia zapakowała do nissana wszystko, co się zmieściło, ubrania swoje i małej, walizki pełne pieniędzy i pancernika o imieniu nieżyjącego gringa, i wyjechała do Bogoty.

– Dwanaście lat, Antonio – powiedziała Maya Fritts. – Dwanaście lat mieszkałam z moją matką, same dwie, jakby w ukryciu. Zabrała mi nie tylko tatę, ale też dziadków. Więcej się z nimi nie zobaczyłyśmy. Wpadli tylko kilka razy z wizytą, zawsze kończyło się awanturą, nie rozumiałam dlaczego. Ale miałyśmy innych gości. Mieszkałyśmy w malutkim mieszkanku, gdzieś w La Perseverancii. Sporo ludzi nas odwiedzało, dom zawsze był pełen jankesów, ludzi z Korpusu Pokoju, z ambasady. Czy mama rozmawiała z nimi o narkotykach, o tym, co się w związku z nimi dzieje? Nie wiem, pewnie bym tego nie zrozumiała. Bardzo możliwe, że rozmawiali o kokainie. Albo o ochotnikach, którzy nauczyli wieśniaków wyrobu masy kokainowej, tak jak wcześniej uczyli ich technik uprawy marihuany. Ale ten biznes nie był jeszcze tym, czym miał się stać. Jak mogłabym coś zrozumieć? Dziecko nie zdaje sobie sprawy z takich rzeczy.

– I nikt o Ricarda nie pytał? Żaden z gości o nim nie rozmawiał?

– Nie, nikt. Niewiarygodne, prawda? Mama stworzyła świat, w którym Ricardo Laverde nie istniał, a do tego trzeba talentu. Utrzymanie byle kłamstewka to spore wyzwanie, a ona potrafiła zmontować coś takiego, prawdziwą piramidę. Wyobrażam ją sobie, jak instruuje wszystkich gości: w tym domu nie rozmawia się o zmarłych. Jakich zmarłych? No zmarłych. Zmarłych, którzy zmarli.

To w tych dniach zabiła pancernika. Maya nie pamiętała, żeby nieobecność ojca specjalnie na nią wpłynęła, nie zachowała żadnych złych wspomnień, nie pamiętała żadnych ataków agresji ani żadnej chęci zemsty, ale pewnego dnia (mogła mieć jakieś osiem lat) złapała pancernika i zniosła go na patio, gdzie robiło się pranie.

– To było takie patio typowe dla starych domów, wiesz, niewygodne i malutkie, z kamiennym zbiornikiem na wodę, sznurami do wieszania bielizny i oknem. Pamiętasz te zbiorniki? Z jednej strony rozkładało się na płasko pranie, z drugiej była taka jakby studzienka, dla dziecka to było jak głęboka studnia pełna zimnej wody. Przysunęłam sobie ławkę z kuchni, pochyliłam się i trzymając oburącz, wsadziłam Mike'a do wody, nie puszczałam go, trzymałam

za grzbiet, żeby się nie wiercił. Słyszałam kiedyś, że pancerniki mogą spędzić pod wodą dużo czasu. Chciałam zobaczyć ile. Pancernik zaczął się miotać, ale ja wciąż go trzymałam, wciskając w dno zbiornika całą moją masą, pancernik jest silny, ale nie aż tak, ja już byłam dość wyrośnięta. Chciałam sprawdzić, ile czasu wytrzyma pod wodą, to wszystko, wydawało mi się, że tylko o to mi chodzi. Dobrze pamiętam chropowatość jego ciała, ręce bolały mnie od ciągłego nacisku, bolały mnie też później, to było tak, jakby przytrzymywać w miejscu kolczasty pień, żeby go prąd nie porwał. Ależ ten zwierzak się szarpał, doskonale to pamiętam. Aż w końcu przestał się wrywać. Znalazła go potem służąca. Gdyby pan słyszał jej krzyk. Dostałam karę, mama mocno uderzyła mnie w policzek, skaleczyła mi usta pierścionkiem. Potem zapytała, dlaczego to zrobiłam, a ja odpowiedziałam: Żeby sprawdzić, ile minut wytrzyma pod wodą. A mama zapytała: No to dlaczego nie miałaś zegarka? Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. I to pytanie jakoś zawisło w powietrzu, Antonio, wciąż do mnie od czasu do czasu powraca, zawsze w złych chwilach, kiedy w życiu mi się nie układa. Powraca do mnie to pytanie i nigdy nie wiem, jak na nie odpowiedzieć. – Zastanawiała się przez chwilę, a potem dodała: – Zresztą co taki pancernik robił w mieszkaniu w La Perseverancii? Absurdalny pomysł, w całym domu czuć było jego łajnem.

– Nigdy pani niczego nie podejrzewała?

– Ale czego?

– Że Ricardo żyje. Że jest w więzieniu.

– Nie, nigdy. Potem się dowiedziałam, że to nie był tylko mój przypadek, że wcale nie byłam taka oryginalna. W tamtych latach mnóstwo ludzi wybierało się do Stanów i już tam zostawało, jeśli pan wie, co mam na myśli. Tacy, którzy latali niekoniecznie z ładunkiem, jak mój tata, ale też jako zwykli pasażerowie samolotu rejsowego, linii Avianca czy American. I rodziny, które zostały w Kolumbii, musiały coś powiedzieć swoim dzieciom, prawda? Więc po prostu zabijali ojca, to dobre określenie. Facet siedzący w amerykańskim więzieniu umierał nagle, tak że nikt o niczym nie wiedział. Tak było łatwiej, łatwiej niż walczyć ze wstydem, z upokorzeniem, że ma się przestępcę w rodzinie. Takich przypadków były setki. Setki fałszywych sierot, ja byłam tylko jedną z wielu. To jest wielki plus Kolumbii, człowiek nigdy nie jest sam ze swoim losem. Cholera, ale upał, wierzyć się nie chce. Nie jest panu gorąco, Antonio, pan przecież z zimnych terenów?

– Trochę tak. Ale radzę sobie.

– Człowiek ma tu wrażenie, że mu się każdy por otwiera. Lubię poranki, taką wczesną porę. Ale potem robi się nieznośnie. Choćby się człowiek przyzwyczał.

– Pani już powinna była się przyzwycząć.

– Tak, to prawda. Może tak tylko narzekam dla zasady.

– Jak to się stało, że pani tu zamieszkała? – zapytałem. – To znaczy, po tak długiej przerwie.

Maya skończyła jedenaście lat, kiedy jej koleżanka z klasy pierwszy raz opowiedziała jej o Hacjendzie Nápoles. Był to teren liczący ponad trzy tysiące hektarów, który Pablo Escobar kupił pod koniec lat siedemdziesiątych, żeby zbudować tu swój osobisty raj, który będzie zarazem jego imperium, Xanadu tropików, z żywymi zwierzętami zamiast posągów i uzbrojonymi siepaczkami zamiast napisów *No trespassing*. Teren majątku rozciągał się w dwóch departamentach, przepływała przez niego rzeka. Oczywiście nie taką informację przekazała koleżanka Mai, w 1982 roku bowiem nazwisko Pabla Escobara jeszcze nie pojawiała się na ustach jedenastoletnich dzieci i jedenastoletnie dzieci nie znały szczegółów związanych z gigantycznym terytorium ani kolekcją starych samochodów, która wkrótce zaczęła się rozrastać, zajmując specjalne garaże, ani o istnieniu kilku pasów startowych o biznesowym przeznaczeniu

(żeby lądowały tam i startowały takie samoloty, jakie pilotował Ricardo Laverde), a tym bardziej nie widziały *Obywatela Kane'a*. Nie, jedenastoletnie dzieci o tym nie wiedziały. Natomiast wiedziały o ogrodzie zoologicznym, zoo w kilka miesięcy stało się legendą o narodowym zasięgu i to właśnie o zoo opowiedziała jej koleżanka tego dnia 1982 roku. Opowiadała o żyrafach, słoniach, nosorożcach, ogromnych wielobarwnych ptakach, opowiadała o kangurze, który kopał futbolową piłkę. Dla Mai było to istne objawienie i zobaczenie tego szybko stało się jej marzeniem, tak ważnym, że rozsądnie poczekała do świąt, żeby poprosić, by zamiast prezentu mogła pojechać do Hacjendy Nápoles. Odpowiedź matki była krótka:

– Tego miejsca nawet w snach nie zobaczysz.

– Ale wszyscy z mojej klasy już byli – powiedziała Maya.

– A ty nie pojedziesz – stwierdziła Elena Fritts. – I nawet nie próbuj wracać do tematu.

– Więc pojechałam potajemnie – opowiadała Maya. – Co miałam zrobić? Zaprosiła mnie koleżanka i odpowiedziałam, że jadę. Mama była przekonana, że spędzam weekend w Villa de Leyva.

– Niemożliwe – powiedziałem. – Pani też pojechała do Hacjendy Nápoles potajemnie?

Ależ my mamy wiele wspólnego...

– A, czyli pan...

– Tak, jak też – przytaknąłem. – Mnie też zakazali i ja też skłamałem, żeby zobaczyć zakazane. Miejsce tabu, Hacjenda Nápoles.

– A kiedy pan tam był?

Porachowałem w głowie, przywołałem trochę wspomnień i rezultat wywołał przyjemny dreszcz na plecach.

– Miałem dwanaście lat. Jestem rok starszy od pani. Czyli byliśmy tam w tym samym czasie.

– Był pan w grudniu?

– Tak.

– W grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku?

– Tak.

– Byliście tam w tym samym czasie – powtórzyła. – Niesamowite, prawda, że niesamowite?

– No tak, ale w sumie nie jestem pewien, czy...

– Byliście tam w tym samym czasie, Antonio – powiedziała Maya. – Jestem pewna.

– No ale to mogły być różne dni.

– Nie, nie, tylko żadnych bajek. To było przed świętami, tak?

– Tak, ale...

– I już zaczęły się wakacje, tak?

– No tak.

– No to musiał to być weekend, bo w przeciwnym razie dorośli nie mogliby nas zawieźć, pracowaliby. A ile weekendów mogło być przed świętami? Powiedzmy trzy. I jaki to był dzień, sobota czy niedziela? To była sobota, bo ludzie z Bogoty zawsze przyjeżdżali do zoo w sobotę, dorośli nie lubili wybierać się w tak długą drogę i następnego dnia wstawać do roboty.

– Ale, tak czy inaczej, to są trzy dni – powiedziałem. – Trzy możliwe soboty. Nie ma gwarancji, że wybraliśmy tę samą.

– Ja to wiem.

– Ale skąd?

– Bo wiem. I niech pan już nie kombinuje. Mam opowiadać dalej? – Maya nie oczekiwała odpowiedzi. – No dobrze – powiedziała – w każdym razie zobaczyłam to zoo, wróciłam do domu

i pierwsze, co zrobiłam po powrocie, to zapytałam mamę, gdzie dokładnie stał nasz dom w La Doradzie. Wydaje mi się, że rozpoznałam kawałek trasy, krajobrazu, rozpoznałam jakąś górę albo zakręt drogi, która prowadzi z głównej szosy do Villa Elena, bo jadąc do Hacjendy Nápoles, mija się tę drogę. Coś musiałam rozpoznać, bo kiedy wróciłam, zasypałam mamę pytaniami. Pierwszy raz od wyjazdu stamtąd o tym rozmawialiśmy, mamę to bardzo poruszyło. I z biegiem lat zadawałam więcej pytań, powtarzałam, że chcę tam wrócić, pytałam, kiedy wrócimy. Dom w La Doradzie zmienił się w coś na kształt ziemi obiecanej, rozumie pan? I powoli zaczęłam pracować nad powrotem. A wszystko zaczęło się od wizyty w Hacjendzie Nápoles. A teraz mów mi pan, że być może spotkaliśmy się tam, w zoo. Nie wiedząc, że pan to pan, a ja to ja, nie wiedząc, że się jeszcze spotkamy.

Coś się w tej chwili zmieniło w jej spojrzeniu, jej zielone oczy otwały się lekko, jej wąskie brwi wygięły się, jakby je ktoś na nowo narysował, a na jej ustach, tych ustach o krwistych wargach, pojawiła się jakaś nowa mina. Nie miałbym jak tego sprawdzić, a komentowanie tego na głos byłoby nierozważne albo wprost głupie, ale w tym momencie pomyślałam: To jest jej mina z dzieciństwa. Tak wyglądała jako dziewczynka. I wtedy usłyszałam, że mówi:

– A wrócił pan tam jeszcze? Bo ja nie, nigdy więcej tam nie byłam. Wszystko tam się kompletnie sypie, z tego, co wiem. Ale możemy się i tak wybrać, zobaczyć, co zostało, może coś się nam przypomni. Co pan na to?

Wkrótce jechaliśmy szosą na Medellín, w porze największego upału, sunąc po asfalcie dokładnie tak, jak Ricardo Laverde i Elena Fritts dwadzieścia dziewięć lat temu, w dodatku tym samym nissanem w kolorze kości słoniowej, którym jechali oni. W kraju, gdzie często spotyka się na ulicy modele z lat sześćdziesiątych – renault 4, różne fiaty, ciężarówki chevrolet, czasami nawet starsze niż piętnaście lat – fakt, że terenówka przetrwała, nie był niczym nadzwyczajnym ani zdumiewającym, setki takich można zobaczyć na drogach. Ale od razu było widać, że to nie jest zwykła terenówka nissan, tylko pierwszy wielki prezent Ricarda Laverdego dla żony kupiony za pieniądze z lotów, pieniądze z marihuany. Dwadzieścia dziewięć lat wcześniej przemierzali razem dolinę Magdaleny, tak jak my przemierzaliśmy ją teraz, całowali się na tych siedzeniach, w tej kabinie rozmawiali o tym, że chcą mieć dzieci. I teraz ich córka i ja siedzieliśmy na tych samych miejscach i być może odczuwaliśmy ten sam wilgotny upał i tę samą ulgę, kiedy auto przyspieszało, w środku krążyło powietrze, a my musieliśmy mówić głośniej, żeby się słyszeć. Wybór był między głośnym mówieniem albo śmiercią z gorąca przy zamkniętych oknach – woleliśmy to pierwsze.

– Ta terenówka wciąż jeździ – powiedziałem nienaturalnie podniesionym głosem, zupełnie jak aktor na zbyt wielkiej scenie.

– I co pan powie? – odparła Maya. Potem podniosła rękę i wskazała na niebo. – Proszę popatrzeć, samoloty wojskowe.

Usłyszałam huk samolotów przelatujących ponad naszymi głowami, ale kiedy wystawiłem głowę, żeby coś zobaczyć, dostrzegłem tylko stado sępów zataczających kręgi na tle nieba.

– Staram się nie myśleć o tacie, kiedy widzę samoloty – powiedziała Maya – ale nie mogę.

Przeleciała kolejna eskadra i tym razem zdołałem je dostrzec, szare cienie przecinające niebo, huk wstrząsnął powietrzem.

– On chciał być spadkobiercą – dodała Maya. – Wnuk bohatera.

Droga zapełniła się nagle młodymi chłopakami w mundurach z karabinami wiszącymi im na piersi jak śpiące zwierzęta. Przed wjechaniem na most nad Magdaleną zwolniliśmy znacznie i

przejechaliśmy tak blisko żołnierzy, że boczne lustro prawie trącało lufy karabinów. To były dzieci, spocone i przestraszone dzieci, których misja, ochrona bazy wojskowej, wydawała się im pod każdym względem przerastać, tak jak ich hełmy i mundury, i sztywne skórzane buty, zbyt masywne jak na ten bezlitosny tropik. Mijając ogrodzenie otaczające bazę, konstrukcję pokrytą zielonym płótnem i zwieńczoną skomplikowaną płataniną z drutu kolczastego, zobaczyłem napis z białych liter na zielonym tle: „Zakaz fotografowania”, oraz drugi, czarne litery na białym tle, „Prawa człowieka odpowiedzialnością nas wszystkich”. Po drugiej stronie ogrodzenia widać było brukowaną drogę, po której jeździły wojskowe ciężarówki; kawałek dalej, wyeksponowany jak jakaś relikwia w muzeum, myśliwiec Canadair Sabre utrzymywał równowagę na czymś w rodzaju piedestału. W mojej pamięci wizerunek tego samolotu, który tak podobał się Ricardowi Laverdemu, wiąże się z pytaniem Mai:

– Gdzie pan był, kiedy zabito Rodrigę Larę Bonillę?

Ludzie z mojego pokolenia często tak robią: pytamy się wzajemnie o to, jak wyglądało nasze życie w momencie tych wydarzeń z lat osiemdziesiątych, które je określiły albo wypaczyły, a my nawet się nie zorientowaliśmy, że coś się dzieje. Zawsze wydawało mi się, że w ten sposób, przekonując się, że nie jesteśmy sami, neutralizujemy skutki dorastania podczas tej dekady albo ograniczamy poczucie bezradności, jakie zawsze nam towarzyszy. I rozmowy te zwykle zaczynają się od Rodrigę Lary Bonilli, ministra sprawiedliwości. Był wrogiem numer jeden narkobiznesu i to najpotężniejszym z tych oficjalnych; klasyczny schemat z udziałem płatnego zabójcy na motorze, szczyła, podjeżdżającego do samochodu, w którym znajduje się ofiara, i bez zwalniania opróżniającego magazynek mini, zaczął się właśnie od tego zabójstwa.

– Siedziałem w pokoju i odrabiałem zadanie z chemii – odpowiedziałem. – A pani?

– Ja byłem chora – stwierdziła Maya. – Wyrostek, proszę sobie wyobrazić, świeżo po operacji.

– Dzieci też to miewają?

– To okrutne, ale tak. I pamiętam zamieszanie w klinice, pielęgniarki wchodziły i wychodziły, zupełnie jak na jakimś filmie wojennym. Bo zabito Larę Bonillę i wszyscy wiedzieli, kto to zrobił, ale nikt się nie spodziewał, że to możliwe.

– To było coś nowego – powiedziałem. – Pamiętam moją tatę w jadalni. Trzymał się za głowę, oparty łokciami o stół. Nie jadł. Nic nie mówił. To było coś nowego.

– Tak, tego dnia kładliśmy się spać odmienieni – przyznała Maya. – Inny kraj, prawda? W każdym razie ja to tak pamiętam, mama się bała, widziałam ją i widziałam jej strach. Pewnie, wiedziała dużo więcej niż ja. – Maya zamilkła na chwilę. – A kiedy zabili Galana?

– To było późno. W piątek, jakoś w środku roku. Byłem... byłem z koleżanką.

– A, no proszę – Maya uśmiechnęła się lekko. – Kraj się wali, a pan sobie używa. W Bogocie?

– Tak.

– Z narzeczoną?

– Nie. To znaczy miała się nią stać. Tak mi się wydawało.

– Oj, nieszczęśliwa miłość – zaśmiała się Maya.

– W każdym razie spędziliśmy razem noc. Choćby z przymusu.

– „Kochankowie godziny policyjnej” – powiedziała Maya. – Ładny tytuł, prawda?

Podobało mi się, że tak się nagle rozweseliła, podobały mi się jej ledwie widoczne zmarszczki wokół oczu, kiedy się śmiała. Przed nami pojawiła się ciężarówka wyładowana pojemnikami z mlekiem, wielkimi metalowymi cylindrami wyglądającymi jak niezdetonowane bomby, na których siedziało trzech młodzieńców z nagimi torsami. Na nasz widok nie wiadomo czemu zaczęli się śmiać. Pomachali Mai, posyłali jej całusy, a ona wrzuciła dwójkę i zmieniła

pas, żeby wyprzedzić. W trakcie manewru też im posłała całusa. Było w tym geście coś kpiarskiego i ludycznego, ale w jej ustach zamykających się z aktorską przesadą (i w ogóle tym jakże kinowym geście) było coś, co uczyniło tę chwilę pełną niespodziewanej zmysłowości, a w każdym razie ja odniosłem takie wrażenie. Po mojej stronie drogi, w czymś w rodzaju bagienka rozciągającego się między krzewami, kapały się dwa wodne bawoły, ich mokra skóra błyszczała w słońcu, grzywy przylepiały im się do łbów.

– A w dniu katastrofy samolotu linii Avianca?

– A, ten sławny samolot – powiedziała Maya. – Wtedy to już rzeczywiście wszystko się spieprzyło.

Kiedy zginął kandydat Galán, jego polityczne hasła, a wśród nich walkę z narkobiznesem, odziedziczył młodzieńcy polityk z prowincji, César Gaviria. Próbując go usunąć, Pablo Escobar podłożył bombę w pasażerskim samolocie, który leciał – miał lecieć – na trasie Bogota–Cali. Gaviria jednak nawet nie wsiadł do tego samolotu. Bomba eksplodowała krótko po starcie i resztki rozwalonego samolotu – w tym trzech pasażerów, którzy najpewniej zginęli nie od bomby, tylko od uderzenia – spadły na Soacha, to samo miejsce, w którym padł na drewniany podest zastrzelony kandydat Galán. Nie sądzę jednak, żeby ten zbieg okoliczności miał jakies znaczenie.

– Wtedy się przekonaliśmy – stwierdziła Maya – że ta wojna wymierzona jest też w nas. A w każdym razie przestaliśmy mieć wątpliwości. Jakiegokolwiek. Były bomby w miejscach publicznych, jasne, ale uznawaliśmy, że to jednostkowe wypadki, nie wiem, czy pan też tak to odbierał. Zresztą nie jestem pewna, czy „wypadek” to dobre słowo. To, co się przytrafia pechowcom. Natomiast historia z samolotem to już było coś innego. Tak, to było oczywiście to samo, ale z jakiegoś powodu wydało mi się, że to coś innego, jakby zmieniły się reguły gry. Tamtego roku zaczęłam studia. Agronomii, studiowałam agronomię, chyba już miałam jasność, że chcę odzyskać dom w La Doradzie. W każdym razie zaczęłam studia. I potrzebowałam roku, żeby zdać sobie sprawę.

– Z czego?

– Że się boję. Albo, ściślej mówiąc, z tego, co czułam w brzuchu, tych mdłości od czasu do czasu, podrażnienia, to nie były typowe objawy pierwszorocznika, tylko czysty strach. I mama też się bała, rzecz jasna, może nawet bardziej niż ja. A potem przyszły kolejne zamachy, kolejne bomby. Ten zamach na budynek rządowej instytucji wywiadowczej DAS i setka zabitych. Albo ten na centrum handlowe iks i piętnastu zabitych. Albo ten na centrum handlowe igrek i kolejni zabici. Niezwykłe czasy, co? Człowiek nie wie, kiedy będzie jego kolej. Trzeba znać miejsce, gdzie znajduje się najbliższy publiczny telefon, żeby zadzwonić i powiedzieć, że wszystko w porządku. Jeśli nie ma publicznego telefonu, wiadomo, że w każdym domu pozwolą człowiekowi skorzystać, wystarczy tylko zapukać do drzwi. Takie życie, w ciągłej obawie, że zginął ktoś bliski, że trzeba uspokoić innych, żeby nie myśleli, że coś się nam stało. Cały czas spędzaliśmy w prywatnych mieszkaniach, pamięta pan? Unikaliśmy miejsc publicznych. Domy przyjaciół, przyjaciół przyjaciół, domy dalekich znajomych, każde mieszkanie było lepsze niż miejsce publiczne. Nie wiem, czy pan mnie rozumie. Może to u nas jakoś inaczej się żyło. Byliśmy tylko we dwie kobiety, sam pan wie. Może pan to inaczej pamięta.

– Było dokładnie tak – potwierdziłem.

Odwróciła głowę w moją stronę.

– Prawda?

– Prawda.

– No to mnie pan rozumie – powiedziała Maya.

Wypowiedziałem parę słów, których znaczenia nie pojmowałem:

– Doskonale rozumiem.

Pejzaż wokół nas wciąż był niezmienny, zielone równiny i w tle góry, szare jak obraz Arizy. Położyłem ramię na oparciu fotela, który w tych modelach jest masywny i połączony, więc ma się wrażenie, że to jakaś randka. Powiewy wiatru i kołysanie nissana sprawiały, że włosy Mai dotykały czasami mojej ręki, dotykały mojej skóry, i to mi się podobało, czekałem na to. Przejechaliśmy prosty odcinek drogi między hacjendami z bydłem, zadaszonymi oborami i stadami krów spoczywającymi w cieniu akacji. Przejechaliśmy przez rzekę Negrito, nurt ciemnej wody i brudne brzegi, na których mieniły się kłęby piany, pozostałości po zanieczyszczeniach zbierających się w kolejnych osadach, gdzie ścieki odprowadza się do tej samej wody, w której się pierze ubrania. Kiedy dojechaliśmy do bramki z opłatą za wjazd i nissan stanął, nagły brak nawiewu sprawił, że temperatura w kabinie bardzo się podniosła, i poczułem – pod pachami, ale też na nosie i pod oczami – że zaczynam się pocić. A kiedy znów ruszyliśmy i zbliżyliśmy się do drugiego mostu nad Magdalena, Maya zaczęła opowiadać mi o swojej matce, o tym, co działo się z jej matką pod koniec 1989 roku. Patrzyłem na rzekę ponad żółtymi balustradami na moście, patrzyłem na piaszczyste wysepki, które w porze deszczowej zostaną zakryte przez brunatną wodę, a tymczasem Maya opowiadała mi o tym popołudniu, kiedy wróciła z uniwersytetu i zastała Elenę Fritts w łazience, pijaną tak, że prawie spała, wczepioną w sedes, jakby miał zaraz gdzieś odlecieć. „Moja dziewczynka, mówiła do Mai, przyszła moja dziewczynka. Moja dziewczynka już dorosła. Moja dziewczynka jest już dużą dziewczynką”. Maya pomogła jej, na ile mogła, wstać, zaprowadziła ją do łóżka i siedziała przy niej, patrząc, jak śpi, i dotykając jej czoła od czasu do czasu; o drugiej w nocy zaparzyła ziółka, postawiła butelkę wody na nocnym stoliku i przyniosła dwie tabletki od bólu głowy, a nad ranem usłyszała od niej, że już dłużej nie może, że próbowała, ale nie może, że Maya jest już dorosła i może sama podejmować decyzje, tak jak i ona podejmowała swoje. I sześć dni później wsiadła do samolotu i wróciła do swojego domu w Jacksonville, Floryda, Stany Zjednoczone, tego samego domu, z którego wyszła dwadzieścia lat temu z jedną tylko myślą w głowie: zostać wolontariuszką Korpusu Pokoju w Kolumbii. Doznać wzbogacających doświadczeń, zostawić swój ślad, dorzucić swoje ziarnko piasku. Takie rzeczy.

– Kraj się jej zmienił – powiedziała Maya. – Wróciła dwadzieścia lat później do tego samego miejsca i nie mogła go rozpoznać. Jest taki list, który zawsze mnie fascynował, z końca sześćdziesiątego dziewiątego, jeden z pierwszych. Moja mama pisze, że Bogota to nudne miasto. Że nie wie, czy wytrzyma długo w miejscu, w którym nic się nie dzieje.

– Nic się nie dzieje...

– Tak – odpowiedziała Maya – w którym nic się nie dzieje.

– Jacksonville – powtórzyłem. – Gdzie to jest?

– Nad Miami, dużo wyżej. Wiem, bo widziałam na mapie, nie byłem nigdy. W ogóle nie znam Stanów.

– Dlaczego nie chciała pani z nią wyjechać?

– Nie wiem, miałam osiemnaście lat – powiedziała Maya. – Jak się ma tyle lat, to życie jest nowe, dopiero co się je odkryło, zaczęłam się właśnie z kimś spotykać... Ciekawe, bo ledwie mama wyjechała, ja zdałam sobie sprawę, że Bogota to nie jest miejsce dla mnie. I tak jedno prowadzi do drugiego, jak to mówią na filmach, i oto tu jestem, Antonio. Tu jestem. Dwadzieścia osiem lat, samotna i wszystko gra, części ciała jeszcze wciąż na miejscu, a ja tu sobie mieszkam sama z pszczołami. Tu jestem. Zdycham z gorąca i wiozę nieznanego do ogrodu zoologicznego nieżyjącego mafiosa.

– Nieznajomego – powtórzyłem.

Maya wzruszyła ramionami i powiedziała coś, co nie znaczyło nic:

– No tak, ale no co w końcu.

Kiedy zajechaliśmy pod Hacjendę Nápoles zaczęło się chmurzyć i powietrze zrobiło się nieprzyjemnie gęste. Zanośliło się na deszcz. Nazwa posesji widniała wymalowana łuszczącymi się literami nad białym, przesadnie wielkim portalem – przejechałby tędy wielki TIR – a na dachu, bez trudu zachowując równowagę, stała niewielka awionetka, biało-niebieska jak brama. To była awionetka Piper, której Escobar używał przez pierwsze lata i jej, jak mawiał, zawdzięczał swoje bogactwo. Przejechać pod nią, przeczytać symbole wypisane na spodniej części skrzydeł – to było jak wkroczyć do świata poza czasem. A jednak czas upływał. Mówiąc ściślej, dokonał znacznych zniszczeń. Od 1993, kiedy Escobar został zastrzelony na jednym z dachów w Medellín, posiadłość popadła w szybką ruinę i to właśnie widzieliśmy przede wszystkim, jadąc z Mayą brukowaną drogą pośród pól obsadzonych drzewami cytrynowymi. Nie było bydła pasącego się na łąkach, co tłumaczyło, dlaczego trawa była tak wysoka. Zielsko zarastało drewniane pale. Właśnie się tym palom przyglądałem, kiedy zobaczyłem pierwsze dinozaury.

To właśnie one najbardziej mi się podobały podczas pierwszej wizyty. Escobar kazał je zbudować dla dzieci, tyranozaur i brontozaur naturalnych rozmiarów, mamut o dobrotliwym wyglądzie (szary i brodaty jak zmęczony dziadek), a nawet pterodaktyl unoszący się nad stawem z w ogóle niepasującym węzem w szponach. Teraz ich ciała rozpadały się na kawałki; było coś bardzo smutnego i niemal bezwstydnego w widoku tych betonowo-żelaznych struktur sterczących w powietrzu. Staw stał się pozbawioną życia kałużą, a w każdym razie takie sprawiał z drogi wrażenie. Zostawiliśmy nissana na kawałku zapuszczonego gruntu, przed drucianym ogrodzeniem, które kiedyś mogło być pod prądem, i zaczęliśmy chodzić po tych samych miejscach, które oglądaliśmy lata temu, kiedy byliśmy dziećmi, czy raczej nastolatkami, nie bardzo rozumiejącymi, czym zajmuje się właściciel tego wszystkiego ani dlaczego rodzice zabraniają tak niewinnej rozrywki.

– Wtedy nie można było chodzić pieszo, pamięta pan? Nie wysiadało się z samochodów.

– Tak, był zakaz.

– Uhm. Robi wrażenie.

– Co?

– Wszystko wydaje się mniejsze.

Miała rację. Żołnierzowi powiedzieliśmy, że chcemy zobaczyć zwierzęta, i zapytaliśmy, gdzie one są, a Maya, na oczach wszystkich, wręczyła mu banknot, żeby zachęcić go do współpracy. I tak, prowadzeni albo w towarzystwie, albo eskortowani przez chłopaczka jeszcze bez zarostu i w moro, który poruszał się powoli, lewa ręka oparta na karabinie, dotarliśmy pod klatki, w których spały zwierzęta. Wilgotne powietrze wypełniło się wonią brudu, mieszaniną odchodów i zepsutego jedzenia. Zobaczyliśmy geparda leżącego na dnie klatki. Zobaczyliśmy szympansa drapiącego się po głowie i drugiego, który łąził bez celu w kółko. Zobaczyliśmy pustą klatkę z otwartymi drzwiami i aluminiowy kubek oparty o kratę.

Ale nie zobaczyliśmy kangura, który kopie piłkę, ani słynnej papugi, która potrafi wymienić ciągiem skład reprezentacji Kolumbii, ani emu, ani lwów, ani słoni, które Escobar kupił w wędrownym cyrku, ani karłowatych koni, ani nosorożców, ani niesamowitego różowego delfina, który śnił się Mai przez cały tydzień po wizycie w zoo. Gdzie są te zwierzęta, które widzieliśmy w dzieciństwie? Nie wiem, dlaczego zaskoczyło nas nasze rozczarowanie, przecież o upadku Hacjendy Nápoles wiedziało się powszechnie, a przez te lata po śmierci Escobara pojawiały się w kolumbijskich mediach różne opowieści, coś w rodzaju zwolnionego filmu o rozkwicie i upadku mafijnego imperium. Ale może to nie nasze rozczarowanie tak nas zaskoczyło, tylko to, że przeżywaliśmy je razem, ta niespodziewana i przede wszystkim

nieusprawiedliwiona solidarność, która nas zjednoczyła, oboje przyjechaliśmy tu w tym samym czasie, dla obojga to miejsce symbolizowało to samo doświadczenie. To pewnie dlatego, kiedy później Maya zapytała, czy można podjechać pod dom Escobara, miałem wrażenie, że mi to wyjęła z ust, i tym razem to ja wyciągnąłem pomięty i brudny banknot, żeby przekupić żołnierzyka.

– O nie, tam nie wolno wchodzić – odpowiedział.

– A dlaczego nie? – zapytałam Maya.

– Bo nie – stwierdził. – Ale mogą państwo obejść dookoła i zajrzeć przez okna.

Tak zrobiliśmy. Obeszliśmy cały budynek wokół i obejrzelśmy zniszczone ściany, brudne i powybijane szyby, kawałki desek odstawały pod dachem i na kolumnach, wszędzie leżały popękane i porozrzucane kafelki z zewnętrznych łazienek. Widzieliśmy stoły bilardowe, których nie wiedzieć czemu nikt przez sześć lat nie zabrał, w pociemniałych i brudnych salonach jasna zieleń sukna błyszczała jak klejnot. Widzieliśmy basen bez wody, pełen suchych liści, kawałków kory i gałązek nawianych przez wiatr. Widzieliśmy garaż, w którym rdzewiała kolekcja starych samochodów, widzieliśmy odłóżony lakier, zbite światła, zapadające się karoserie i wyrwaną tapicerkę, fotele przemienione w chaos sprężyn i drutów, i przypomniało nam się, że według legendy jeden z tych pojazdów, pontiac, należał do Ala Capone, a drugi, też zgodnie z legendą, do Bonnie i Clyde'a. A potem zobaczyliśmy biały samochód, który wcale nie był luksusowy, a zwykły i tani, ale jego kolor nie pozostawiał złudzeń: słynne renault 4, którym młody Pablo Escobar, grubo przedtem nim kokaina stała się źródłem jego bogactwa, uczestniczył w lokalnych wyścigach jako początkujący pilot. Puchar Renault 4, tak się nazywało to amatorskie wyróżnienie, wtedy pierwszy raz nazwisko Escobara pojawiło się w kolumbijskiej prasie, dużo wcześniej nim pojawiło się w kontekście samolotów, bomb i debat o ekstradycji, pojawiło się jako nazwisko pilota w wyścigach o ten puchar; młody chłopak z prowincji w kraju, który wówczas był jeszcze małą prowincją świata, młody handlarz, o którym mówiło się jeszcze nie w związku z rodzącym się nielegalnym handlem. I teraz samochód stał tu uśpiony, w ruinie, zżerany przez zaniedbanie i czas, biały lakier odpadał, karoseria była cała w dziurach, zdechłe zwierzę, w którego skórze zalęgły się robaki.

Ale może najdziwniejsze tego popołudnia było to, że wszystko oglądaliśmy w milczeniu. Często na siebie patrzyliśmy, ale prawie się nie odzywaliśmy, nie licząc jakichś pojedynczych okrzyków czy półsłówek, może dlatego, że wszystko, co widzieliśmy, każdemu z nas przywodziło na myśl inne wspomnienia i inne lęki, i wydawało nam się nieostrożne albo nierozsądne pakowanie się w przeszłość tej drugiej osoby. Bo to była właśnie nasza wspólna przeszłość, wszystko, co tam było i czego nie było zarazem, jak rdza, której nie widać, a jednocześnie zżera na naszych oczach drzwi samochodów, felgi, błotniki, deski rozdzielcze i kierownice. Jeśli chodzi o przeszłość tej posesji, to nie interesowaliśmy się nią za bardzo, to, co się tu wydarzyło, interesy, które tu prowadzono, żywoty, które dobiegły tu kresu, imprezy, które tu urządzano, oraz przemoc, którą tu planowano, wszystko to stanowiło drugi plan, dekorację. Milcząco zgodziliśmy się, że to nam wystarczy, i ruszyliśmy z powrotem w stronę nissana. Dobrze to pamiętam: Maya wzięła mnie pod ramię albo zahaczyła swoją ręką o moją, tak jak to robiły kobiety w innych czasach, i ta anachroniczność jej gestu kryła w sobie bliskość, nie do przewidzenia, która niczego nie zapowiadała.

Wtedy zaczęło padać.

Z początku była to mżawka, choć krople były grube, ale w kilka sekund niebo pociemniało jak ośli brzuch, a ulewa przemoczyła nam ubrania, zanim zdążyliśmy się gdziekolwiek schować.

– Cholera, i po spacerze – stwierdziła Maya.

Zanim dotarliśmy do nissana, byliśmy kompletnie przemoczeni; ponieważ biegliśmy (z rękami do góry, zasłaniając ramionami oczy), spodnie mieliśmy zupełnie mokre z przodu, natomiast tył prawie suchy, jakby z innego materiału. Szyby auta błyskawicznie zaparowały od naszych oddechów i Maya musiała wyjąć ze schowka pudełko papierowych chusteczek, żeby przetrzeć przednią szybę i móc jechać bez ryzyka, że wpadniemy na pierwszy lepszy słup. Puściła nawiew przez czarną kratkę na desce rozdzielczej i ruszyliśmy ostrożnie. Ale ledwie przejechaliśmy ze sto metrów, Maya zahamowała tak szybko, jak tylko się dało, z siedzenia pilota też zauważyłem to, co ona: jakieś trzydzieści metrów przed nami, w połowie drogi między nissanem a stawem, przyglądał nam się z uwagą hipopotam.

– Ale piękny – powiedziała Maya.

– Jak to piękny? – zdziwiłem się. – To najbrzydsze zwierzę świata.

Ale Maya nie zwracała na mnie uwagi.

– To chyba nie jest dorosły osobnik – ciągnęła. – Jest bardzo mała, to młode. Może się zgubiła?

– A skąd wiesz, że to samica?

Ale Maya już wysiadła, mimo ulewy i mimo tego, że od zwierzęcia dzieliło ją drewniane ogrodzenie. Skóra hipopotama miała jasnoszary i połyskliwy kolor, a w każdym razie takie miałem wrażenie w łagodnym świetle wieczoru. Krople padały na jego ciało i odbijały się jak od szyby. Hipopotam, samiec albo samica, nie okazywał strachu, patrzył na nas albo patrzył na Mayę, która oparła się o ogrodzenie i patrzyła na niego. Nie wiem, ile to trwało, minutę, dwie, co w takiej sytuacji oznacza, że długo. Deszcz ściekał po włosach Mai, a całe jej ubranie zmieniło barwę. Wtedy hipopotam zaczął się powoli ruszać, jak okręt, który próbuje zakreślić na morzu, zobaczyłem jego profil i zaskoczyło mnie, że to tak długie zwierzę. A potem już straciłem go z oczu, czy też raczej widziałem jego potężny zad, i wydawało mi się, że dostrzegam strumyki wody na jego chropawej i błyszczącej skórze. Oddalał się przez wysokie trawy, łapy zasłaniało mu zielsko, wydawało się, że wcale się nie przemieszcza, tylko zmniejsza. Kiedy doszedł do stawu i zanurzył się w wodzie, Maya wróciła do auta.

– Ile te zwierzęta tu wytrzymają, bardzo jestem ciekawa – powiedziała. – Nikt ich nie karmi ani się nimi nie zajmuje, bo to musi kosztować majątek.

Nie mówiła do mnie, to było jasne, po prostu rozmyślała na głos. A ja oczywiście przypomniałem sobie inny komentarz, identyczny w treści, w formie nawet też, który słyszałem jakiś czas temu, kiedy świat, a w każdym razie ten mój, był zupełnie inny, kiedy jeszcze czułem się panem mego życia.

– To samo powiedział Ricardo – odezwałem się. – Tak go poznałem, kiedy ze współczuciem mówił o zwierzętach z tego zoo.

– Wyobrażam sobie – westchnęła Maya. – Zwierzęta bardzo go obchodziły.

– Mówił, że przecież nie są niczemu winne.

– I racja – powiedziała Maya. – To jest jedno z niewielu, bardzo niewielu wspomnień, jakie mam. Tata opiekujący się końmi. Tata głoszący psa mamy. Tata zwracający mi uwagę, bo nie nakarmiłam pancernika. Jedyne prawdziwe wspomnienia. Reszta to kreacja, Antonio, fałszywe wspomnienia. Najsmutniejsze, co może człowieka spotkać, to konieczność wymyślania wspomnień.

Głos jej drżał, ale to można było przypisać zmianie temperatury. W oczach zabłysły jej łzy; woda ciekła jej po policzkach i spływała wokół ust.

– Mayu – zapytałem – dlaczego go zabili? Ja wiem, że tego elementu układanki brakuje, ale jak pani sądzi?

Nissan już ruszył i połykał kolejne kilometry dzielące nas od bramy wjazdowej, dłoń Mai

zaciskała się na czarnym drążku zmiany biegów, woda ściekała jej po twarzy i szyi.

Powtórzyłem:

– Dlaczego, Mayu?

Nie patrząc na mnie, nie odrywając oczu od zaparowanej szyby, Maya wypowiedziała te trzy słowa, które już tyle razy słyszałem z różnych ust:

– Coś musiał zrobić.

Ale tym razem wydały mi się niestosowne, nie odpowiadały temu, co Maya wie.

– Tak – odpowiedziałem – ale co? Czy pani nie chce tego wiedzieć?

Maya spojrzała na mnie ze współczuciem. Próbowałem coś dodać, ale weszła mi w słowo:

– Wie pan co, nie chcę dłużej o tym gadać. – Czarne wycieraczki przesuwają się po szybie, zgarniając wodę i przyklepione liście. – Chciałabym, żebyśmy przez chwilę nie rozmawiali, zmęczyło mnie to gadanie. Rozumie mnie pan, Antonio? Zbyt dużo rozmawialiśmy. Jestem tym zmęczona. Chcę przez chwilę pomilczeć.

Tak więc w milczeniu zajechaliśmy pod bramę, przejechaliśmy pod błękitno-białą piper i nadal bez słowa skręciliśmy w lewo na La Doradę. W milczeniu pokonaliśmy część trasy, drzewa po obu stronach szosy stykały się na górze koronami, zasłaniając światło, ale w deszczowe dni ograniczały opady, ułatwiając życie kierowcom. W milczeniu wróciliśmy na puste tereny, w milczeniu minęliśmy żółte barierki mostu nad Magdaleną, w milczeniu przejechaliśmy nim. Powierzchnia wody jeżyła się od ulewy, nie była już gładka jak skóra hipopotama, tylko chropawa jak wielka śpiąca jaszczurka, a na jednej z wysepek mokła biała łódka z silnikiem wystającym ponad wodę. Maya była smutna, jej smutek wypełniał kabinę nissana, tak jak i zapach naszych mokrych ubrań, a ja mogłem coś powiedzieć, ale nie mówiłem. Zachowałem milczenie, tak jak sobie tego życzyła. I tak, w tej taktownej ciszy, zakłócanej tylko stukotem deszczu o metalowy dach terenówki, przejechaliśmy przez bramkę i ruszyliśmy na południe, między hacjendami z bydłem. To były dwie długie godziny, podczas których niebo czerniało, już nie od chmur nabrzmiałych deszczem, tylko przez noc, bo zaskoczyła nas w połowie drogi. Kiedy reflektory nissana oświetliły białą fasadę domu, panowała już ciemność. Ostatnie, co zobaczyliśmy, to oczy owczarka niemieckiego błyszczące w światłach reflektorów.

– Nikogo nie ma – powiedziałem.

– Pewnie że nie – odpowiedziała Maya. – Jest niedziela.

– Dzięki za przejażdżkę.

Ale Maya nic nie powiedziała. Wkroczyła do środka i szła, wymijając meble i ściągając z siebie mokre ubrania, celowo po omacku, bo nie zapaliła przy tym światła. Ja szedłem za nią, a właściwie za jej cieniem, i zdałem sobie sprawę, że ona tego chce. Świat był czarny i niebieski, składał się nie z kształtów, tylko z konturów, jednym z nich była sylwetka Mai. Ja pamiętam to tak, że to jej ręka poszukała mojej, nie odwrotnie, a potem Maya wypowiedziała słowa:

– Jestem zmęczona tym, że wciąż śpię sama. – Chyba też powiedziała coś prostego i bardzo zrozumiałego: – Dziś w nocy nie chcę być sama.

Nie pamiętam, jak doszedłem do łóżka Mai, ale wyraźnie widzę siebie, jak siadam na nim, obok stolika nocnego z trzema szufladami. Maya obeszła łóżko wokół i jej widmowa sylwetka pojawiła się wyraźnie na tle ściany, przed lustrem na szafie, i wydało mi się, że patrzyła na swoje odbicie, a jej odbicie patrzyło na mnie. Przyglądając się tym równoległym rzeczywistościom, wszedłem do łóżka i nie opierałem się, kiedy Maya zbliżyła się do mnie, jej dłonie rozpięły moje ubranie, jej przyciemnione słońcem dłonie zachowały się tak jak moje, z taką samą naturalnością, z taką samą swobodą. Pocałowała mnie i poczułem czysty, a zarazem też zmęczony oddech, oddech po całym dniu, i pomyślałem (śmieszna myśl, a poza tym nie do

udowodnienia), że ta kobieta nie całowała nikogo od dawna. I wtedy przestała mnie całować. Maya dotykała mnie na darmo, na darmo brała mój penis do ust, jej język na darmo przesuwiał się po mnie bezgłośnie, aż wreszcie jej usta z rezygnacją wróciły do moich ust i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jest naga. W półmroku jej twarde sutki miały fioletowy odcień, ciemnofioletowy, tak jak widzą czerwien nurkowie na dnie morza.

– Byłaś kiedyś na dnie morza, Mayu? – zapytałem ją, a w każdym razie tak mi się wydaje. – Tak bardzo głęboko, że kolory się zmieniły?

Położyła się obok na plecach i w tej chwili ogarnęła mnie absurdalna myśl, że jest jej zimno.

– Zimno ci? – zapytałem. Ale nie odpowiedziała. – Mam sobie pójść?

Na to pytanie też nie odpowiedziała, acz było to pytanie bezsensowne, bo Maya nie chciała być sama, przecież wyraźnie powiedziała. Ja też nie chciałem być w tej chwili sam, towarzystwo Mai stało się dla mnie koniecznością, równie ważne było dla mnie to, żeby przestała się smucić. Pomyślałem, że jesteśmy oboje w tym pokoju i domu sami, ale jest to samotność wspólna, każde ze swoim własnym bólem gdzieś w środku, że jednocześnie działanie tego bólu słabnie dzięki dziwnym właściwościom nagości. I wtedy Maya zrobiła coś, co jak dotąd zrobiła tylko jedna osoba na świecie: jej ręka spoczęła na moim brzuchu i znalazła bliznę, i zaczęła ją głaskać, tak jakby malowała coś palcem, jakby umoczyła ten palec w farbie i starała się narysować na mojej skórze dziwny, ale symetryczny kształt. Ja ją pocałowałem, nie tyle dla samego pocałunku, ile po to, żeby zamknąć oczy, a potem moja ręka przesunęła się po jej piersiach, Maya wzięła moją dłoń w swoją, wsunęła ją między swoje nogi i nasze dłonie dotknęły jej gładkich, równych włosków, potem wnętrza delikatnych ud, a potem jej cipki. Moje palce pod jej palcami wsunęły się do środka i jej ciało zeszywniało, a nogi rozwarły się jak skrzydła. „Jestem zmęczona tym, że wciąż śpię sama”, powiedziała mi ta kobieta, która teraz patrzyła na mnie oczami szeroko otwartymi w ciemności pokoju, marszcząc brwi jak ktoś, kto właśnie coś zaczyna rozumieć.

Maya Fritts nie spała sama tej nocy, nie pozwoliłbym na to. Nie wiem, w którym momencie zacząłem tak się przejmować jej samopoczuciem, nie wiem, kiedy zacząłem żałować, że nie ma przed nami żadnych możliwości, że nasza wspólna przeszłość wcale nie oznacza wspólnej przyszłości. Mieliśmy takie samo życie, a jednak każde było inne, albo raczej moje było inne, życie z ludźmi, którzy na mnie czekali po drugiej stronie kordyliery, cztery godziny jazdy od Las Acacias, na dwóch tysiącach sześciuset metrach nad poziomem morza... W ciemności pokoju myślałem właśnie o tym, choć myślenie w ciemności nie jest dobre, wszystko wydaje się większe i poważniejsze, choroby bardziej wyniszczające, obecność zła bliższa, brak miłości dotkliwszy, samotność głębsza. Dlatego chcemy mieć kogoś, żeby z nim spać, i dlatego za nic nie chciałem zostawić Mai samej tej nocy. Mogłem się ubrać i wyjść bez słowa, stąpając na bosaka i zostawiając uchylone drzwi jak złodziej. Ale nie zrobiłem tego. Widziałem, jak zapada w głęboki sen, z pewnością wynik zmęczenia podróży i emocji. Wspominanie mężczy, tego nas nie uczy, pamiętanie to czynność wyczerpująca, spala energię i zużywa mięśnie. Tak więc patrzyłem, jak Maya zasypia na boku, twarzą zwrócona w moją stronę, a kiedy już zapadła w sen, wsunęła rękę pod poduszkę, jakby ją obejmując albo wczepiając się w nią; znowu ujrzałem ją jako dziewczynkę i nie miałem wątpliwości, że w tym geście kryła się dziewczynka, którą kiedyś była, i pokochałem ją na jakiś niejasny i absurdalny sposób. I wtedy też zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, było jeszcze ciemno. Nie wiedziałem, ile upłynęło czasu. Nie obudziło mnie światło ani odgłosy tropikalnego świtu, tylko daleki pomruk głosów. Poszedłem za tymi głosami do salonu i nie byłem zdziwiony, kiedy ją zobaczyłem, siedziała na kanapie z twarzą w dłoniach, a z małego magnetofonu sączyło się nagranie. Wystarczyło mi kilka sekund,

wystarczyły mi nie więcej niż dwa zdania wypowiedziane po angielsku przez nieznanymi mi ludzi, bym od razu rozpoznał nagranie, bo jakąś częścią mnie ani na chwilę nie przestałem słuchać tego dialogu, w którym rozmawiano o warunkach klimatycznych, a potem o pracy, a jeszcze później o tym, ile godzin wolno latać pilotom między obowiązkowymi odpoczynkami, zupełnie jakbym odsłuchiwał tego wczoraj. „No nic, zobaczymy”, powiedział kapitan dokładnie tak samo jak wtedy, w domu Consu. „Mamy sto trzydzieści sześć mil do VOR, musimy zejść na trzysta dwie stopy, i do tego wszystkiego zacząć redukować prędkość, więc dobra, czas się brać do roboty”. A drugi pilot mówił: „Bogota, American dziewięć sześć pięć, zgoda na lądowanie”. A Bogota odpowiadała: „Potwierdzam, American dziewięć sześć pięć, tu Cali”. A drugi pilot odpowiadał: „Świetnie, Cali. Będziemy za dwadzieścia pięć minut”. A ja pomyślałem dokładnie to samo co wtedy: Tak nie będzie. Nie dolecą tam za dwadzieścia pięć minut. Wszyscy zginą i to odmieni moje życie.

Maya nie spojrzała na mnie, choć słyszała, że wszedłem, ale podniosła głowę, jakby na mnie czekała, a na jej policzkach widziałem ślady łez i chciałem w głupim odruchu ochronić ją przed tym, co nastąpi na końcu nagrania. Brama dwa, pas zero jeden, zapalono światła samolotu, bo w okolicy był duży ruch, a ja usiadłem obok Mai na kanapie, objąłem ją ramieniem, przytuliłem mocno i oboje zapadliśmy się pod naszym ciężarem na poduszkach, jak wiekowa para cierpiąca na bezsenność, tym właśnie byliśmy, parą małżonków liczących wiele lat, którzy nie mogą zasnąć i siedzą o poranku jak duchy, by dzielić się swoją bezsennością. „To ja się teraz odezwę”, mówił głos i zaraz kontynuował: „Szanowni państwo, mówi kapitan. Rozpoczęliśmy podejście do lądowania”. Wtedy usłyszałem, że płacze.

– Tam jest mama – powiedziała. Myślałem, że nie powie nic więcej. – Zaraz zginie – odezwała się wtedy – zostawi mnie samą. A ja nic nie mogę zrobić, Antonio. Dlaczego musiała wybrać ten lot? Dlaczego nie bezpośredni, skąd ten cały pech?

Przytuliłem ją, bo co więcej mogłem zrobić, nie mogłem zmienić tego, co się stało, ani zatrzymać upływu czasu na taśmie, czasu, który toczył się ku temu, co zakończone, co ostateczne. „Chciałbym życzyć wszystkim bardzo wesołych świąt i szczęśliwego roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego”, mówił kapitan na taśmie. „Dziękujemy, że skorzystali państwo z naszych linii”.

I te fałszywe słowa – rok 1996 dla Elaine Fritts nie istniał – zmusiły Mayę do wspomnienia, do podjęcia męczącej pracy przywoływania wspomnień. Czy zrobiłaś to dla mnie, Mayu Fritts, czy na przykład odkryłaś, że możesz mnie wykorzystać, że nikt inny nie pozwoliłby sobie na taki powrót do przeszłości, że nikt, tak jak ja, nie będzie sięgał do wspomnień, słuchał ich z takim oddaniem i dyscypliną jak ja? I tak opowiedziała mi o tym grudniowym popołudniu, kiedy po długim dniu pracy przy ulach weszła do domu, żeby wziąć prysznic. W kilku ulach pojawiła się akarioza i cały tydzień starała się zminimalizować straty, przygotowywała mieszankę zawilca i podbiału, na dłoniach utrzymywał się jej intensywny zapach tej substancji, więc chciała szybko to zmyć.

– Wtedy zadzwonił telefon – powiedziała. – Już miałam nie odbierać. Ale pomyślałam, a nuż to coś ważnego? Usłyszałam głos mamy i zdążyłam odetchnąć, że w porządku, że to nic takiego. W każdym razie nic poważnego. Mama zawsze dzwoniła na święta, tego zwyczaju nie zatraciliśmy mimo upływu lat. Rozmawialiśmy pięć razy do roku: na jej urodziny, na moje, na Boże Narodzenie, na Nowy Rok i na urodziny taty. Urodziny zmarłego, rozumie pan, obchodzą je żywi, bo jego nie ma, więc nie może. Tym razem rozmawialiśmy dobrą chwilę, opowiadaliśmy sobie o nieistotnych sprawach, i ni stąd, ni z owąd moja mama zamilkła, a potem mówi: „Słuchaj, musimy pogadać”.

I tak, podczas rozmowy międzynarodowej, poprzez sygnały telefoniczne pochodzące z

Jacksonville, Floryda, Maya poznała prawdę o swoim ojcu.

– Wcale nie umarł, kiedy miałam pięć lat. Żył. Siedział w więzieniu i właśnie wyszedł. Żył, Antonio. A do tego znajdował się w Bogocie. I jeszcze znalazł moją mamę, nie wiem jak. I jeszcze chciał się z nami spotkać.

„Piękna noc, nie?”, powiedział kapitan. A drugi pilot: „Tak. Z każdej strony bardzo ładnie”.

– Żebyśmy się spotkali, Antonio, no błagam – opowiadała Maya. – Jakby wyszedł na kilka godzin na targ.

A kapitan: „Wesołych świąt”.

Nie wiem, czy ktoś badał reakcje ludzi w takich sytuacjach, jak zachowuje się człowiek wobec tak brutalnej zmiany okoliczności, kiedy świat, jakim go zna, znika. Można założyć, że w wielu przypadkach pociąga to za sobą stopniowe zmiany, poszukiwanie nowego miejsca w wypracowanym dotąd systemie naszego życia, przegląd naszych relacji z innymi oraz tego, co nazywamy przeszłością. Może właśnie to jest najtrudniejsze i najmniej akceptowalne, zmiana przeszłości, którą dotąd mieliśmy za ustaloną. W przypadku Mai Fritts najpierw przyszło niedowierzanie, ale nie trwało długo, w kilka sekund ustąpiło miejsca oczywistości. Potem pojawiło się coś w rodzaju hamowanej wściekłości, po części powodowanej niepewnością takiego życia, w którym jeden telefon może wszystko wywrócić do góry nogami dosłownie w sekundy: wystarczy podnieść słuchawkę i już przez nią do domu wkracza nowy fakt, nie chcieliśmy go i o niego nie prosiliśmy, a zmiata nas jak jakaś lawina. A po hamowanej wściekłości nastąpiła wściekłość jawna, krzyki przez telefon, wyzwiska. A po jawnej wściekłości przyszła nienawiść i nienawistne słowa: „Nikogo nie chcę widzieć”, powiedziała Maya swojej matce. „On się jeszcze przekona, ale ciebie ostrzegam. Jeśli będzie mi się tu kręcić, zacznę strzelać”. Maya mówiła drżącym głosem, musiało to zupełnie inaczej wyglądać niż to, co widziałem na kanapie, ten cichy, nawet spokojny płacz. „Gdzie jesteście?”, pyta drugi pilot z czarnej skrzynki, a w jego głosie słychać niepokój, zapowiedź tego, co nastąpi.

– Teraz się zaczyna – powiedziała Maya.

I miała rację, zaczynało się. „Gdzie się kierujemy?”, pytał drugi pilot. „Nie wiem”, odpowiadał kapitan, „Co to? Co się stało?”. I tak, od tych zdezorientowanych manewrów boeinga 757, od jego ruchów jak u zagubionego ptaka na trzynastu tysiącach stóp wysokości, zaczynała się śmierć Elaine Fritts. I znów zabrzmiały te głosy ludzi, którzy już zdali sobie z czegoś sprawę, którzy symulują spokój i opanowanie, podczas gdy tak naprawdę przestali nad czymkolwiek panować, a ich spokój to jedno wielkie oszustwo. „Skręć w prawo? Chcesz skrócić w prawo?”, „Nie, nie, w żadnym razie. Leć prosto do...”, „Dokąd?”, „Na Tuluá”, „Ale to jest po prawej”, „Dokąd lecimy? Dawaj w prawo”.

– Tutaj spieprzyli – powiedziała, a raczej szepnęła Maya. – I mama razem z nimi.

– Przecież nie wiedziała, co się dzieje. Nie wiedziała, że piloci stracili orientację.

Przynajmniej nie czuła strachu.

Maya się zastanowiła.

– Racja. Przynajmniej się nie bała.

– O czym mogła myśleć? Zastanawiała się pani nad tym, Mayu? O czym Elaine mogła w tej chwili myśleć?

Z nagrania zaczęły dobiegać odgłosy przestrawu. Elektroniczny głos powtarzał pilotom rozpaczliwe ostrzeżenia: *Terrain, terrain*.

– Tysiąc razy stawiałam sobie to pytanie – powiedziała Maya. – Bardzo wyraźnie jej powiedziałam, że nie chcę go widzieć, że mój tata umarł, kiedy miałam pięć lat, i już, tego się nie zmieni. Tak jest urządzone moje życie, i kropka. Więc niech mi nie próbują mieszać w moich

sprawach na tym etapie. Ale przez następnych parę dni byłam kompletnie rozbita. Rozchorowałam się. Dostałam gorączki, wysokiej, i z tą gorączką i tak dalej szłam pracować do uli, z czystego strachu, że kiedy będę w domu, pojawi się mój ojciec. O czym ona mogła myśleć? Może, że warto spróbować. Że tata bardzo mnie kochał, bardzo nas kochał, więc warto spróbować. Następnego dnia znów zadzwoniła, próbowała się tłumaczyć, że robiła to ze względu na tatę, mówiła, że wtedy wszystko wyglądało inaczej, świat handlu narkotykami, to wszystko. Że wszyscy byli naiwni, tak mówiła. Nie, że niewinni, tylko naiwni, nie wiem, czy różnica jest tu jasna. Choć w sumie na jedno wychodzi. Jakby w tym naszym kraju można było być niewinnym... W każdym razie to wtedy mama postanowiła wsiąść do samolotu i załatwić sprawy osobiście. Uprzedziła, że wsiądzie do pierwszego samolotu, jaki się nadarzy. A jeśli jej własna córka będzie do niej strzelać, trudno, jakoś to znieśie. Tak powiedziała: własna córka. Że jakoś to znieśie, ale chce mieć jasność, po tym wszystkim, co się stało. Ach, to ten fragment. Jak to strasznie boli, wierzyć się nie chce, przecież tyle czasu upłynęło. – „Cholera”, powiedział pilot na nagraniu. – Jak to boli – powtórzyła Maya. – „Wyżej, dawaj”, mówił pilot, „wyżej”. – Samolot spada – powiedziała Maya.

- Wyżej – powiedział kapitan z czarnej skrzynki.
- Będzie dobrze – powiedział drugi pilot.
- Zaraz się zabiją – odezwała się Maya. – I nie ma na to rady.
- Wyżej – powiedział kapitan. – Powoli, powoli.
- A ja nawet nie zdążyłam się pożegnać – mówiła Maya.
- Wyżej, wyżej – powtarzał kapitan.
- Okay – odpowiedział pilot.
- Skąd miałam wiedzieć? – mówiła Maya. – Skąd miałam wiedzieć, Antonio?

A kapitan:

- Wyżej, wyżej, wyżej.

W świeżym powietrzu poranka rozległ się płacz Mai, delikatny i łagodny, ale też śpiew pierwszych ptaków, a także hałas, który jest matką wszystkich hałasów, hałas rzeczy, które przepadają, spadając w otchłań, hałas, z jakim spadały nad Andami te wszystkie rzeczy z samolotu lot numer 965 i który w jakiś absurdalny sposób był też hałasem życia Ricarda Laverdego, nieodwołalnie związanego z losem Eleny Fritts. A moje życie? Czy moje własne życie też runęło na ziemię właśnie w tej chwili, czy ten hałas nie był zarazem hałasem mojego upadku, który tam się zaczął, choć nie miałem o tym pojęcia? „A więc ty też spadłeś z nieba?”, pyta Mały Książę pilota, który opowiada swoją historię, i pomyślałem, że tak, ja też spadłem z nieba, ale na temat mojego upadku nie zachowało się żadne świadectwo, nie było żadnej czarnej skrzynki, którą ktoś mógłby odsłuchać, nie było też czarnej skrzynki Ricarda Laverdego, ludzkie życie nie mają takich technologicznych luksusów.

- Mayu, jak to się stało, że tego słuchamy? – zapytałem.

Spojrzała na mnie bez słowa (czerwone i pełne łez oczy, usta w grymasie smutku).

Pomyślałem, że mnie nie zrozumiała.

- To znaczy... Chodziło mi o to, że ciekaw jestem, skąd masz to nagranie.

Maya westchnęła głęboko.

- Zawsze lubił mapy – powiedziała.

– Co?

- Mapy – powtórzyła. – Zawsze je lubił.

Ricardo Laverde zawsze lubił mapy. W szkole dobrze mu szło (zawsze był w pierwszej trójce), ale z niczym nie szło mu tak dobrze, jak z mapami, podczas tych ćwiczeń, kiedy uczeń, używając miękkiego ołówka, pióra albo cienkopisu, ma odwzorować na papierze kalkowym albo

innym prześwitującym geograficzny zarys Kolumbii. Lubił te nagłe linie proste amazońskiego trapezu, lubił wybrzeże Pacyfiku wygięte jak łuk bez strzały, umiał z pamięci narysować półwysp Guajira i w każdej chwili mógłby przewiązać sobie oczy i wetknąć w plan szpilkę, i z palcem w nosie trafić w Masyw Kolumbijski. W całej szkolnej historii Ricarda jedyne uwagi dyscyplinarne dostawał wtedy, kiedy należało w klasie robić mapy, bo Ricardo kończył swoje w połowę czasu, a przez resztę lekcji zajmował się rysowaniem ich kolegom za monetę pięćdziesięciocentawową, jeśli chodziło o polityczno-administracyjny podział kraju, albo za jedno peso w przypadku mapy hydrograficznej bądź podziału na strefy klimatyczne.

– Dlaczego mi to pani powiada? – zapytałem. – Jaki to ma związek?

Kiedy po dziewiętnastu latach więzienia wrócił do Kolumbii i musiał znaleźć pracę, zgodnie z logiką szukał czegoś związanego z samolotami. Pukał do licznych drzwi: aeroklubów, szkół latania, ale wszystkie pozostawały zamknięte. I wtedy, idąc za głosem czegoś w rodzaju natchnienia, stanął się w Instytucie Geograficznym imienia Agustina Codazzi. Poddali go testom i po dwóch tygodniach pilotował dwusilnikowego commandera 690A, którego załoga składała się z pilota, drugiego pilota, dwóch geografów, dwóch specjalistów techników oraz wyrafinowanego sprzętu do fotografowania z powietrza. I tym się zajmował przez ostatnie miesiące życia: o świcie startował z lotniska El Dorado, przemierzał powietrzną przestrzeń Kolumbii, podczas gdy aparatura, którą wiózł z tyłu, robiła zdjęcia 23 na 23, trafiające po długim procesie przetwarzania do atlasów szkolnych, żeby dzieci mogły uczyć się, jakie są dopływy rzeki Cauca i gdzie zaczyna się Kordyliera Zachodnia.

– Takie dzieci jak nasze – powiedziała Maya – o ile kiedyś będziemy mieć dzieci.

– Będą się uczyć ze zdjęć Ricarda.

– Przyjemna myśl – powiedziała Maya. A potem: – Tata bardzo zaprzyjaźnił się ze swoim fotografem.

Nazywał się Iragorri, Francisco Iragorri, ale wszyscy mówili na niego Pacho.

– Szczupły facet, na oko w naszym wieku, z tych, co to mają buźkę jak dziecko, rumiane policzki, zadarty nosek i ani jednego włoska na twarzy.

Maya szukała go i znalazła, zadzwoniła do niego i zaprosiła do Las Acacias na początku 1998 roku, i to on opowiedział jej, jak przebiegła ostatnia noc Ricarda Laverdego.

– Zawsze latali razem, a po locie szli na piwo i się rozstawali. Po dwóch tygodniach spotykali się w instytucie, w tamtejszym laboratorium, i razem pracowali nad fotografiami. Albo raczej Iragorri pracował i pozwalał tacie patrzeć i się uczyć. Obróbki zdjęć. Analizy zdjęć w trzech wymiarach. Posługiwania się wizjerem stereoskopowym. Mój tata cieszył się z tego jak dziecko, tak mówił Iragorri.

Dzień przed tym, kiedy został zabity, Ricardo Laverde przyszedł do laboratorium i szukał Iragorriego. Było późno. Iragorri domyślił się, że ta wizyta nie jest związana z pracą, i wystarczyło mu kilka zdań, kilka spojrzeń, żeby odgadnąć, że pilot poprosi go o jakąś pożyczkę: nie ma nic łatwiejszego, niż przewidzieć prośby o charakterze finansowym. Ale nigdy w życiu nie wpadłby na prawdziwy powód: Laverde miał kupić nagranie, nagranie z czarnej skrzynki. Wyjaśnił Iragorriemu, o jaki chodzi lot. Wyjaśnił mu, kto wtedy zginął.

– Forsa była dla urzędników, którzy mieli mu załatwić tę kasetę – powiedziała Maya. – Okazuje się, że to nie takie trudne, jeśli się ma kontakty.

Problemem była wysokość pożyczki. Laverde potrzebował sporej kwoty, więcej, rzecz jasna, niż ktokolwiek nosi przy sobie, ale też więcej niż można wyjąć z bankomatu. Tak więc dwaj przyjaciele, pilot i fotograf, podjęli decyzję, że zostaną tam, żeby jakoś spędzić czas w budynku Instytutu Geograficznego imienia Agustina Codazzi, zamknięci w ciemnym pomieszczeniu w biurach Odzyskiwania Materiałów Fotograficznych, i będą zajmować się

starymi odbitkami albo opracowywaniem topografii z zaległych zleceń, albo poprawiając błędne wyliczenia, i tak mniej więcej o jedenastej trzydzieści w nocy pójdą do najbliższego bankomatu, żeby wyjąć maksymalną dopuszczalną kwotę dwa razy: przed północą i zaraz po północy. I tak postąpili. Oszukali w ten sposób komputer, ten biedny aparat rozumiejący tylko cyferki; tak Ricardo Laverde zdobył potrzebną mu sumę.

– Wszystko to opowiedział mi Iragorri. Był to ostatni kawałek informacji, jaki udało mi się zdobyć – powiedziała Maya – aż do momentu, kiedy się dowiedziałam, że tata nie był sam, kiedy do niego strzelano.

– Aż się pani dowiedziała, że istnieję.

– Tak. Aż się dowiedziałam.

– Mnie Ricardo nigdy o tej pracy nie mówił. Ani o mapach, ani o powietrznych zdjęciach, ani o dwusilnikowcu Commander.

– Nigdy?

– Nigdy. I to nie to, żebym nie pytał.

– Rozumiem – powiedziała Maya.

Ale było ewidentne, że ona wiedziała coś, co mi umykało. Za oknem w salonie zaczęły pojawiać się drzewa, kształty ich gałęzi odcinały się powoli od ciemnego tła tej długiej nocy, a w środku, dookoła nas, przedmioty powracały do dziennego życia.

– Co pani rozumie? – zapytałem Mayę.

Sprawiała wrażenie zmęczonej. Oboje jesteśmy zmęczeni, pomyślałem; pomyślałem, że tak samo jak ona mam pewnie pod oczami ciemne wory.

– Iragorri usiadł tu tego dnia, kiedy przyjechał – powiedziała. Wskazała na fotel, na którym żadne z nas nie siedziało, ten najbliższy wieży z magnetofonem, z której nie dobywały się teraz żadne dźwięki. – Został tylko na lunch. Nie chciał, żebym mu coś w zamian opowiadała. Ani żebym mu pokazała rodzinne papiery. Ani nie poszedł ze mną do łóżka, tym bardziej. – Spuściłem wzrok, wyczułem, że ona robi to samo. Dodała: – Prawda jest taka, że pan wykorzystuje sytuację, przyjacielu.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Nie wiem, dlaczego pan nie płonie ze wstydu – Maya uśmiechnęła się, ten uśmiech dostrzegłem w bladym świetle świtu. – W każdym razie doskonale pamiętam, siedział tutaj i właśnie przynieśli nam sok z psianki *lulo*, ponieważ Iragorri był abstynentem, nasypał sobie łyżeczkę cukru i mieszał nią o tak, powoli, kiedy doszliśmy do tego bankomatu. I wtedy powiedział mi, że jasne, jasne, że pożyczył te pieniądze mojemu tacie, no ale jemu się specjalnie nie przelewa. Więc powiedział mi, niech pan posłucha: „Ricardo, i proszę się nie obrażać, ale muszę o to zapytać, jak pan zamierza mi oddać tę kasę? Kiedy mi pan odda i jak?”. I wtedy tata, w każdym razie zgodnie z wersją Iragorriego, odpowiedział: „A, tym się proszę nie przejmować. Właśnie mi wpadła jedna fucha i zaraz dostanę dobrą kasę. Zwrócę wszystko, i to z odsetkami”.

Maya wstała, podeszła kilka kroków w stronę masywnego stołu, na którym stał sprzęt muzyczny, i przewinęła taśmę. Ciszę wypełnił ten mechaniczny szelest, monotony jak szum wody.

– To zdanie jest jak dziura, przez którą wszystko wycieka – powiedziała Maya. „Właśnie mi wpadła jedna fucha – powiedział tata Iragorriemu – i zaraz dostanę dobrą kasę”. Tak mało słów, a tyle dają do myślenia.

– No bo nie wiemy.

– Właśnie – potwierdziła Maya. – Bo nie wiemy. Iragorri na początku mnie o to nie pytał, miał na tyle wyczucia czy nieśmiały był, ale w końcu nie wytrzymał. „Jaka to mogła być praca, panno Fritts?”. Tak jakbym go teraz widziała, patrzył w inną stronę. Widzi pan ten mebel,

Antonio? – Maya wskazała wiklinowy zestaw czterech regałów. – Widzi pan te prekolumbijskie przedmioty na górze? – Był tam mały ludzik siedzący ze skrzyżowanymi nogami i z wielkim penisem; obok dwa naczynia z głowami i wydatnymi brzuchami. – Iragorri skierował tam swoje spojrzenie, patrzył zupełnie nie w moją stronę, nie mógł na mnie patrzeć, kiedy to mówił, nie miał odwagi. A potem powiedział: „A czy pani tata nie był zamieszany w jakieś dziwne sprawy?”. Jakie dziwne sprawy?, zapytałam. A on, cały czas wpatrując się w te prekolumbijskie przedmioty, poczerwieniał jak dzieciak i powiedział: „No nie wiem, zresztą jakie to ma znaczenie”. I wie pan co, Antonio? Ja myślę tak samo, jakie to ma znaczenie.

Kaseta przestała szumieć.

– Posłuchamy jeszcze raz? – zapytała Maya. Palcem nacisnęła przycisk, nieżywi piloci rozpoczęli znów rozmowę tamtej odległej nocy, wysoko na ciemnym niebie, trzynaście tysięcy stóp nad ziemią. Maya Fritts znów usiadła obok mnie, położyła mi rękę na nodze, a głowę oparła o moje ramię, i poczułem zapach jej włosów, wciąż zresztą czuć je było wczorajszym deszczem. Nie była to woń czystości, pot i sen pozostawiły swój ślad, ale ten zapach podobał mi się, czułem się dobrze.

– Muszę się zbierać – powiedziałem wtedy.

– Na pewno?

– Na pewno.

Wstałem, spojrzałem przez szerokie okno. Na zewnątrz, zza skał, wylaniała się biała plama słońca.

Jest tylko jedna bezpośrednia droga między La Doradą i Bogotą, tylko w jeden sposób można pokonać tę trasę bez kołowania i niepotrzebnej zwłoki. Tędy więc siłą rzeczy odbywa się cały transport, zarówno pasażerski, jak i towarowy, bo dla firm przewozowych najważniejsze to pokonać odległość w jak najkrótszym czasie, i z tej przyczyny jest to droga dość niebezpieczna. Trzeba pojechać na południe prostym odcinkiem wzdłuż rzeki, dojeżdża się do Hondy, portu, do którego docierali podróżni w czasach, kiedy nie było samolotów przelatujących nad Andami. Z Londynu, Nowego Jorku, Hawany, Colón czy Baranquilli docierało się morzem do ujścia Magdaleny i tam przesiadało na inny statek, a czasami kontynuowało podróż tym samym. To było wiele dni żeglugi w górę rzeki zmęczonymi parowcami, które podczas okresów suszy, kiedy wody opadały tak, że brzegi wynurzały się jak boje, utykały wśród krokodyli i rybackich łódek. Z Hondy podróżnicy dostawali się do Bogoty, jak kto mógł, na grzbiecie muła, pociągami albo prywatnym samochodem, w zależności od pory roku i środków, ten ostatni odcinek też swoje trwał, od kilku godzin po kilka dni, bo nie jest łatwo przejść na niewiele ponadstukilometrowym odcinku z poziomu morza na dwa tysiące sześćset metrów wysokości, gdzie pod szarym niebem tkwi to miasto. Przez całe moje życie nikt nie potrafił mi wyjaśnić w przekonujący sposób, nie licząc banalnych przyczyn historycznych, dlaczego jakiś kraj wybiera sobie na stolicę miasto najodleglejsze i najbardziej ukryte. My, bogotanie, nie ponosimy winy za to, że jesteśmy tak zamknięci, zimni i zdystansowani, bo takie jest nasze miasto, nie można mieć do nas pretensji o to, że przyjmujemy obcych z nieufnością, skoro nie jesteśmy do nich przyzwyczajeni. Ja w każdym razie nie potrafię winić Mai Fritts za to, że się wyprowadziła z Bogoty, kiedy tylko nadarzyła się jej okazja, i niejeden raz zastanawiałem się, ile osób z mojego pokolenia zrobiło to samo, uciekło, już nawet nie do wioski na ciepłych terenach jak Maya, tylko do Limy albo Buenos Aires, Nowego Jorku albo Meksyku, Miami albo Madrytu. Kolumbia generuje uciekinierów, taka jest prawda, ale chciałbym wiedzieć, ilu z nich urodziło się, tak jak ja i Maya, na początku lat siedemdziesiątych, ilu, tak jak Maya i ja, miało spokojne, błogie, a w każdym razie bezpieczne dzieciństwo, ilu wkroczyło w dojrzewanie i nagle strasznie dorosło, kiedy wokół miasto pogrążyło się w strachu i odgłosach strzałów i bomb, choć nikt przecież nie

wypowiedział żadnej wojny, a w każdym razie nie konwencjonalnej, o ile taka istnieje. Chciałbym to wiedzieć, ile osób wyjechało z mojego miasta, czując, że w ten czy inny sposób się ratują, i ile z nich miało wrażenie, że ratując się, zarazem coś zdradzają, że uciekając z płonącego miasta, zmieniają się w te przysłowiowe szczury z tonącego okrętu. *Śłuchajcie, jak kiedyś ujrzałem płonące/wśród nocy to miasto szalone i ludne*, pisał w wierszu Aurelio Arturo. *A ja spod moich powiek patrzyłem, jak ono/się sypie jak róży te płatki tak złudne*. Arturo wydał go w 1929 roku, nie miał prawa wiedzieć, co stanie się potem z tym miastem z jego snu, jak Bogota dopasuje się do jego wersów, wkraczając w nie i wypełniając ich zakamarki, tak samo jak żelazo dopasowuje się do formy, tak jak roztopione żelazo wypełnia formę.

*Płonęło jak udo gdzieś w puszczy pożarze,
padały kopuły i ściany padały,
na głosy kochane jak na wielkie lustra...
odłamki jak krzyków tysięcy błyszczały!*

Kochane głosy. To o nich myślałem tego dziwnego poniedziałku, kiedy po weekendzie w domu Mai Fritts wracałem do Bogoty od zachodu, przejeżdżając pod samolotami startującymi z lotniska El Dorado, mijając rzekę, a potem wspinając się szosą 26. Było niewiele po dziesiątej rano, przejechałem bez trudności, żadnych awarii, korków czy wypadków, które by mnie zatrzymały na tej drodze tak wąskiej, że czasami samochody muszą przejeżdżać na zmianę. Jechałem, myśląc o tym wszystkim, czego wysłuchałem w weekend, i o kobiecie, która mi to opowiedziała, oraz o tym, co widziałem na Hacjendzie Nápoles, której kopuły i ściany też padły, i myślałem też oczywiście o wierszu Artura i o mojej rodzinie, o mojej rodzinie i o wierszu Artura, o moim mieście i wierszu, i rodzinie, o kochanych głosach z wiersza, o głosie Aury i głosie Leticii, które wypełniły moje ostatnie lata, które na różne sposoby mnie uratowały.

*Były te płomienie niby moje włosy,
Czerwone pantery puszczone na miasto,
A płonące ściany padały w moim śnie,
Tak jak z krzykiem padać może tylko miasto!*

Wjechałem na parking w moim budynku, tak jakbym wracał po długiej nieobecności. Przez okno pozdrowił mnie dozorca, którego nigdy nie widziałem; musiałem więcej niż zwykle manewrować, żeby wjechać na moje miejsce postojowe. Wsiadając, poczułem zimno i pomyślałem, że we wnętrzu pojazdu utrzymało się ciepło z doliny Magdaleny i to ten kontrast musiał być przyczyną nagłych dreszczy. Czuć było betonem (beton ma zimny zapach) i też świeżą farbą. Zaczęto tu jakieś prace, o których nie pamiętałem, musieli zacząć w czasie weekendu. Ale robotników nie było, na parkingu, w miejscu zwolnionym przez jakiś samochód, stała beczka po paliwie przecięta na pół, w której znajdował się świeży beton. W dzieciństwie lubiłem dotykać świeżego betonu, więc rozejrzałem się wokoło – żeby upewnić się, że nikt nie patrzy i nie weźmie mnie za wariata – podszedłem do beczki i zanurzyłem ostrożnie dwa palce w tej prawie już stwardniałej substancji. Dopiero wtedy poszedłem w stronę windy, patrząc na ubrudzone palce, wachając je i ciesząc się tym zimnym zapachem; tak wjechałem na dziesiąte piętro do mojego mieszkania i już miałem nacisnąć dzwonek upapranymi palcami. Nie zrobiłem tego, i to nie tylko dlatego, żeby nie ubrudzić dzwonka czy ściany, ale też dlatego, że coś (rodzaj ciszy panującej na tym wysokim piętrze, ciemność za matowym szkłem w drzwiach) sugerowało, że w środku nie ma nikogo, kto by mi otworzył.

No tak, jest taka rzecz, która przydarza mi się za każdym razem, kiedy wracam znad morza na bogotańskie wysokości. To dotyczy oczywiście nie tylko mnie, dzieje się tak z wieloma ludźmi, nawet większością, ale już w dzieciństwie odkryłem, że mam silniejsze objawy niż inni. Mam na myśli coś w rodzaju trudności z oddychaniem podczas pierwszych dni po powrocie,

lekkie palpacje serca, którym za pretekst wystarcza wchodzenie po schodach albo zniesienie walizki, i trwa to do czasu, aż płuca przywykną do rozrzedzonego powietrza. Przydarzyło mi się to właśnie, kiedy otworzyłem kluczem drzwi do mojego mieszkania. Mechanicznie zarejestrowałem czysty stół w jadalni (nie było tam kopert do otwarcia ani listów, ani rachunków), stolik z telefonem, z którego migotało czerwone światelko automatycznej sekretarki, a cyfrowy wyświetlacz informował, że nagrały się cztery wiadomości, wahadłowe drzwi do kuchni (które zatrzymały się wpół otwarte, trzeba naoliwić zawiasy). Wszystko to widziałem i czułem, że brakuje mi powietrza i że serce protestuje. Natomiast nie zobaczyłem nigdzie żadnych zabawek. Ani w kątach na dywanie, ani porzuconych na krzesłach czy zagubionych gdzieś w przedpokoju. Nie było niczego, ani plastikowych owoców w koszyku, ani utłuczonych filiżanek do herbaty, ani kredy do pisania po tablicy, ani kolorowego papieru. Wszystko było idealnie wysprzątane; w końcu podszedłem do telefonu i puściłem nagrane wiadomości. Pierwsza była z dziekanatu na uniwersytecie, pytali, dlaczego nie pojawiłem się na wykładzie o siódmej, kazali mi zgłosić się jak najszybciej. Druga była od Aury.

„Dzwonię, żebyś się nie martwił”, mówił jej głos, mój kochany głos. „U nas wszystko w porządku, Antonio. Mamy się z Leticią dobrze. Jest niedziela, ósma wieczorem, a ty nie wróciłeś. Nie wiem, dokąd miałoby nas to wszystko doprowadzić. Ciebie i mnie, o to mi chodzi, nie wiem, do czego to ma prowadzić ciebie i mnie, co stanie się po tym, co zaszło. Staralam się, bardzo się starałam, sam wiesz. I w końcu się zmęczyłam, nawet ja się męczę. Dłużej nie mogę. Wybacz, Antonio, ale dłużej nie mogę, i to nie fair w stosunku do małej”.

Tak powiedziała: „Nie fair w stosunku do małej”. Potem mówiła jeszcze dalej, ale czas wyznaczony przez sekretarkę się skończył i nagranie się urwało. Następna wiadomość też była od niej: „Przerwało mi”, mówiła drżącym głosem, jakby płakała między jedną rozmową a drugą. „No nic, wiele więcej i tak nie mam do powiedzenia. Mam nadzieję, że u ciebie też wszystko w porządku, że wróciłeś bezpiecznie i że mi wybaczysz. Po prostu dłużej się nie da. Wybacz”.

Potem zabrzmiała ostatnia wiadomość: znów uniwersytet, tyle że nie dziekanat, tylko sekretariat. Prosił mnie, żebym poprowadził jedną pracę, jakiś absurdalny projekt o zemście jako środku prawnym w *Iliadzie*.

Wysłuchałem wiadomości, stojąc, z oczami otwartymi, ale nic nie widząc, a potem puściłem je jeszcze raz, żeby kochany głos Aury rozbrzmiewał, kiedy będę kręcił się po mieszkaniu. Szedłem powoli, bo brakowało mi powietrza, bez względu na to, jak głęboko bym je wdychał, nie miałem poczucia komfortu i łatwo wyobrażałem sobie moje zamknięte płuca, zbuntowane oskrzela, pęcherzyki płucne odmawiające przyjmowania tlenu. W kuchni nie został nawet jeden brudny talerz ani szklanka, ani sztuciec nie na miejscu. Głos Aury powtarzał, że się zmęczyła, a ja szedłem korytarzem do pokoju Leticii, głos Aury mówił, że to nie fair w stosunku do małej, a ja usiadłem na łóżku Leticii i pomyślałem, że sprawiedliwie byłoby, żeby Leticia była ze mną, że ja mogę się nią zajmować, tak jak to robiłem dotychczas.

Chcę się wami opiekować, pomyślałem, opiekować się wami obiema, razem będziemy bezpieczni, nic nam się nie stanie.

Otworzyłem szafę. Aura zabrała wszystkie ubrania małej, dziecko w wieku Leticii brudzi kilka ubrań dziennie, trzeba pracować bez przerwy. Nagle rozboleła mnie głowa. Przypisywałem to niedoborowi tlenu. Pomyślałem, że położę się na kilka minut, zanim poszukam jakiejś pigułki, bo Aura zawsze mnie strofowała za tę skłonność do zażywania leków przy pierwszych objawach, za niedopuszczanie, żeby ciało broniło się samo. „Wybacz”, powtarzał głos Aury, tam, w salonie, po drugiej stronie ściany. Oczywiście Aury nie było w salonie i nie miałem jak się dowiedzieć, gdzie jest. Ale ma się dobrze, Leticia też, i to było ważne. Może przy odrobinie szczęścia znów zadzwoni. Położyłem się na łóżku, zbyt dla mnie małym, na którym moje długie ciało dorosłego

po prostu się nie mieściło, i moje spojrzenie padło na przedmiot wiszący u sufitu, pierwszą rzecz, którą Leticia widziała, budząc się rano, i prawdopodobnie ostatnią przed zaśnięciem. Z sufitu wisiało błękitne jajko, a z jajka wychodziły cztery śmigła, z każdego śmigła zwisała jakaś figurka: puchacz z wielkimi oczami na spiralach, biedronka, ważka z muślinowymi skrzydełkami, uśmiechnięta pszczoła z długimi czułkami. I tam, skupiając się na kształtach i kolorach niemal niezauważalnie się poruszających, myślałem o tym, co powiem Aurze, jeśli jeszcze zadzwoni. Zapytam, gdzie jest, czy mogę po nią pojechać, czy mam prawo na nią czekać? Będę milczał, żeby pojęła, że porzucenie wspólnego życia było błędem? Czy spróbuję ją przekonać, argumentować, że razem lepiej obronimy się przed złem tego świata albo że świat jest zbyt niebezpiecznym miejscem, żeby ruszać się po nim w pojedynkę, bez kogoś, kto czekałby na nas w domu, kto martwiłby się, kiedy nie wracamy, i mógł ruszyć nas szukać?

Od Autora

Zacząłem *Hałas spadających rzeczy* w czerwcu 2008 roku, podczas sześciu tygodni spędzonych w Santa Maddalena Foundation (Donnini, Włochy). Bardzo dziękuję Beatrice Monti Della Corte za jej gościnność. Skończyłem powieść w grudniu 2010, w domu Suzanne Laurenty (Xhoris, Belgia), i do niej także kieruję moje podziękowania. Między tymi datami pojawiło się wiele osób, które wzbogaciły albo ulepszyły tę książkę. I one o tym wiedzą.

¹ Wszystkie cytaty z *Małego Księcia* w przekładzie Jana Szwykowskiego.

² Przekład Zofii Chądryńskiej.